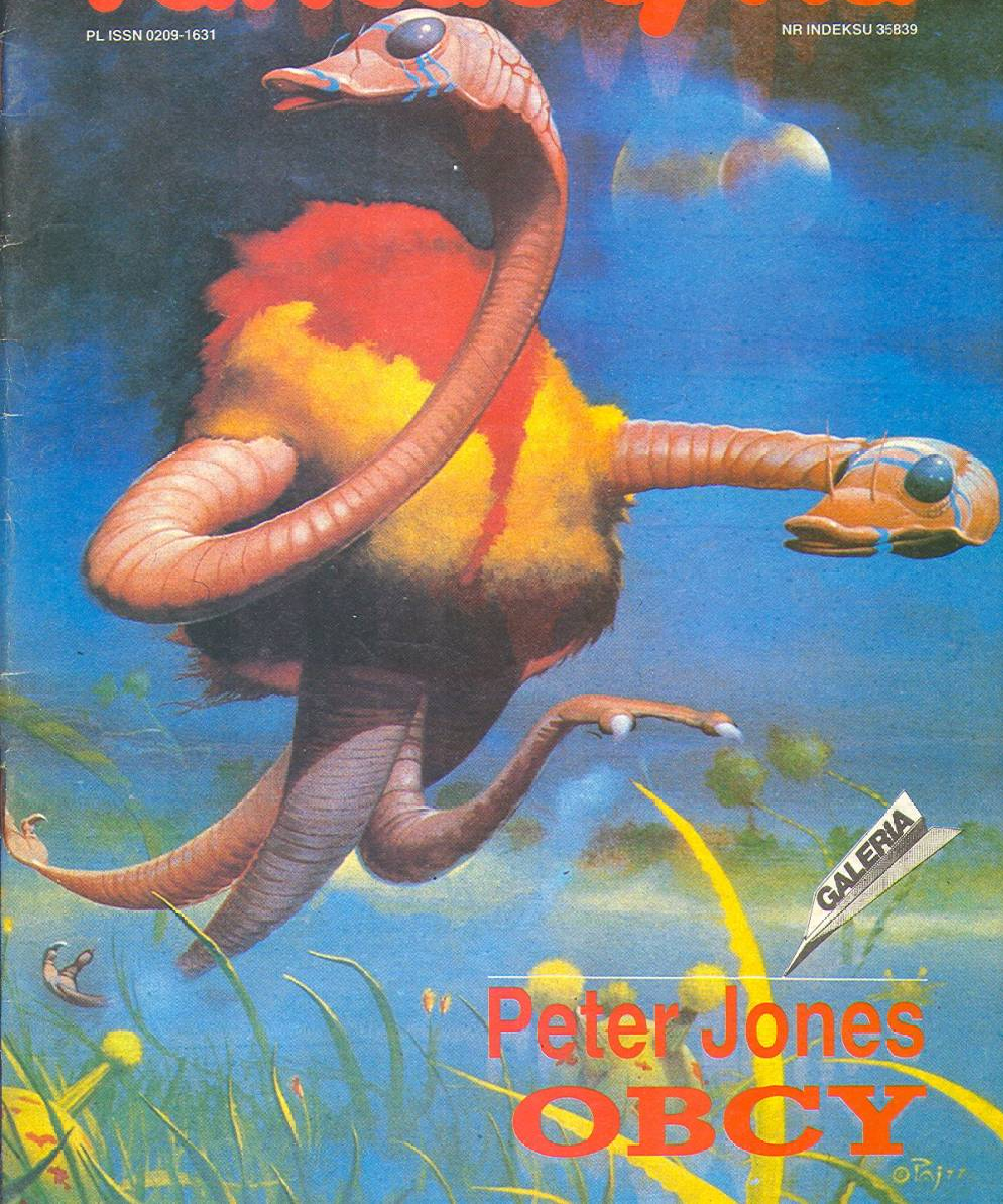
MIESIĘCZNIK

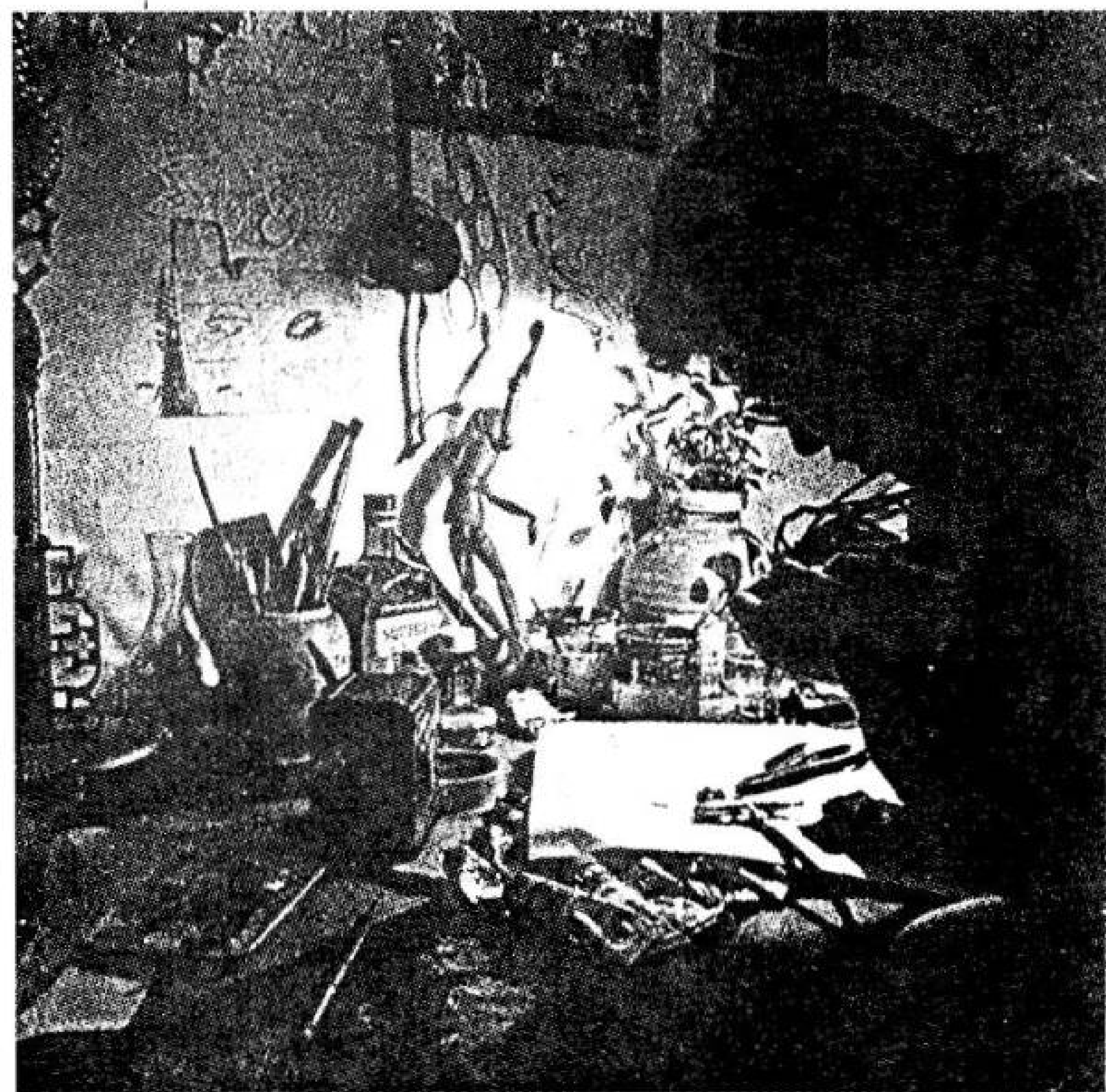
Fantastyka

7 (82) LIPIEC 1989 CENA 300 ZŁ
PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839











Peter Jones – **OBCY**

Peter Jones w latach 1971-1974 studiował w St. Martin's School of Art w Londynie. Już na drugim roku studiów wykonał swoje pierwsze prace fantastyczne: ilustracje do nowel Larry'ego Nivena i Isaaca Asimova.

Inspiracją dla niego jest cała otaczająca nas rzeczywistość. Może to być zarówno ostatni model Porsche'a, zdjęcie starego samolotu, reklama w gazecie, jak też ostatnie odkrycia w fizyce nuklearnej. W przypadku ilustracji, gdzie tematem są obce światy opiera się on na sztuce japońskiej i chińskiej. Jak sam twierdzi, sztuka ta jest tak odległa od cywilizacji śródziemnomorskiej, że po niewielkim przetworzeniu daje to efekt niecodzienności i obcości.

W swojej twórczości Jones stara się też kontynuować tradycję „Złotego Wieku SF". Przeobraża i cytuje głośne ilustracje z czasopism wychodzących w latach trzydziestych, takich jak: „Astounding Stories", „Startling Stories", „Amazing Stories".

Andrzej Brzezicki


Marzena Kawalerowicz

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Nauka i SF

Film i fantastyka

...3...2...1...



Jak paradoksalne bywają zjawiska kulturowe wskazuje przykład aspiracji twórczych, których ciągle ogromne fale obijają się o brzegi czasopism literackich. A dzieje się to przecież w czasach zapełniania wnętrz tych czasopism artykułami i esejami o kompletnej nieopłacalności karier literackich i o katastrofalnym spadku czytelnictwa.

I właśnie wtedy, kiedy rola pisarza w społeczeństwie staje się, mówiąc eufemistycznie, drugorzędna, nie najbardziej ważna, a może raczej niewłaściwie doceniona w układach społecznych, ludzie szturmują pisma wychodzące, zakładają nowe wydawnictwa, nie bacząc na ceny papieru i nędzę polskiego drukarstwa, obsyłają radio i telewizję swoimi „dziełami", budują nowe gazety i gazetki. Słowem wierzą w to, co nie daje żadnych podstaw do wiary. A może wobec tego jest inaczej niż się dość powszechnie sądzi, może został zafałszowany obraz autentycznych zainteresowań naszego społeczeństwa?

Jedno jest pewne w tym naszym galimatiasie, że każde nowe pokolenie, aspirujące do twórczości literackiej czy innej artystycznej, jak gdyby wymazuje wszystko, co dotychczas się działo, lub temu co było przeciwstawia się bez względu na to, czy samo lansuje podobny do starego model twórczy, czy stara się o „rewolucyjne" kształty swego, niby nowego pisarstwa. „Twórczość" na przykład często ostatnio drukuje takie rzeczy, które nie będąc same w sobie jakimś rodzajem eksperymentu pisarskiego, wprowadzają na łamy tego ekskluzywnego, bądź co bądź, miesięcznika coraz bardziej populistyczne utwory. Ileż na przykład w takiej prozie p. Bukowskiego, zajmującej około trzeciej części całego pisma, knajackiego żargonu, jakże miesza się tu w zręczne układanie tekstu miałkie refleksje, niby to zwykłego polskiego człowieka oraz jego obsceniczne pseudoprawdy czy pseudomarzenia.

Jaka, do diabła, jest wreszcie ta nasza współczesna literatura, twórczość prawdziwa? Czy na przykład nasza młoda fantastyka, która ciągle stara się zastępować czy uzupełniać publicystykę społeczną i polityczną, pełni w tej dziedzinie jakąś istotną rolę, czy najmłodsi twórcy, o których niedawno pisał Rafał Ziemkiewicz na naszych łamach, naprawdę odkryli w tej dziedzinie nowe sposoby działania na czytelników? Pisze się o tej fali twórczości politycznej jakby była ona zupełną nowością, przewracającą w fantastyce polskiej jej dotychczasowe tradycje i zdobycze. Jakby nie istniało w ogóle starsze pokolenie, jeszcze to przedzajdlowskie, pokolenie Lema, Borunia, Trepki, moje pokolenie (a także generacja pisarzy działających wcześniej), zainspirowane Żuławskiego „Srebrnym globem" do pisania o tych samych problemach i ideałach, które zdają się dzisiaj nobilitować plejadę tych, co po Zajdlu nastali. Dlaczego zapomina się o starszych, czemu młodzi krytycy poza pokoleniami, do których należą, zdają się nikogo nie dostrzegać? Byłażby to duma z własnych, twórczych osiągnięć na tyle uzasadniona, że pozwala na tak wypreparowaną optykę, nie widzącą w ogóle czy prawie w ogóle przeszłości? A może chodzi tu przypadkiem o słabą znajomość (niestety) literatury poprzedników lub wreszcie o chęć bycia samemu na dzisiejszym – ubogim, bardzo ubogim rynku?

Bogactwo nurtów tematycznych, bogactwo problematyki, którą jeszcze w okresie modernizmu, tego swoiście romantycznego spojrzenia na świat przełomu stulecia XIX i XX, zaprezentowało dzieło Żuławskiego, bogactwo nieobce także twórczości Zajdla, na którego jak na proroka powołują się teraz młodzi – znalazło się w impasie w utworach tych naszych najmłodszych twórców-fantastów. Niestety. Oni zrezygnowali i rezygnują nadal z uniwersalizmu, z wieloznaczeniowości swej fantastyki, a tylko ona, ta wieloznaczność, wielowarstwowość zdolna bywa zapewnić nowelom, opowiadaniom i powieściom nośność ponadczasową czy wieloczasową, uczynić z nich coś więcej niż zwykłe zastępstwo publicystyki o charakterze politycznym, tylko raz aktualnym. To nie przypadek, że trudno się bardzo wydostać młodej polskiej fantastyce poza granice kraju. Jest bowiem prowincjonalna w swoich realizacjach i zamierzeniach – załatwia, czy pragnie załatwić jedynie nasze konkretne sprawy. Chwała więc młodym za ich odwagę stawiania aktualnych problemów, na dłuższą jednak metę literatura tego typu nie znajdzie i u nas nabywcy, szybko przejdzie do archiwów, stanie się zaszłością nie do powtórzenia, jak zresztą większość utworów fantastyki z okresu II Rzeczypospolitej, z wspaniałych czasów mego dzieciństwa we Lwowie, kiedy to czytało się o ataku polskich balonów na Berlin i inne wspaniałe, ale już nieaktualne rzeczy.

Większość tego co z rodzimej młodej literatury wychodzi w coraz liczniejszych krajowych oficynach nie rokuje specjalnych nadziei na rozwój fantastyki. Razi albo ubóstwo pomysłów i idei, albo też nadmierne poddanie się chęci zapewnienia rozrywki za wszelką cenę. Ten stan niepokoi, jasne, że przede wszystkim niepokoi nas, redaktorów pisma, poświęconego literaturze fantastycznej, proszę pamiętać literaturze, a do niej coraz trudniej nam dotrzeć.

I to się dzieje po sukcesach konkursów, które ogłaszaliśmy zaraz po powstaniu i w okresie gwałtownego rozwoju pisma. Czy teraz, po latach, nie warto by było znowu sięgnąć do konkursowej metody, choćby po to, aby się przekonać jak to naprawdę się dzieje z tym naszym pisarstwem fantastycznym, które targane przeciwnościami naszej epoki nie wytworzyło właściwie nurtu baśniowego, tej fantasy, tak dziś ciągle na świecie popularnej? A więc? Pesymizm? Bez szczypty nawet optymistycznej wizji jutra fantastyki?

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka
Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., literatury polskiej), 25-59-48 (z-cy red. nacz., dział krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz.
Zam. 1426/89 A-99

NR INDEKSU 35839 | PL ISSN 0209-1631 | Oddano do składu 27 kwietnia 1989 r.

Lądowanie LXXVII

Fatalne opóźnienia

Chcę gorąco przeprosić Czytelników w imieniu redakcji za niesłychane opóźnienia w produkcji naszego pisma, naszej „Fantastyki", jakie wystąpiły w ciągu ostatnich miesięcy. Nie my jesteśmy winni, ani nawet współwinni, tego skandalu. W drukarni w Łodzi nawaliła maszyna, na której się „Fantastykę" drukuje, naprawa trwała długo. Były też podobno inne perturbacje w pracy tej „fabryki słowa". Uważamy ten okres za najgorszy w ciągu ukazywania się na rynku naszego pisma. Przykro nam ogromnie! Wraz z Wami czujemy się poszkodowani z tego powodu – jest to zjawisko wręcz dramatyczne, gdy przerywa się więź między Czytelnikami a redaktorami i autorami pozycji mocno i trwale wprowadzonej na rynek. Interweniowaliśmy w Drukarni i w Wydawnictwie. Obydwie te instytucje obiecują stopniową poprawę regularności pojawiania się „Fantastyki" w kioskach. Zobaczymy. W każdym przypadku będziemy jak najsilniej zabiegać o regularność. Bądźcie w tej sprawie, jak zresztą zawsze, z nami. To bardzo ważne, gdy będziemy czuli Waszą, Czytelnicy, pomoc, Wasze wsparcie moralne. Takim wsparciem były między innymi setki telefonów i listów, protestujących przeciwko opóźnianiu produkcji i dystrybucji „Fantastyki". Na ogół wszyscy prawie orientowali się, że naszej winy w tych fatalnych opóźnieniach nie ma. Dziękujemy!!!

Gdzie gatunek awanturniczy?

Czytając najnowsze numery „Fantastyki" zauważyłem, że wraz z podziałem na „Dużą" i „Małą" niemal zniknął z Waszych łamów awanturniczy gatunek SF. Zastąpiono go głębszymi i zmuszającymi do myślenia utworami. Pochwalam ten krok, niemniej jednak nie byłoby źle, gdyby co jakiś czas drukowano lżejsze opowiadania, tak zwane opowiadania z akcją. Odrębnym problemem pozostaje nadal „Galeria". Powinnibyście się raczej skłaniać ku grafice użytkowej, rysowanej prostą, konkretną kreską. Żadne tam kubizmy czy na pół surrealistyczne wizje. Za Stasysa należą się Wam baty! Z radością powitałbym natomiast kolejną galerię Siudmaka lub Polcha. Nowy komiks jest interesujący i ciekawie rysowany. Rozgrzewa. Na koniec prośba. Od ponad roku bezskutecznie usiłuję dostać którąkolwiek książkę, napisaną na podstawie scenariusza „Gwiezdnych wojen". Owszem, wiem, że w większości nie mają te rzeczy pochlebnej opinii („książki są kiepskie"), ale mimo to chciałbym je mieć. Jeżeli którykolwiek z Czytelników „Fantastyki" mógłby odstąpić, sprzedać, pożyczyć, niech do mnie napisze.

Grzegorz Wiśniewski
ul. Podmiejska 34/224
62-800 KALISZ

Sapkowskiego!

Hej, Redakcjo! Wydrukujcie jakieś opowiadanie p. Andrzeja Sapkowskiego. Moje najwyższe uznanie dla jego twórczości. Natomiast nigdy już nie publikujcie Funky'ego Kovala. Uważam, że był to najgorszy komiks Polcha i nie ma on nic wspólnego z fantastyką. Występuje tam przeładowanie tekstem (często niezrozumiałym), cały czas gadają, mało akcji. Nie wiem co tu czytelników porywa. Strzelanie z lasera? Lub czy to, że Funky'emu cały czas wszystko się udaje? Co innego Yans. To trzyma w napięciu. Facet nie ma się gdzie schronić, cały czas musi działać. Rysunki są o wiele naturalniejsze niż u Polcha. Czytając Funky'ego – nudziłam się. Właściwie to mi nie chodzi o złe rysunki, lecz o tekst, który pozostawia wiele do życzenia.

Stała czytelniczka

Gdzie jest Lem?

Przeczytałem z zapartym tchem pierwszą po mękach filozoficznych prawdziwą powieść Lema o nieudanym eksperymencie z porozumieniem. Ten pesymizm bezkompromisowy naszego największego pisarza science fiction podnieca i drażni. Po pasjonującej lekturze szlag człowieka trafia na takie załatwienie sprawy. To już dla porozumienia nie byłoby ratunku, tylko konflikt krwawy i beznadziejny staje się jedyną szansą człowieka – albo my, albo oni? Fantastyka dzisiejsza stała się ponurym wieszczem przyszłych naszych losów. Pełno w niej strasznych scen, grozy, szaleństwa, beznadziejnych wróżb. Po przeczytaniu „Fiaska" byłem zdziwiony swoją złością, swoim przykrym nastrojem, ale nie mogłem ochłonąć z przejęcia się sytuacją, jakbym w przepaść wpadał. Dlaczego tak pasjonuje to ponuractwo Waszych numerów i książek fantastycznych, dlaczego to wciąga, a nie odstrasza? Czyżbyśmy się lubowali w oglądaniu katastrof i nieszczęść, jakiż więc naprawdę jest człowiek?

***Jan Zawierski** z Warszawy*

Nie odstępujcie od poezji

Nie piszę wierszy i rzadko je czytam. Muszę się przyznać, że dopóki w „Fantastyce" nie ukazały się pierwsze wiersze starałem się unikać czytania poezji. Dopiero to, co zaczęła pokazywać „Fantastyka" nauczyło mnie czytania wierszy. Przemogłem się najpierw kilkakrotnie i przeczytałem, a potem już sam, zawsze bez wysiłku i zmuszania się, czytałem. Zacząłem też porównywać te Wasze poezje, zastanawiać się: które lepsze, a które gorsze. Potem z zadowoleniem czytałem wypowiedzi pana Hollanka, że nie zrezygnuje z poezji w „Fantastyce", chociaż czytelnicy nie bardzo sobie jej życzą. Tymczasem wiersze coraz rzadziej się u Was ukazują i nie powiedziałbym, żeby były choć rzadkie, to coraz lepsze. Poprawcie się. Podpisuję się pseudonimem, żeby się ze mnie nie wyśmiewali przeciwnicy poezji w „Fantastyce".

***Jan Goszczurski** z Wrocławia*

Przeczytałem wszystkie Wasze listy alarmujące w sprawie skandalicznej nieregularności w ukazywaniu się „Fantastyki". Jeszcze raz powtarzam, nie nasza to wina. Mam nadzieję, że po naszych interwencjach stopniowo wrócimy do normy.

Redaktor



Marek Biniak „Wizja I" – praca wyróżniona w II Biennale Fotografii „Alicji w Krainie Czarów"

John Morressy

Moggropple po tamtej stronie lustra

(Mirror, Mirror of the Wall)

Na dworze wesoło śpiewały ptaki. Poranek był słoneczny, śniadanie przepyszne, Księżniczka wyglądała uroczo, czary wychodziły.

Kedrigern skończył trzecią bułeczkę i spojrzał na świat łaskawym okiem i z wysokości pełnego żołądka. Na talerzu została ostatnia bułeczka. Pod wpływem nagłego impulsu Kedrigern zgarnął z obrusa okruchy, wysypał je na talerz obok bułeczki i wstał ze słowami:

– Moja droga, jeżeli nie chcesz tej bułeczki...

– Nie mogę już, Keduś. Zjedz ty – powiedziała Księżniczka.

– Ja też się najadłem. Pomyślałem, że wyjdę na dwór i pokarmię ptaki.

– Świetny pomysł – powiedziała Księżniczka. – Pójdę z tobą.

Ptaki kręciły się po podwórku pochłonięte swoimi ptasimi sprawami podskakując, ćwierkając, dziobiąc, zerkając na boki. Kiedy pierwsze okruchy posypały się na ziemię, ptaki przezornie wzbiły się w powietrze, ale wkrótce wróciły i zabrały się do jedzenia.

– Ptaki to piękne stworzenia – zauważył czarownik.

– Bardzo. I tak wdzięcznie latają – dodała Księżniczka.

– Tobie też to znakomicie wychodzi, moja droga.

Księżniczka skromnie spuściła wzrok.

– Dziękuję.

W chwili, gdy Kedrigern rzucił ostatnią garść okruchów, z cichym, ale wyraźnym szczękiem wylądował nowy ptak, rozpraszając resztę stadka. Przybysz podskoczył w stronę czarownika, złożył skrzydła i skłonił się. Było to zachowanie dość niecodzienne jak na ptaka i Kedrigern przyjrzał mu się z uwagą.

Ptak był wielkości sroki, ale nie była to sroka. Korpus miał ze złota, skrzydła ze złota i srebra, ogon ze srebra i elektronu. Jego oczy były szmaragdami; czubek głowy, końce skrzydeł i ogon miał wysadzane szmaragdami i rubinami, dziób miał z perły, nogi zdobione niello. Małe stworzenie połyskiwało jak szkatułka z biżuterią w świetle pochodni.

– Czy stoję w obliczu mistrza Kedrigerna, sławnego czarnoksiężnika z Góry Cichego Grzmotu? – spytał ptak cichym i wysokim, ale bardzo wyraźnym głosem.

– Tak jest, mój dobry ptaku. Co mogę dla ciebie zrobić? – odparł Kedrigern.

Ptak szczęknął kilkakrotnie raz po raz, przekrzywił głowę, podskoczył bliżej i wyrecytował:

– Wiadomość dla mistrza Kedrigerna od jego starego druha Apontheya. „Wszedłem w posiadanie magicznego kryształu o niezwykłych własnościach. Nie moja specjalność. Byłbym wdzięczny za twoją ekspertyzę. Przybywaj, jeśli możesz. Pozdrowienia. Aponthey".

– Czy to wszystko? – spytał czarownik.

Ptak wykonał pełny obrót głową, potrząsnął ogonem i powiedział:

– To wszystko. Na odgłos ćwierknięcia będę gotów do przyjęcia twojej odpowiedzi, panie. Możesz się nie śpieszyć. Jestem


Alicja Szubert-Olszewska

urządzeniem mechanicznym i mogę czekać przez czas nieograniczony.

– Dobrze wychowane stworzonko – zauważyła Księżniczka.

– Aponthey zawsze był skrupulantem – powiedział Kedrigern.

– Kto to jest Aponthey? Nigdy o nim nie wspominałeś.

– To zdolny młody człowiek, bardzo utalentowany. Jest wynalazcą, zegarmistrzem... geniuszem mechanicznym. Pracował przy słynnym Żelaznym Człowieku z Rottingen.

– Słyszałam o nim, ale nigdy go nie widziałam.

– Teraz to pewnie tylko kupa zardzewiałego szmelcu. Ale to nie wina Apontheya. Jego dziełem był mechanizm wewnętrzny. Korpus robili miejscowi partacze i spaprali robotę. Zresztą Aponthey zawsze był najlepszy w mniejszych rzeczach, takich jak ten ptak.

– Jest wspaniały – powiedziała Księżniczka schylając się, żeby lepiej obejrzeć mały automat, który właśnie wyćwierkał swoją gotowość do pracy. – I jak bogato zdobiony! Co najmniej siedemnaście kamieni.

– Aponthey zrobił bardzo podobnego dla cesarza Bizancjum, istne cacko z kutego złota i emalii. Dwóch greckich złotników przywłaszczyło sobie całą sławę, ale to była robota Apontheya. Majstersztyk, z tego co słyszałem. Siadał na złotej gałęzi i śpiewał o tym co minęło, co przemija i co nadejdzie. Dwór przepadał za nim, ale cesarz twierdził, że nie daje mu spać.

– Niełatwo jest zadowolić cesarza.

– Aponthey zabrał ptaka i zastąpił go tuzinem mechanicznych biedronek. Latały w szyku wykonując ewolucje, wszystko po cichu. Cesarz był zadowolony.

– Brawo dla Apontheya. A jak zamierzasz odpowiedzieć na jego prośbę?

– Sam nie wiem, wprawdzie nie mam teraz żadnej pilnej pracy, ale wymagałoby to... – tu przerwał i skrzywił się, aż wreszcie wydusił znienawidzone słowo – ... podróży.

– Czy daleko jest do pracowni Apontheya?

– Wszędzie jest daleko, moja droga. Podróż to jest kurz, brud, upał i niewygody, a na końcu czeka rozczarowanie i dwa razy gorsza droga powrotna.

– Można by pomyśleć, że nie masz ochoty tam jechać – powiedziała Księżniczka.

– Właściwie to nawet mam ochotę. Zapowiada się to wcale interesująco. Nie miałem do czynienia z magicznymi kryształami od czasu naszych przepraw z kryształami Caracodissy. Pamiętasz, jak sądzę.

– Pamiętam, pamiętam – potwierdziła Księżniczka ponuro.

– Zdradziecka rzecz, te magiczne kryształy, ale mogą być użyteczne. Dobre źródło informacji.

– Bezpieczniej polegać na plotkach i słuchach – powiedziała Księżniczka.

– Teraz wygląda, że to ty nie masz ochoty jechać.

– Ależ wprost przeciwnie. Jest doskonała pora do podróży. Możemy to uznać za małe wakacje.

– Uhum.

– Po drodze będziesz mógł zbierać różne świeże zioła. Zrobię świetne kanapki na drogę. Na pewno miło ci będzie zobaczyć się z Apontheyem, prawda?

– Tak – przyznał niechętnie Kedrigern.

– I jak to jest daleko, tak naprawdę?

– Około trzech dni drogi w każdą stronę.

– Ależ to żadna odległość! Powiedz ptakowi, że jedziemy.

Kedrigern wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Dobrze, moja droga. Skoro sobie tego życzysz.

– Ty też i oboje dobrze o tym wiemy.

Zwracając się do ptaka Kedrigern wyciągnął rękę i powiedział:

– Ptaku, jestem gotów do odpowiedzi.

Mały automat rozwinął skrzydła, gładko wzbił się w powietrze i usiadł na lewej dłoni czarownika.

– Proszę mówić prosto do mojego dzioba i nie zbliżać się za bardzo – powiedział.

Kedrigern uniósł ramię aż ptak znalazł się równo z jego ustami na odległość przedramienia.

– Czy tak będzie dobrze? – spytał.

– Znakomicie. Proszę nadawać.

Kedrigern zajrzał w otwarty dziób i nagle poczuł się bardzo głupio, stojąc tak na swoim podwórku i gadając do mechanicznego ptaka. Zaraz jednak się opanował, odchrząknął i głosem lekko tylko nienaturalnym powiedział:

– Jak się masz, Aponthey? Słyszysz mnie? Tu Kedrigern. Mam nadzieję, że jesteś zdrów. My tu mamy piękny poranek.

– Kryształ – szepnęła Księżniczka z ponaglającym gestem.

– A tak, kryształ. Co do tego twojego kryształu, Aponthey. Przybywamy, żeby go obejrzeć. To znaczy moja żona i ja. Wyruszamy jutro i za trzy dni powinniśmy być na miejscu. Nie zabawimy długo.

– Keduś, nie możemy wpaść jak po ogień. A jeżeli to jakaś poważna sprawa.

– No dobrze. Nie zabawimy długo, chyba że to jakaś poważna sprawa. Do widzenia, Aponthey. Do zobaczenia za kilka dni.

Kedrigern skończył, ptak zatrzasnął dziób i z dziarskim „Dziękuję" wzbił się z dłoni czarownika, po czym zatoczył jeden krąg i skierował się na północny zachód.

– No i co teraz? – spytał Kedrigern.

– Pakujemy się – powiedziała Księżniczka i wziąwszy go za rękę poprowadziła do domu.

Rezydencja Apontheya okazała się być oddalona o niecałe trzy dni przyjemnej jazdy. Drogi były suche i puste. Nie było ani zbyt gorąco, ani zbyt chłodno. Co noc Księżniczka i Kedrigern rozbijali obóz na łąkach pełnych kwiatów i spali pod gwiazdami, kołysani do snu powiewem niosącym słodkie zapachy lata. Rankiem uzupełniali swoje proste śniadanie świeżymi jagodami. Podróż była tak idylliczna, że Kedrigern nie znajdował powodów do zrzędzenia i musiał się zadowalać przepowiedniami nieuniknionego deszczu, chłodu i bandyckich napadów w drodze powrotnej. Chcąc poprawić mu humor Księżniczka zagadnęła go o ich gospodarza.

– W jakim domu mieszka Aponthey?

– Nic nadzwyczajnego. Jest to właściwie jedna wielka pracownia. Możesz uznać, że jest nieco zagracona, ale na pewno będzie interesująca. Zegary wszelkich rodzajów, kształtów i rozmiarów, z figurami, które wywijają rękami, wierzgają nogami, przewracają oczami i wyczyniają łamańce... rzeczy, które tykają, dzwonią, szczękają i brzdąkają... straszny hałas co godzina, kiedy wszystkie te zegary robią swoje na raz.

– Musimy poprosić o jakiś cichy pokój.

– Aponthey pewnie takiego nie ma. Raczej trzeba będzie na noc zatykać czymś uszy.

– A jaki jest on sam?

– Żywe srebro. Tryska energią. Ruchliwy jak pchła, zawsze robi tuzin rzeczy na raz i planuje następne dwa tuziny.

– Może być dość męczący.

– Większość jego energii pochłania praca. Mimo to potrafi być bardzo interesującym kompanem. Tak, moja droga – powiedział czarownik uśmiechając się nostalgicznie i kręcąc głową – jestem pewien, że ci się spodoba. Naprawdę czarujący młodzieniec.

– Jak daleko jest jeszcze do jego domu? Powiedziałeś trzy dni i jesteśmy już trzeci dzień w drodze.

– Powinniśmy lada chwila być na miejscu. Musimy tylko przejechać przez ten las. Dom Apontheya stoi pośrodku wielkiej polany. Zawsze lubił mieć wokół siebie dużo wolnej przestrzeni, żeby móc... poczekaj chwilę.

– Czy coś się nie zgadza? – spytała Księżniczka.

Kedrigern wskazał czarny kamienny słup dwukrotnie wyższy od człowieka. Z jednej strony był wypolerowany i z tej strony na wysokości głowy miał wykute stylizowane A nad dziwnym wielobocznym symbolem.

– To nie powinno stać tutaj, pośrodku lasu. To jest znak graniczny jego polany – powiedział czarownik.

– Czy jesteś pewien? – spytała Księżniczka.

– Jak najbardziej. Sam narysowałem ten znak kamieniarzowi. To ostrzeżenie dla demonów. Przy mnie ustawiano ten słup.

– Może ktoś go przeniósł.

Jedyną odpowiedzią Kedrigerna było pełne zadumy mruknięcie. Potem wyciągnął spod koszuli medalion i podniósł go do oka, żeby spojrzeć przez Otwór Prawdziwego Widzenia.

– Jest i dom – oświadczył. – Też go ktoś przeniósł, bo stoi wśród drzew. Nie podoba mi się to.

Droga była wąska i zarośnięta. Powoli jechali wśród zarośli do drzwi, przed którymi Kedrigern wstrzymał konia.

– To tutaj – powiedział. – Aponthey dokonał pewnych przeróbek, ale to jest na pewno jego dom. Tylko skąd, u licha, on się znalazł tutaj, pośrodku lasu? Zsiądę i zapukam... o, jest jakiś służący. Zapytamy tego starca.

Z domu wyszedł powłócząc nogami stary człowiek. Stał przez chwilę mrugając i patrząc szklanym wzrokiem przed siebie, aż po chwili dostrzegł parę jeźdźców. Przyglądał im się bez słowa.

– Dobry dzień, starcze. Czy Aponthey jest w domu? – spytał Kedrigern z przyjaznym gestem.

– On tego nie – zagadkowo odpowiedział staruch.

– Czego nie?

– Kto?

– Aponthey.

– Czego chcesz od Apontheya?

– To Aponthey chce czegoś ode mnie. Jestem Kedrigern, czarownik, a to jest moja żona Księżniczka. Aponthey mnie zaprosił.

– Kedrigern? Ty jesteś Kedrigern? Czarownik? – spytał stary człowiek wysokim, drżącym głosem. Zaczął poklepywać różne części swojej osoby aż wreszcie wyciągnął parę grubych szkieł i niezgrabnie założył je na nos upuszczając przy tym laskę. Uzbrojony w okulary podszedł, żeby obejrzeć uważnie swoich gości i w końcu zapiał radośnie – Kedrigern! Kopa lat! Nic się nie zmieniłeś, ty stary łotrze!

– Aponthey? – spytał czarownik ostrożnie.

Starzec wybuchnął skrzekliwym śmiechem.

– Nie poznałeś mnie, co? Nigdy nie miałeś pamięci do twarzy. Zaklęcia, to jedyne co pamiętasz.

– No cóż, dawno się nie widzieliśmy.

– Prawie sześćdziesiąt lat – powiedział stary człowiek z satysfakcją. Założę się, że nie pamiętasz naszej ostatniej...

– Ależ pamiętam, pamiętam! To było w mojej wieży. Ty, Fraigus i paru innych przyszliście złożyć mi życzenia z okazji sto dziesiątej rocznicy urodzin. Przeciągnęło się to ładnych parę dni.

– Teraz nie urządza się już takich przyjęć – zauważył Aponthey. – Zresztą może to i lepiej. – Przyjrzał się Księżniczce i spytał – A to kto?

– Aponthey, przedstawiam ci moją żonę. – Na słowa Kedrigerna Księżniczka zrzuciła z ramion podróżną pelerynę i rozprostowała swoje tęczowe skrzydełka, a następnie wolno uniosła się z siodła i wylądowała na ziemi u boku męża.

– Ona lata – powiedział Aponthey ściszonym głosem. – Ma małe skrzydełka i lata! Piękna robota. Kto ją zrobił?

– Nikt jej nie zrobił. Jest prawdziwa i jest moją żoną.

– Jest prawdziwa?

– Miło mi cię poznać, Aponthey. Tyle o tobie słyszałam – powiedziała przemiło Księżniczka wyciągając dłoń.

– Jesteś prawdziwa i latasz – powtórzył cicho wstrząśnięty Aponthey.

– To są magiczne skrzydełka, ale stałe. Bardzo mocne i bardzo użyteczne – powiedziała Księżniczka z uśmiechem i zatrzepotała skrzydełkami.

– Skąd je masz?

– To długa historia.

– Opowiesz mi ją więc przy obiedzie... – zgodził się Aponthey. – A ty, Kedrigern, też będziesz miał co opowiadać. Cieszę się, że cię widzę, stary zbóju. Cieszę się, że wpadłeś. Co cię tu sprowadza?

– Sam mnie zaprosiłeś. W związku z jakimś kryształem.

– W związku z kryształem?

– Kryształ z niezwykłymi własnościami – pomagał Kedrigern.

– A, ten kryształ! Przypomnij mi, żeby ci go przed odjazdem pokazał. Ciekawa sztuka. Miałem posłać po znajomego czarownika i prosić go, żeby... – Aponthey umilkł i zamyślił się przez chwilę. – Zrobiłem to. I dlatego tu jesteś.

– Tak jest. Posłałeś ptaka z wiadomością.

– Małego złoto-srebrnego ptaka z perłowym dziobem?

– Właśnie tego.

– Nazywa się Skibreen. Wierny posłaniec, ale za grosz nie ma poczucia kierunku. Pokaże się tu pewnie za miesiąc lub dwa. Gdzie jest moja laska? Miałem laskę – powiedział Aponthey niespokojnie.

Kedrigern podniósł laskę i podał ją Apontheyowi. Ten wziął ją i przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Wejdźcie do środka – powiedział i wszedł pierwszy do domu.

– Zdolny młody człowiek Aponthey – mruknęła Księżniczka pod nosem uśmiechając się niewinnie. – Istne żywe srebro.

– Upłynęło zaledwie sześćdziesiąt lat, moja droga. Nawet nie całe sześćdziesiąt. Stale zapominam, jaki to długi okres czasu dla ludzi, którzy nie są czarownikami.

– To jest długi okres czasu nawet dla drzew. Wystarczy, żeby wyrósł las.

– Wiem, wiem. Ale przecież w końcu trafiliśmy, prawda?

– Chcę ci tylko uświadomić sytuację. Twojego przyjaciela zawodzi pamięć i będziesz musiał zadawać mu bardzo precyzyjne pytania, jeżeli masz zamiar pomóc mu w sprawie tego kryształu.

– Apontheya nie zawodzi pamięć. On zawsze był roztargniony. Ale zawsze słynął z dobrej kuchni, nawet w tamtych czasach. Sądzę, że możemy liczyć na znakomity obiad – powiedział Kedrigern biorąc Księżniczkę pod rękę.

I nie zawiedli się. Jedzenie było znakomite, przygotowanie mistrzowskie, podanie bezbłędne. Trzy urocze młode damy, całe z bladego złota i kości słoniowej, ze szmaragdowymi oczami i koralowymi ustami, w sukniach ze srebra zdobionego emaliowanymi drobnymi kwiatkami, przynosiły z kuchni danie za daniem, stawiały je na kredensie i wdzięcznie dygały przed gośćmi. Trzej brązowi lokaje z berylowymi oczami w barwnych czarno-czerwono-zielonych liberiach podawali do stołu poruszając się prawie bezszelestnie, z ledwie słyszalnym tykaniem wewnętrznych mechanizmów.

Kiedy zabrano półmisek, Kedrigern wydał ciche westchnienie człowieka usatysfakcjonowanego.

– Prawdziwa uczta, Aponthey – powiedział. – Taki posiłek to powód od dumy. Gratulacje dla kucharza.

– Wezwę go, żebyś mógł mu pogratulować osobiście. Stary Collindor jest łasy na pochwały, a ja ostatnio rzadko miewam gości – Aponthey uniósł mały, kryształowy dzwonek stojący przy jego ręce i potrząsnął nim, ale dzwonek nie wydał dźwięku.

Do pokoju na bezgłośnych rolkach wjechał stwór wyglądający jak dwa miedziane kotły połączone wielką sprężyną. Z górnego kotła wyrastało osiem elastycznych ramion. Dwa z nich trzymały trzepaczki do piany, jedno chochlę, dwa inne widelce i jedno ścierkę. Unosząc dwa pozostałe ramiona stwór odezwał się niskim, dudniącym głosem:

– Wzywałeś mnie, mistrzu?

– Tak, wzywałem. Moi goście chcą ci pogratulować – powiedział Aponthey wskazując Księżniczkę i Kedrigerna.

– Pieczeń była idealna – stwierdził Kedrigern.

– A jarzyny najlepsze, jakie jadłam w życiu – dodała Księżniczka.

– Chleb był przepyszny.

– Deser był dziełem sztuki.

– Jesteście zbyt uprzejmi – zadudnił Collindor gestykulując dwiema wolnymi kończynami i powściągliwie falując pozostałymi. – Wszystko to zasługa mojego mistrza. – Aponthey z zadowoloną miną pociągnął łyk wina. – Ale sos do deseru wymyśliłem sam.

– Wystarczy, Collindor. Wracaj do kuchni – rozkazał Aponthey.

– Jak mistrz rozkaże – odpowiedział stwór, wyjeżdżając bezgłośnie z pokoju.

– Ty go zrobiłeś, mistrzu? – spytała Księżniczka.

– Musiałem. Swego czasu miałem tu dużo klientów i wszyscy spodziewali się przyzwoitego posiłku. Collindor potrafi w ciągu godziny przygotować kolację na dwanaście osób. Utrzymuje też nienaganny porządek w kuchni.

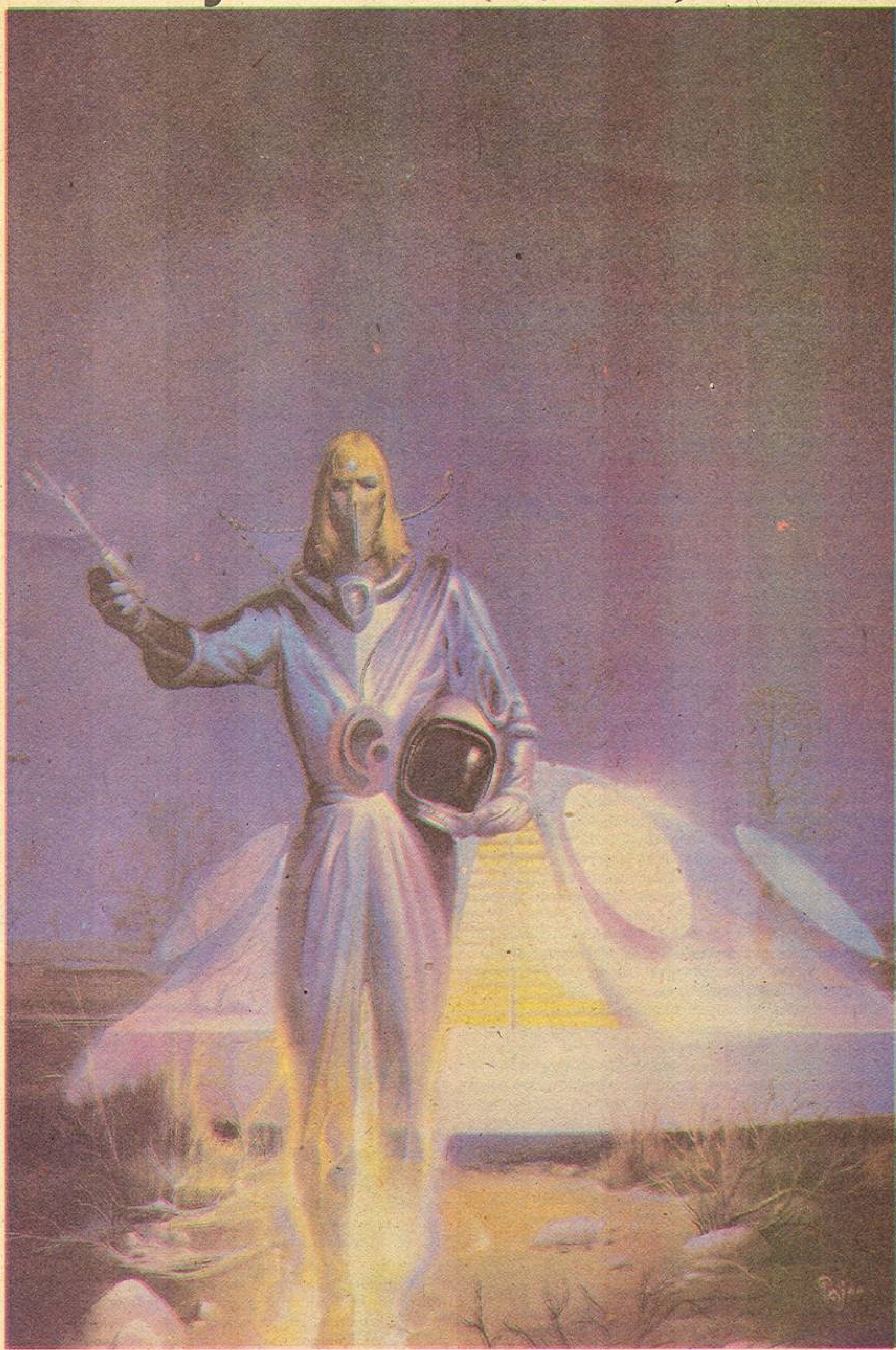
– Cóż za cudowny wynalazek!

Aponthey zmarszczył czoło.

– Collindor ma również swoje wady, Księżniczko. Po roku jego służby przytyłem sześćdziesiąt jeden funtów. Musiałem go przeprogramować, żeby ograniczył bardziej zawiesiste sosy, a jak już zacząłem, postanowiłem zrezygnować z powierzchow- ☞

Peter Jones – OBCY

GALERIA





ności na rzecz funkcjonalności. Jest najlepszym kucharzem, jakiego miałem w życiu i bardzo mi pomaga w domu. Nakręca wszystkich innych i sam siebie. Wielka to dla mnie ulga.

– Idealny sługa – powiedziała Księżniczka z podziwem.

– Nie całkiem. Niestety lubi eksperymentować z nowymi przepisami.

– Wszyscy dobrzy kucharze eksperymentują.

– Ale nie dodają mrówek, żwiru, sprężyn i kleju do duszonych fig – powiedział Aponthey z gniewem.

– Z reguły nie. Służbę należy instruować bardzo precyzyjnie – wtrącił Kedrigern. – My mamy młodego trolla do wszystkiego. Azor jest silny, sumienny i można na nim polegać, ale wymaga przemyślanych instrukcji. Pamiętam, jak kiedyś zaproponowałem, żeby zrobił na kolację coś oryginalnego i...

– Kedyś, proszę. Nie po jedzeniu – przerwała mu Księżniczka z wyrazem obrzydzenia.

– Przepraszam, moja droga.

– Dość już rozmów o służbie – powiedział Aponthey. – Co to za kryształ, o którym wspomniałeś? Przyznaję, że mnie to zaciekawiło.

– Ależ to twój kryształ. Prosiłeś mnie, żebym przyjechał go obejrzeć – odparł Kedrigern.

Aponthey był autentyczne zaskoczony.

– Naprawdę? W takim razie musi być gdzieś tutaj. Może w... nie, nie tam. W starym... nie. – Zmarszczył czoło, mrucząc coś pod nosem i wreszcie powiedział. – Zadzwonię na Collindora. On będzie wiedział – tu podniósł kryształowy dzwonek, potrząsnął nim i jego twarz nagle się rozjaśniła. – To jest to, Kedrigern! To ten kryształowy dzwonek! Masz. Weź go i spróbuj zadzwonić.

Kedrigern ująwszy rączkę dzwonka kciukiem i dwoma palcami lekko nim potrząsnął. Dzwonek nie wydał żadnego dźwięku. Kedrigern wymienił spojrzenia z Księżniczką, która wzruszyła ramionami. Kedrigern ponownie potrząsnął dzwonkiem, tym razem mocniej. Nadal żadnego dźwięku. Chwyciwszy rączkę całą garścią czarownik machnął dzwonkiem trzykrotnie z całej siły. Nic.

– Nie rozumiem. Dzwonek ma serce, które uderza o ścianki. Czy jest zaczarowany?

Aponthey schował głowę w ramiona i odwrócił dłonie w geście symbolizującym pełną bezradność.

– Nie mam o tych sprawach pojęcia. Pewnie dlatego cię zaprosiłem. Zaprosiłem cię, prawda?

– Zdecydowanie tak. Wspomniałeś o „niezwykłych własnościach". Co miałeś na myśli?

Na twarzy Apontheya znów odmalowało się zdziwienie.

– No, on nie dzwoni – powiedział po chwili. – To jest niezwykłe jak na dzwonek. Dzwonki zwykle dzwonią.

– A gdzie jest Collindor? – spytała Księżniczka. – Kiedy Aponthey dzwonił na niego poprzednio, przyszedł, a teraz nie.

– To dlatego, że ja o nim myślałem, kiedy dzwoniłem, a Kedrigern nie. Na tym polega działanie tego dzwonka. To jest chyba jeszcze jedna niezwykła jego cecha.

– Chyba tak. – Kedrigern podniósł kryształowy dzwonek tak, żeby światło świec przechodziło przez jego krawędzie. Potem wyjął swój medalion, przyjrzał się dzwonkowi przez Otwór Prawdziwego Widzenia i wykrzyknął – Aha!

– Co to ma znaczyć? – spytał Aponthey ostrożnie.

– Coś uwięzło w tym dzwonku – powiedział Kedrigern nie odrywając oczu od przedmiotu rozmowy.

– I to wszystko? Powiem Collindorowi, żeby go umył, Aponthey roześmiał się z zażenowaniem. – Myślałem, że to coś magicznego, a to, okazuje się, były jakieś okruchy. Cóż, wzrok już nie ten...

– To nie okruchy. Masz tu uwięzionego ducha.

– Naprawdę? To jakiś mały duch.

– U duchów rozmiary to sprawa drugorzędna – powiedział Kedrigern z zadumą obracając kryształowy dzwonek w dłoniach. Potem postawił go przed sobą na stole i nie spuszczając z niego oka powiedział. – Czy moglibyście zachować absolutne milczenie i nie ruszać się? Chciałbym zamienić parę słów z tym duchem.

Księżniczka i Aponthey zgodnie kiwnęli głowami. Kedrigern wyciągnął nitkę ze swojej koszuli, zawiązał jeden koniec wokół rączki dzwonka i zawiesił go na łyżce, która oparł na dwóch pustych kielichach. Dzwonek wisiał teraz w powietrzu. Kedrigern wypowiedział zdanie w jakimś niezrozumiałym języku i dzwonek zaczął drgać w zupełnej ciszy, żeby powoli znieruchomieć. Rój małych świetlistych punktów przebiegł po nim z góry w dół i zastygł w złotej połyskującej obręczy wokół jego obwodu.

– Duchu dzwonka – przemówił Kedrigern cichym, uroczystym głosem – czy mnie słyszysz i rozumiesz? Zadzwoń raz na tak i dwa razy na nie.

W pokoju rozległ się jeden suchy dźwięk. Kedrigern mrugnął w stronę Księżniczki, zanim przeszedł do następnego pytania.


Alicja Szubert-Olszewska

– Czy jesteś uwięziony w dzwonku?

Dzyń.

– Czy jesteś więźniem od wielu, wielu wieków?

Dzyń, dzyń, zdecydowanie.

– Nie? A więce niedawne uwięzienie. Krócej niż sto lat?

– Dzyń.

– Mniej niż dwadzieścia lat?

– Dzyń.

– Mniej niż pięć?

Energiczne dyndnięcie, od którego zadrżała łyżka.

– To bardzo świeże zaklęcie. Ciekawe, że nie słyszałem... chyba że... Duchu dzwonka, czy zaklęcie jest dziełem kogoś, kogo znasz?

– Dzyń, dzyń.

– Chyba rozumiem. Czy to była pułapka zastawiona na pierwszego, który się nawinie?

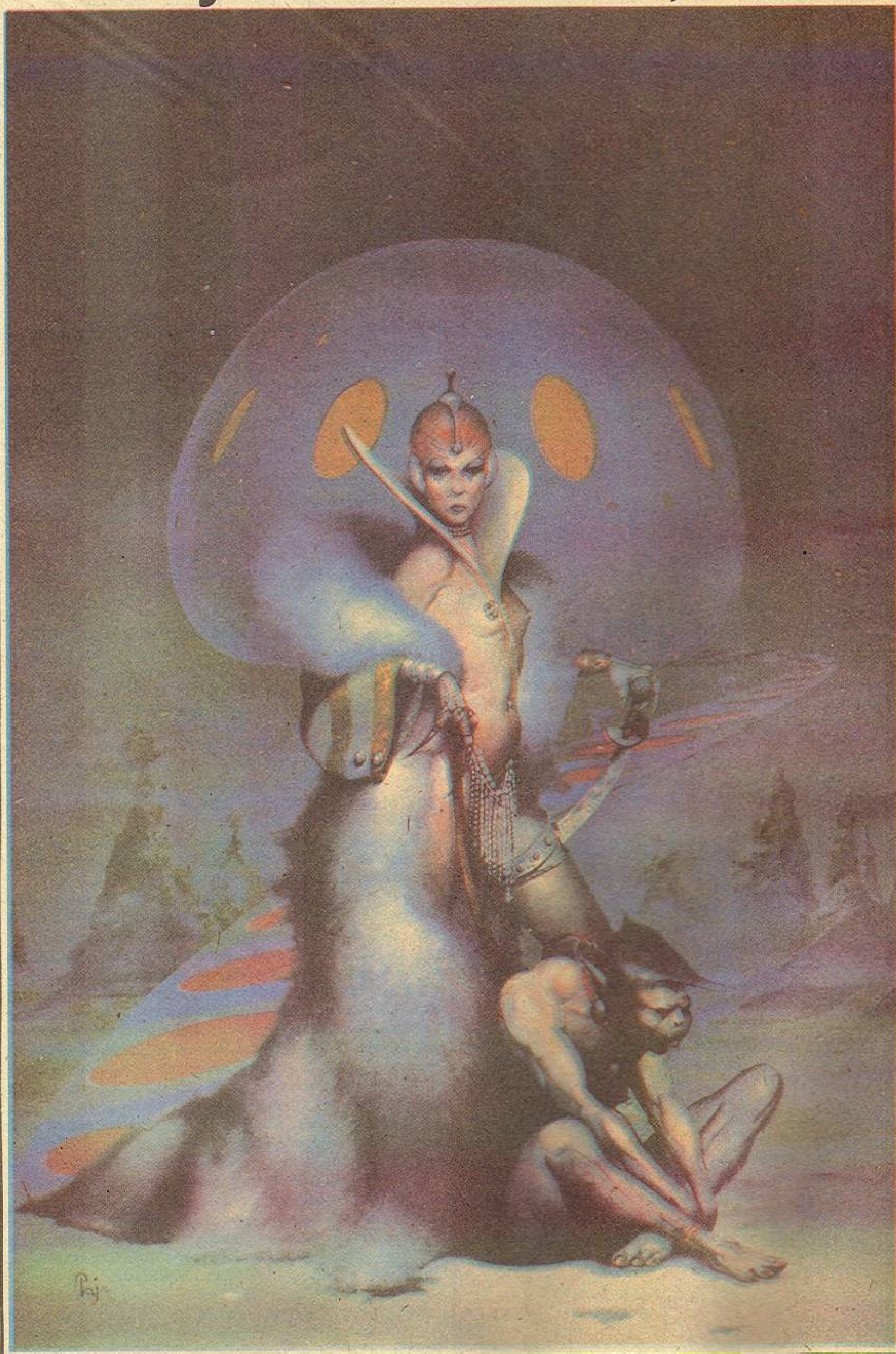
Głośny dzwonek.

– Czy chcesz być uwolniony?

Bardzo głośny dzwonek.
– Dobrze. Słuchaj teraz uważnie. Jeżeli mam cię uwolnić, muszę uzyskać pewne informacje, a ten system porozumiewania się jest bardzo czasochłonny.
Dzyń.
– Cieszę się, że jesteśmy co do tego zgodni. Dowiem się, czego się da, od Apontheya, a potem spróbuję wynaleźć szybszy sposób dochodzenia do prawdy. Wrócę, jak tylko wpadnę na jakiś trop. Czy jest ci wygodnie?
Dzyń, dzyń.
– Przepraszam. Postawię cię na stole. Czy tak będzie lepiej?
Dzyń.
Kedrigern odwiązał nitkę i postawił kryształowy dzwonek na stole w bezpiecznej odległości od krawędzi. Poblask na obwodzie dzwonka rozsypał się w plamki złocistego światła, które zawirowały i z wolna popłynęły ku górze, gdzie gasły. Księżniczka obserwowała te ruchome drobiny światła ze zmarszczonym czołem.
– Zadaj temu czemuś jeszcze jedno pytanie – poprosiła.
– Jeżeli sobie tego życzysz, moja droga – Kedrigern wziął dzwonek i ponownie uwiązał go na nitce. – O co chcesz spytać?
– Spytaj go, czy był kiedyś w krysztale Caracodissy.
– Moja droga, czy naprawdę sądzisz...?
– Poznałabym te świetliki na końcu świata. Ten nędzny duszek zmuszał mnie do mówienia do tyłu, na boki i do góry nogami, wszystko tylko nie normalnie, i jeżeli teraz myśli, że będę stać bezczynnie i patrzeć, jak go uwalniasz, to czeka go wielka niespodzianka. Proszę, spytaj go – powiedziała Księżniczka i w jej głosie słyszało się stal.
– I co ty, duchu, na to? Czy mieszkałeś kiedykolwiek w krysztale Caracodissy? – spytał Kedrigern.
Przez chwilę złote świetliki spływały, żeby utworzyć błyszczący krąg wokół otworu dzwonka, potem rozległo się niechętne ciche dzyń.
– I czy zmuszałeś tę damę do mówienia na różne trudne i ośmieszające sposoby?
Jedno dzyń, jeszcze cichsze niż poprzednio.
– No tak. To zmienia postać rzeczy, prawda?
Tym razem dzyń było ledwie słyszalne.
– Nie chcę być okrutna, Keduś, ale on się ze mnie wyśmiewał. Najpierw zmusił mnie do mówienia w idiotyczny sposób, a potem się śmiał, kiedy go uwolniłam! – powiedziała Księżniczka z oczami pałającymi gniewem.
– Ale pozwolił ci mówić, moja droga.
– Tylko na krótko i w idiotyczny sposób.
– I poza tym wcale nie chciałaś go uwolnić. Po prostu rozbiłaś kryształ na kawałki i duch uciekł.
– No i szczęśliwej drogi – powiedziała Księżniczka lodowatym głosem.
– Może on wcale nie śmiał się z ciebie. Może dał upust radości po uwolnieniu się z więzienia. – Po tych słowach dzwonek dał jeden potwierdzający głos i Kedrigern zakończył – Widzisz, moja droga? To nie było wcale szyderstwo.
– Ale śmiał się.
– A ty byś się nie śmiała w podobnej sytuacji?
– Jako Księżniczka wzięłabym pod uwagę uczucia innych i powstrzymałabym się od objawów radości, póki nie oddaliłabym się od osób, które zmusiłam do mówienia od tyłu – powiedziała Księżniczka z wyższością.
Kedrigern ujął jej dłonie w swoje.
– Nie każdy, moja droga, korzystał z przywileju dobrego wychowania. Młody, żądny przygód duch puszczony samopas w świat, a potem uwięziony w krysztale nie ma wielkich szans na zdobycie ogłady towarzyskiej.
– To trzeba go ogładzić.
– Może ostatnie cierpienia czegoś go nauczyły. Gdybym tylko mógł z nim normalnie porozmawiać... Zobaczmy, czego się uda dowiedzieć od Apontheya. Może ten duch szczerze żałuje tego co zrobił...
– Żałuje, że się dał znów złapać i tyle. To duch bardzo podrzędnej klasy.
– Tym bardziej zasługuje na pobłażanie, moja droga – Księżniczka zareagowała cichym, ale wcale nie pobłażliwym sapnięciem, a Kedrigern zwrócił się na Apontheya. – Czy możesz nam powiedzieć coś więcej na temat tego dzwonka? Czy ma jakieś inne niezwykłe właściwości, które sobie przypominasz? – Kiedy Aponthey odpowiedział tylko gestem bezradności i zdziwionym wyrazem twarzy, czarownik spytał – Zacznijmy od tego, skąd ten dzwonek znalazł się w twoim posiadaniu? Może to ma jakiś związek...
– Niezwykłe własności! O to mi chodziło! Mam ich pełną stodołę i ten dzwonek był w jednej z komódek, wziąłem go więc, żeby przywoływać nim Collindora.
– Stodoła pełna niezwykłych własności? – upewnił się Kedrigern.
– Stare meble Pemmeny'ego: komody i szafy, kredensy i łoża, stoły, krzesła, lustra i...
Kiedy Aponthey wspomniał o lustrach dzwonek rozdzwonił się jak oszalały i dzwonił, póki Kedrigern nie kazał mu zamilknąć.
– Czy nie ma tam przypadkiem pięciu identycznych luster? – spytał gospodarza.
– Może i są, nigdy nie sprawdzałem. Stary Pemmeny skupował używane meble po całym królestwie. Pozwalałem mu korzystać z mojej stodoły, w zamian za co ja mogłem korzystać z mebli. Lustra nigdy nie były mi potrzebne.
– Chciałbym obejrzeć te niezwykłe własności.
– To kupa starych gratów, Kedrigern. Nic, co mogłoby zainteresować czarnoksiężnika.
– Może i tak, ale chciałbym je mimo to obejrzeć.
– Jak sobie życzysz. Możemy na nie rzucić okiem po obiedzie.
– Właśnie skończyliśmy obiad.
– Aha. W takim razie chodźmy spojrzeć na te meble. Lustra, powiadasz.
I znów kryształowy dzwonek rozdzwonił się entuzjastycznie i Kedrigern jeszcze raz zwrócił się do niego z pytaniem.
– Powiedz mi prawdę, duchu. Czy szukałeś luster Moggropple?
Dzyń.
– Czy w trakcie tych poszukiwań zostałeś uwięziony w tym dzwonku?
Dzyń.
– Czy miałeś zamiar uwolnić Moggropple z tych luster?
Dzyń.
– Czy wiesz, jak to zrobić?
W odpowiedzi usłyszał dwa głuche, smutne dzwonki.
– Może uda mi się coś zrobić dla was obojga – powiedział Kedrigern a potem zwrócił się do Księżniczki. – Chyba teraz, moja droga, nie będziesz miała nic przeciw temu, że pomogę temu duchowi. Wpadł w pułapkę w czasie wykonywania misji miłosierdzia.
– No dobrze, już dobrze – powiedziała Księżniczka.
– Co to wszystko znaczy, Kedrigern? Kto to jest Moggropple? Czy chcesz powiedzieć, że mam w stodole stos magicznych luster? Co to ma wspólnego z tym dzwonkiem? – dopytywał się całkowicie zagubiony Aponthey.
Kedrigern uspokoił go. Po drodze do stodoły opowiedział przyjacielowi historię nieszczęsnej Moggropple wspomagany cichymi uwagami natury ironicznej ze strony Księżniczki.
Wszystko zaczęło się od magicznego przedmiotu zwanego kryształem Caracodissy, sześcianu nieznanego pochodzenia, który był prawdziwą skarbnicą pożytecznych zaklęć i kontrzaklęć. Żeby uzyskać dostęp do określonego zaklęcia (lub kontrzaklęcia), należało wywołać ducha kryształu, który następnie powodował, że potrzebne zaklęcie (lub kontrzaklęcie) pojawiało się na wszystkich sześciu ścianach, choć wzywający widział tylko jedną. Rzecz w tym, że na każdej ściance zaklęcie (lub kontrzaklęcie) występowało w nieco odmiennej wersji, a tylko jedna była właściwa. Wygłoszenie niewłaściwej dawało nieoczekiwane, a zwykle niepożądane rezultaty.
Przez stulecia ludzie godzili się na szanse jak jeden do sześciu, ale sprytna i pomysłowa czarodziejka imieniem Moggropple wymyśliła sposób na obejście tego ograniczenia. Ustawiła sześcian na szklanej tafli i otoczyła go z pięciu stron lustrami, a sama obserwowała szóstą ściankę od dołu. Kiedy ukazało się wywołane przez nią zaklęcie, wyrecytowała najszybciej jak mogła wszystkie sześć wersji, jedną po drugiej.
Czy to w pośpiechu coś przekręciła, czy też duchowi kryształu, samemu kryształowi lub twórcy kryształu nie spodobał się jej pomysł, nikt nie umie powiedzieć. Dość, że Moggropple została uwięziona w lustrach. W pięciu postaciach. I nikt nie



Peter Jones – OBCY



miał pojęcia nie tylko, jak ją uwolnić, ale nawet która Moggropple jest prawdziwa.

– Po raz pierwszy usłyszałem o niej, kiedy studiowałem u Fraigusa z Murk. Zawsze chciałem zobaczyć te lustra – zakończył Kedrigern.

– A co stało się z kryształem? – spytał Aponthey.

– Rozbiłam go w drobny mak – powiedziała mściwie Księżniczka. – W ten sposób duch wydostał się na wolność. Niedługo się nią cieszył, półgłupek.

– Widocznie ma wielką słabość do kryształów – powiedział Kerdigern.

Stodoła Aponthéya była bardzo duża i zastawiona bez żadnego ładu i składu wielką ilością gratów. Pełniła kiedyś rolę warsztatu, ale popadała w zapuszczenie w miarę jak Aponthey stawał się coraz bardziej krótkowzroczny i przechodził od mechanicznych figur naturalnej wielkości do coraz mniejszych cacek w rodzaju maszerującej w nogę kolumny dziewięćdziesięciu sześciu mrówek, nad którą obecnie pracował. Dla podreperowania budżetu wynajął stodołę na magazyn, nie troszcząc się o to, co tam przechowywano i jak. W rezultacie musieli przeszło godzinę przeciskać się między kanciastymi i zakurzonymi przedmiotami, zanim zawołał:

– Jest! Jest komódka, w której był dzwonek!

– Zatem lustra muszą być gdzieś w pobliżu. Szukajcie pięciu luster – powiedział Kedrigern, unosząc latarnię.

– Tutaj, tutaj! – zawołała w kilka chwil później Księżniczka. – Pięć luster w rzędzie!

Obaj mężczyźni dołączyli do niej i postawili swoje latarnie oświetlając mroczny zakątek stodoły, w którym w równym rzędzie stało obok siebie pięć luster. Na pierwszy rzut oka były identyczne: nieco wyższe i szersze niż rosły mężczyzna, stały na wymyślnie rzeźbionych i pozłacanych postumentach. Kedrigern przyjrzał im się uważniej i stwierdził pewną różnicę: każde lustro miało rzymską cyfrę, od I do V, wyrzeźbioną w złoconym medalionie wieńczącym postument. Lustra były okryte ciężkimi kapami, zapewne dla ochrony szkła, ale niewykluczone, że i dla ochrony osób, które mogłyby tu zajrzeć. Wszystkie były skierowane w tę samą stronę.

– Czy spojrzałaś do luster, moja droga? – spytał Kedrigern.

– Uniosłam tylko na chwilę róg kapy, żeby sprawdzić czy to lustro.

– To dobrze. Nie jestem pewien, co tam możemy zobaczyć i wolę nie ryzykować.

– Lustra potrafią być zdradzieckie – zauważył nie bez lęku Aponthey.

– Te należą do najbardziej zdradzieckich. Czy Pemmeny mówił ci, dlaczego ustawił je w rzędzie?

– Nie, ale mówił mi, żeby ich nie ruszać. Pod żadnym pozorem.

Kedrigern skinął głową.

– Zatem nie będziemy ich ruszać. Możliwe, że kiedy są zwrócone ku sobie, zachodzi jakaś reakcja.

– Co do mnie, to w ogóle zostawiłbym je w spokoju. Niech sobie stoją. Lustrom nie można wierzyć – powiedział Aponthey.

– To prawda. Ale kiedy pomyślę o Moggropple uwięzionej przez tyle lat po tamtej stronie lustra... i o tym biednym, niemądrym duchu, który próbując ją uwolnić, sam stracił wolność... Musimy zrobić co w naszej mocy.

– Chyba masz rację – zgodziła się Księżniczka bez widocznego entuzjazmu.

– Jesteście oboje szaleni. Ty, Kedrigern, zawsze miałeś zbyt dobre serce – zrzędził Aponthey.

– To nie jest dobroć, to zawodowa solidarność.

– Na to samo wychodzi. Ja nie chcę się do tego mieszać. Nie chcę mieć do czynienia z bandą lustrzanych czarownic. Ja nie jestem czarownikiem. Jestem uczciwym rzemieślnikiem na emeryturze, który marzy o spokojnej starości. Chcę pracować nad swoimi mechanicznymi mrówkami

– To może zaczekasz na nas w domu? – zaproponował Kedrigern.

– I mam wszystko przegapić? Nie, usiądę tutaj, przy tym kredensie, skąd będę mógł łatwo uciec, jeżeli sprawy przybiorą zły obrót. Możesz zaczynać swoje magiczne sztuczki, nie będę się wtrącał – powiedział Aponthey zmierzając ciężko w stronę krzesła stojącego przy drodze odwrotu.

– Ja siądę obok Apontheya, żeby się tak nie bał – szepnęła Księżniczka.

Kedrigern oblizał wargi, które nagle okazały się bardzo suche. Podwinął rękawy koszuli, przyjrzał się po kolei wszystkim lustrom i ostrożnie ściągnął zasłonę z lustra I. Zobaczył w nim swoje własne odbicie, dużą wiśniową szafę za sobą i nic więcej. To samo zrobił z lustrami od II do V i w żadnym z nich nie dostrzegł nic, co mogłoby przypominać czarownicę.

– Nie ma w nich nic magicznego. Zwykłe lustra, ale i tak mi się nie podobają – mruknął Aponthey.

Kedrigern wyciągnął swój medalion i spojrzał na każde lustro przez Otwór Prawdziwego Widzenia. Zobaczył jakieś niewyraźne kształty falujące w każdym, ale były one tak ulotne, że mógł to być efekt optyczny patrzenia przez otwór, co zawsze wymagało natężenia wzroku. Kedrigern wpuścił medalion za koszulę i założywszy ręce przyglądał się lustrom w zadumie.

Po chwili odchrząknąwszy powiedział głośno i wyraźnie:

– Moggropple, czy jesteś tam? Uwolnię cię, jeżeli potrafię, ale wpierw muszę wiedzieć, że tam jesteś. Ukaż się, Moggropple!

Ledwo skończył te słowa, kiedy we wszystkich lustrach rozjarzył się lekki, stopniowo się nasilający poblask, a wokół niego zaczął się formować kształt. Wkrótce we wszystkich lustrach widniała postać siwowłosej kobiety w ciemnobłękitnej szacie. Była to piękna kobieta o smutnych, ciemnych oczach, wytwornych długich palcach i szlachetnych rysach. Wyglądała na osobę około dwustupięćdziesiątki.

– Niech przemówi ta z was, która jest prawdziwą Moggropple! – rozkazał czarownik.

W jednej chwili jak na komendę z luster wyrwał się szum głosów, wypełniając stodołę pięciokrotnym echem wołającym:

– To ja! Nie słuchaj tamtych, to wszystko zwidy, tylko ja jestem prawdziwa! One nie są prawdziwe, ja jestem prawdziwa, tylko ja, ja, słuchaj tylko mnie, na tamte nie zwracaj uwagi, to są fałszywe twory, ja jestem Moggropple, ja, ja! Tamte nie, ja! Uwolnij mnie! To ja jestem prawdziwa, w tym lustrze, w tym, nie w tamtych! Ja! Ja! – wszystko to nakładało się na siebie i przeplatało w kontrapunktowej dysharmonii. Kedrigern słyszał gniewny głos, podniesiony głos, ponaglający głos, gniewny rozkazujący głos, podniesiony ponaglający głos – wszystkie podobne ale i nieco odmienne. Cofnął się pod ich naporem, zaraz jednak doskoczył do luster i szybkimi ruchami narzucił na nie zasłony wzbijając przy tym tumany kurzu, ale przywracając ciszę.

– No cóż, teraz wiemy, że ona tam jest – powiedział otrzepując kurz z rąk i z koszuli. – Pozostaje tylko stwierdzić, która z nich jest prawdziwą Moggropple i dowiedzieć się, jak ją wyciągnąć. – Kiedy Księżniczka i Aponthey nic nie odpowiedzieli, tylko spojrzeli na niego jakby majaczył, dodał jeszcze – Czy są jakieś propozycje?

– Młotkiem je – warknął Aponthey.

– Na to nie mogę się zgodzić. To zbyt niebezpieczne.

– I bardzo okrutne – powiedziała Księżniczka posyłając Apontheyowi karcące spojrzenie.

– Co w tym okrutnego? To by je wyciągnęło z luster w mgnieniu oka.

– Nie mamy wcale takiej pewności. Tu chodzi o czary, Aponthey, a czary to śliska sprawa. Dla dobra nas wszystkich będę tu działać bardzo metodycznie.

– Porozmawiaj z każdą z osobna – zaproponowała Księżniczka.

– Świetny pomysł. – Kedrigern odwrócił się ku lustrom, zawahał się i z powrotem zwrócił się do Księżniczki. – Czy jako kobieta i osoba, która sama przeżyła uciążliwe zaklęcie, możesz zaproponować linię przesłuchania?

– Ty jesteś tu mistrzem czarów, Keduś – odparła Księżniczka z szacunkiem.

Przyjąwszy jej słowa lekkim uśmiechem i skinieniem głowy Kedrigern ponownie zwrócił się do luster. Odrzucił zasłonę i stanął oko w oko z Moggropple, która z założonymi na piersi rękami mierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– No, wyciągnij mnie stąd – syknęła.

– Musisz mi wpierw powiedzieć jak – odparł.

Westchnęła przesadnie, demonstrując cierpliwość dochodzącą do kresu, wzniosła oczy ku niebu i mruknęła „Czarownicy!". Po chwili opanowała się i powiedziała:

– To bardzo proste. Ustaw mnie tak, żeby padł na mnie pierwszy promień wschodzącego słońca. Pozostałe lustra ustaw w pięciokąt z jednym bokiem wolnym i to cała filozofia.

– Czy te pozostałe mają być zwrócone do środka, czy na zewnątrz?

– Oczywiście, do środka. Czy ty nic nie wiesz?

– Dziękuję ci. Wrócę jeszcze do ciebie – powiedział Kedrigern zarzucając zasłonę na lustro, zanim ukryta w nim postać zdążyła zaprotestować.

– To wydaje się całkiem łatwe – zauważył Aponthey.

– Tak, pod warunkiem, że rozmawiałem z prawdziwą Moggropple. W przeciwnym razie może to być przepis na wypuszczenie w świat lustrzanych postaci.

– A co w tym złego? Przecież nie zajęłyby nikomu miejsca. Wypuść je wszystkie, Kedrigern, żebyśmy mogli wreszcie wyjść z tej stodoły.

– Aponthey, czy nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie się w tym kryje? Takie obrazy są cieńsze niż listek złota i ostrzejsze niż czarodziejski miecz. Gdyby tak któraś z nich potrąciła kogoś bokiem, osoba ta zostałaby przecięta na pół. Jedna taka lustrzana postać wypuszczona w tłum i wyglądałoby to jak koszenie pszenicy!

– No tak – przyznał Aponthey po dłuższej chwili zadumy – masz rację, bądź ostrożny. Ale pośpiesz się trochę.

Kedrigern odrzucił zasłonę z lustra II i Moggropple natychmiast powiedziała.

– A, jesteś. Oto co musisz zrobić, drogi przyjacielu, żeby mnie stąd wydostać: ustaw mnie tak, żebym złapała ostatni promień zachodzącego słońca a pozostałe cztery ustaw przodem do białej ściany, na której sadzą wypiszesz runy...

– Będziemy w kontakcie – przerwał jej Kedrigern zasłaniając lustro i przechodząc do numeru III. Tutaj został pouczony, że ma ustawić lustro na południe a pozostałe ustawić parami twarzą do siebie. Numer IV otwarcie przyznał, że nie ma pojęcia, jak się uwolnić, a numer V, ku zadowoleniu Aponthey'a, kazał ustawić się twarzą do księżyca w pełni i następnie rozbić wszystkie pięć luster srebrnym młoteczkiem. Kedrigern przykrył lustro V i odwrócił się do Księżniczki. Wyglądał na czarownika głęboko zdegustowanego.

– Porozmawiałem z każdą z osobna. Są jakieś inne pomysły?

– Myślę, Keduś – odpowiedziała Księżniczka cierpliwie.

– Teraz, kiedy rozbudziliśmy jej nadzieje, musimy naprawdę coś wymyśleć, żeby pomóc nieszczęsnej Moggropple. Pomyśl o niej, uwięzionej w lustrze przez tyle długich lat. Niezależnie od upokorzenia zawodowego, zgniecenie do dwóch wymiarów musi być wielce dotkliwe dla kogoś, kto przywykł do życia w trzech.

Księżniczka spojrzała na niego przenikliwie. Jej oczy promieniały natchnieniem. Klasnęła w dłonie i z cichym brzęczeniem swoich skrzydełek uniosła się z krzesła i przysiadła na szczycie wiśniowej szafy.

– Zdaje mi się, że mam – ogłosiła.

– Moja droga, przekazuję sprawę w twoje ręce – skłonił się dwornie Kedrigern.

– Dobrze. Zajmę się wszystkim, ale najpierw musicie ustawić lustra na wprost tej wąskiej szpary w ścianie. Potem usuńcie się z widoku i pozwólcie mi porozmawiać ze wszystkimi po kolei.

– Jak rozkażesz. Chodź, Aponthey, pomożesz mi przesuwać lustra.

– Dlaczego? Pemmeny zabronił mi je ruszać – powiedział Aponthey zasłaniając się rękami.

– A ja ci mówię, że trzeba je przesunąć. Póki nie są zwrócone przodem do siebie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Rusz się.

– Te rzeczy są ciężkie – pokręcił głową Aponthey. – Użyj swoich czarów.

– Dobrze wiesz, że czary są bezcenne i nie marnuje się ich na przesuwanie mebli. Pomóż mi.

Narzekając i mamrocząc Aponthey wstał i przyłączył się do czarownika. Właściwie należało tylko odwrócić lustra, żeby były skierowane przodem do ściany stodoły zamiast do jej wnętrza, ale sapanie, stękanie i zduszone okrzyki Aponthey'a sugerowały, że chodzi o przenoszenie gór.

Kiedy praca została wykonana i Aponthey wrócił na swoje miejsce rozcierając sobie plecy i pojękując, Księżniczka przeleciała przed lustro I. Przypomniawszy mężczyznom, że mają siedzieć cicho i nie pokazywać się, zrzuciła z lustra zasłonę.

– Kto ty jesteś? Gdzie jest czarownik? Powiedziałam mu, co ma robić, po co więc ta zwłoka? – naparła Moggropple.

– Zdarzył się straszny wypadek. Drugi koniec stodoły zawalił się i jesteśmy tu uwięzieni. Jest tylko ta szczelina w ścianie – podnieconym głosem powiedziała Księżniczka wskazując za siebie – ale nikt z nas się przez nią nie przeciśnie.

– A ja się przecisnę. Wypuść mnie, dziewczyno.

– Jeszcze nie teraz. Przepraszam – powiedziała Księżniczka narzucając zasłonę. Potem przeszła do lustra II, gdzie powtórzyła tę samą opowieść i otrzymała prawie identyczną odpowiedź. Dalej przeszła do numeru III i przeskoczyła do V. W obu przypadkach rozmowa z Moggropple przypominała pierwszą. Wróciwszy do lustra IV Księżniczka odsłoniła je i powtórzyła bajeczkę o zawaleniu się stodoły.

– Ładne rzeczy. Tego tylko mi brakowało. Kiedy na koniec mam szansę uwolnić się z lustra, zostaję uwięziona w stodole – powiedziała kwaśno Moggropple – No cóż, uwolnij mnie, jeżeli znalazłaś sposób.

– Ale przecież wcale nie musisz tu być więźniem. Możesz prześlizgnąć się przez tę szczelinę w ścianie – rzuciła z niewinną miną Księżniczka.

– Nie bądź niemądra, moje dziecko. Skoro tylko wyjdę z tego lustra, będę znów normalną trójwymiarową kobietą. Nie sądzisz chyba, że będę płaska jak cień, prawda? Bądź rozsądna. To jest dobre, póki się jest w lustrze, ale nie w prawdziwym świecie.

– Ty jesteś prawdziwą Moggropple! – zawołała ucieszona Księżniczka.

– Oczywiście, że tak. O czym ty mówisz, dziewczyno? Czy nie potrafisz odróżnić kobiety od jej odbicia w lustrze?

– To są bardzo przekonywające odbicia. Ale nieważne. Czy znasz jakiś sposób na wydostanie się z lustra?

– Żadnego. To stało się tak nagle...

– Tak, słyszałam.

Obie kobiety pogrążyły się na chwilę w zadumie. Wreszcie Moggropple westchnęła i powiedziała:

– Oczywiście, gdybyś miała kryształ, nie byłoby problemu.

– Jaki kryształ?

– Kryształ Caracodissy. Pewnie o nim słyszałaś.

– Nie ma go już, Moggropple. Został rozbity w drobny mak – powiedziała Księżniczka zniżając głos dla przekazania tej wiadomości.

Z piersi Moggropple wyrwał się jęk rozczarowania.

– Więc wszystko przepadło! Duch został uwolniony i nigdy go już nie znajdziemy!

– Chwileczkę. Czy, żeby się uwolnić, potrzebny ci jest kryształ Caracodissy, czy duch, który w nim mieszkał?

– Może mnie uwolnić tylko duch tego kryształu, on i nikt inny. Kryształ jest niczym, duch jest wszystkim.

Twarz Księżniczki rozjaśniła się uśmiechem.

– Jeżeli potrzebny ci jest duch, to nie ma problemu. Ducha mamy w domu.

– Przecież powiedziałaś mi, że kryształ został rozbity – zdziwiła się Moggropple.

– To prawda, i duch odleciał. Ale wrócił, żeby cię odszukać i wpadł w inną czarnoksięską pułapkę. Jest teraz uwięziony w kryształowym dzwonku.

– Ryzykował swoją wolność, żeby mi pomóc... Jaki kochany duszek! Zaprzyjaźniliśmy się wprawdzie przez lata wspólnej pracy, ale nigdy nie spodziewałam się aż takiego oddania... takiej lojalności. – Moggropple wdzięcznym ruchem strąciła łzę i drżącym głosem dodała – To bardzo wzruszające.

Kedrigern był w drodze do domu na pierwszą wzmiankę o duchu. Kiedy Moggropple odzyskała panowanie nad sobą, Księżniczka powiedziała:

– Kryształ jest w drodze, ale muszę ci coś zdradzić. Zapytany, wyznał, że nie wie jak cię uwolnić.

– O, na pewno wie. Nie wie, że wie ale wie i ja wiem, że on wie – zapewniła ją Moggropple.

I tak też było. Kiedy Kedrigern wrócił i wręczył dzwonek Księżniczce, mały kryształ jarzył się wędrującymi światełkami. Na widok Moggropple rozdzwonił się radośnie drżąc nie-

cierpliwie w palcach Księżniczki i ciągnąc ją w stronę lustra, w stronę wyciągniętej dłoni Moggropple.

– Chce do mnie przyjść – powiedziała Moggropple.

– Ale jak? Szkło...

– Widocznie pamięta kontrzaklęcie. Zaufajcie mu.

Dzwonek wyrywał się do lustra, a Księżniczka stopniowo zwalniała uchwyt, aż trzymała dzwonek za sam brzeg otworu. Wędrujące światełka zbiegły się wszystkie do rączki dzwonka i kiedy ta dotknęła powierzchni lustra, rozproszyły się we wszystkich kierunkach, zmieniając lustro w mętną poświatę,



Alicja Szubert-Olszewska

jak powierzchnia spokojnego jeziora przy pełni księżyca. Potem blask przygasł i szkło jakby się roztopiło, znikło, jak srebrzysta mgła rozwiana podmuchem porannego wiatru. Z tej mgły wyszła Moggropple z dzwonkiem w ręku.

– Mówiłam ci, że on wie – stwierdziła spokojnie, po czym wręczyła dzwonek Kedrigernowi. – Możesz go zatrzymać, jeżeli chcesz. To teraz zwykły, kryształowy dzwonek.

– A duch? Co się stało z duchem?

Moggropple odgarnęła swoje śnieżnobiałe włosy i odwróciła głowę demonstrując w lewym uchu połyskujący kryształowy kolczyk. – Będziemy teraz przez jakiś czas ściśle współpracować. Oboje mamy za sobą ciężkie chwile i doskonale się rozumiemy.

– Musisz być strasznie głodna – powiedziała Księżniczka biorąc czarownicę pod ramię. – Chodźmy do domu. Każę Collindorowi, żeby ci przygotował coś do jedzenia i będziesz nam mogła opowiedzieć o wszystkim, co ci się przydarzyło.

Kiedy obie kobiety odeszły przeciskając się przez labirynt mebli, Kedrigern zbliżył się do Apontheya, który był niemym świadkiem uwolnienia Moggropple. Czarownik z szerokim uśmiechem potrząsnął dzwonkiem i ten posłusznie zadzwonił.

– Wszystko w porządku. Możesz teraz dzwonić na Collindora, kiedy tylko zechcesz i dzwonek będzie się zachowywał jak każdy przyzwoity dzwonek.

– A co się stanie z tymi wszystkimi kobietami z luster?

– O, już ich tam nie ma. Po pierwsze, nigdy ich tam naprawdę nie było. Stanowiły odbicie Moggropple, a teraz, kiedy ona wyszła z lustra, nie ma czego odbijać.

Aponthey spojrzał na Kedrigerna zaszokowany.

– Coś mi to nie bardzo pachnie – powiedział.

– Mnie też nie. To było paskudne zaklęcie, niezależnie z której strony na to spojrzeć.

– Ale dokąd te kobiety poszły?

Kedrigern wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. A dokąd idzie twoje odbicie, kiedy odwracasz się od lustra?

– Ja trzymam się od luster z daleka. Nie mam do nich zaufania.

– To nie przejmuj się nimi. Masz tu swój dzwonek i chodźmy dołączyć do pań. Chętnie zjem jeszcze jedną porcję znakomitego deseru Collindora. Po czarach zawsze chce mi się jeść.

Gościnna sypialnia Apontheya była zaskakująco czysta a łoże nieoczekiwanie wygodne jak na rezydencję starego samotnika. Po bogatym w wydarzenia dniu Księżniczka i Kedrigern z ulgą korzystali z takich komfortów. Zdmuchnęli świecę, powiedzieli sobie dobranoc i przez chwilę z przyjemnością leżeli w milczeniu.

– Miałaś całkiem długą pogawędkę z Moggropple – rzucił Kedrigern po jakimś czasie.

– Opowiedziała mi o życiu po tamtej stronie lustra. To było fascynujące.

– Naprawdę? Zdawałoby się, że życie w lustrze musi być okropnie nudne. W najlepszym razie wtórne.

– O, nie. Wcale nie. Poznała tam różnych interesujących ludzi i przeżyła cudowne przygody.

– Skoro to było takie przyjemne, to dlaczego tak bardzo chciała się stamtąd wydostać? – spytał Kedrigern po chwili zastanowienia.

– Tęsknota za swoim dawnym życiem, za domem i przyjaciółmi. Widziałeś, jak szybko się pożegnała, kiedy tylko znalazła swoją miotłę. Aponthey proponował jej na noc bardzo przyjemny pokoik, ale nie chciała tracić ani minuty. Księżniczka ziewnęła i przez jakiś czas milczała, a potem dodała: – Co innego, gdyby była młodsza. Powiedziała mi, że gdyby była małą dziewczynką, bardzo by ją kusiło, żeby tam zamieszkać na stałe. Mogłaby nawet zostać królową.

Kedrigern odpowiedział półsennym mruknięciem.

– To zrobiło na niej naprawdę wielkie wrażenie – ciągnęła Księżniczka. – Chce nawet napisać o tym książkę.

– Książkę? – ocknął się Kedrigern.

– Tak mi powiedziała.

– O tym, że ktoś utknął w lustrze?

– No, niezupełnie. Mówiła, że trochę pozmienia. Chce to opisać tak, jakby wszystko przydarzyło się małej dziewczynce.

Kedrigern warknął z irytacją, uniósł się na łokciach i gniewnym wzrokiem wwiercił się w ciemność.

– Nigdy nie słyszałem czegoś tak głupiego. Mała dziewczynka włazi do lustra i przeżywa tam przygody... Kto będzie czytał takie bzdury?

– Moggropple uważa, że dzieciom to się może podobać.

– Moggropple tak uważa? A co ona wie o świecie? Przez przeszło sto lat siedziała w lustrze.

– Przynajmniej miała czas na refleksję – zauważyła Księżniczka z tłumionym śmiechem.

– To nie jest śmieszne – skarcił ją Kedrigern.

Księżniczka nie odpowiedziała. Odwróciła się gwałtownie na bok, tyłem do czarownika, i naciągnęła kołdrę na ramiona.

– To jest poniżej godności – ciągnął Kedrigern po chwili pełnej napięcia ciszy. – Żeby czarownica dała się tak złapać, to już jest kiepsko, ale żeby jeszcze o tym pisać książkę, to... naruszenie etyki zawodowej. – Kedrigernowi odechciało się spać. Był oburzony i aż go rozpierało, żeby obszernie uzasadnić powody swego oburzenia.

– Dobranoc – mruknęła Księżniczka i ziewnęła.

Kedrigern opuścił głowę na poduszkę. Leżał wpatrzony w niską powałę, z czołem zmarszczonym, z rękami założonymi na piersi i czekał, żeby Księżniczka coś powiedziała. Na próżno.

– Moggropple po tamtej stronie lustra – powiedział złośliwie. – Bzdury, bełkot i brednie.

Jedyną odpowiedzią ze strony Księżniczki był jej powolny, miarowy oddech. Kedrigern miał ochotę na zażartą dyskusję a nie na monolog i teraz nie miał okazji ani do jednego, ani do drugiego. Leżał przez jakiś czas naburmuszony aż przypomniał sobie, że czeka ich trzydniowa podróż, a przecież nie mogą przez trzy dni jechać w milczeniu.

Westchnął, uśmiechnął się i z cichym „dobranoc" ułożył się do snu.

Przełożył **Lech Jęczmyk**

Nancy Etchemendy

OBIAD W „Chez Etienne"

(Lunch at Etienne's)

Marion Cumberly porządkowała swoje okrycia zimowe. Nuda, ale musi być zrobione. Czerwiec, nie czerwiec, para leciała jej z ust. Delikatna warstewka lodu uformowała się na wszystkich kałużach, w domu i na zewnątrz, spadł nawet rodzaj śniegu, szarawy i nie bardzo mokry. Ostatnio pogoda nie szła w parze z kalendarzem. Westchnęła. Gdyby działał telefon, zadzwoniłaby do przewodniczącego Amerykańskiego Związku Meteorologów, starego szkolnego kumpla męża, żeby poskarżyć się bezpośrednio. Chciałaby, żeby pani Halprin, gospodyni, przyszła znowu do pracy, wtedy mogłaby powiedzieć jej o telefonie, a ona na pewno wiedziałaby kogo wezwać, żeby go zreperować. Pani Halprin była istną czarodziejką, jeżeli chodziło o radzenie sobie z załatwianiem wszystkiego. Ale wydawało się, że pani Halprin zniknęła.

Marion poklepywała w zdenerwowaniu płaszcze. Wylatywały z nich tumany białego pyłu. Drzwi szafy były wyrwane, więc ubrania, jak i wszystko inne pokrył kurz. Zastanawiała się, co powinna włożyć na spotkanie z Ireną Rutledge. Miała dwa futra – z norek i z rosyjskich soboli. Sobole były bardzo ciepłe. Sięgnęła po nie, zawahała się, jej drobna ręka zawisła nad jedwabistym włosem. Uznała, że jednak nie będą one odpowiednie. „Chez Etienne" było miejscem eleganckim, ale skromnym. Byłaby w nich zbyt wystrojona i wszyscy gapiliby się na nią. Wystarczyło, że musiała zabrać ze sobą Nicka. W takim miejscu jak „Chez Etienne" kobieta w towarzystwie dwulatka i tak będzie zwracała na siebie uwagę. Nawet nie mając na sobie soboli.

W tej samej chwili zawstydziła się, że mogła coś takiego pomyśleć. Ostatecznie to nie była wina Nicka, że jego opiekunka się nie zjawiała. Marion na samą myśl o dużych, błękitnych oczach i jasnych, prawie białych kręconych włosach swojego małego synka uśmiechnęła się. Wszyscy mówili, że to najmądrzejsze i najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widzieli. Opiekunka, starsza kobieta, wprost go uwielbiała – przynosiła mu drobne prezenciki albo cukierki za każdym razem, kiedy przychodziła. To znaczy trzy razy w tygodniu. W poniedziałki, środy i piątki. W środę przychodziła godzinę wcześniej niż w pozostałe dni, żeby Marion mogła wyjść na swój cotygodniowy obiad z Ireną. Ale tym razem zbliżało się już południe i prawie na pewno była środa, a opiekunka nie zjawiła się. Marion i tak była już spóźniona. W dodatku opuściła obiad „Chez Etienne" w poprzednim tygodniu – nie mogła sobie przypomnieć dlaczego – i nie do pomyślenia było nie pójść kolejny raz. Nie pozostawało nic innego jak wziąć Nicka ze sobą.

Po raz ostatni spojrzała po kolei na swoje okrycia i skinieniem głowy potwierdziła wybór. Na szczęście zawsze jest ten granatowy welwet, dobry na każdą okazję. Ostrożnie zdjęła płaszcz z wieszaka i uderzyła trzy razy wytrzepując kurz, a potem włożyła na jedwabną bluzkę i trzy swetry, które już miała na sobie.

– Czas, żeby iść, Nicki – zawołała starannie wybierając drogę do dziecinnego pokoju.

Musiała uważać. W suficie było parę dziur, także dwie w podłodze. Dywan zaścielały odłamki szkła. Wszystkie szyby były potłuczone. Spotkawszy przypadkiem dwa dni temu chłopca, który pomagał u nich w domu, poprosiła go, żeby je wstawił. Ale on tylko wyszczerzył zęby i wymamrotał bez tchu coś w rodzaju:

– Do diabła z twoimi oknami, ty zdziro!

Nigdy nie lubiła ludzi, którzy przeklinali.

Nick siedział w kojcu, dokładnie tam, gdzie go zostawiła. W swoich krótkich spodenkach i blezerze wyglądał jak mały mężczyzna.

– Gotów do wyjścia, mój cukiereczku?

Patrzył na nią.

– Nie chcesz pójść z mamusią, Nicki słoneczko?

Pozostał uparcie nieruchomy w rogu swojego kojca. To nie było do niego podobne. Zazwyczaj cały się rozpromieniał i gulgotał ze śmiechu na samą myśl o wyjściu. Może nie czuł się dobrze. Marion westchnęła. Ona też miała trochę kłopotów żołądkowych i była zmęczona. Nic wielkiego, jednak nawet drobna dolegliwość potrafi spowodować kaprysy, szczególnie u dziecka.

Z drugiej strony, to może być coś znacznie prostszego. Nick tęsknił pewnie za swoim tatą. Gerald, analityk finansista pracujący w śródmieściu oddalonym o trzydzieści mil, wiele podróżował. To należało do jego obowiązków. Od pewnego czasu nie było go w domu. Marion nie pamiętała, żeby wspominał o czymś takim, ale przypuszczała, że wyjechał w delegację.

– Nie przejmuj się tym, Nicki kochanie. Tatuś niedługo wróci.

Poczuła jakiś nieprzyjemny zapach, więc dyskretnie rozpięła spodenki chłopca, sprawdzając pieluszkę. Czysta i sucha, to nie mogło być to. Ten nieprzyjemny fetor zwrócił już jej uwagę kilka razy wcześniej i nawet chciała zadzwonić po lekarza, żeby przyszedł i obejrzał dziecko. Ale to oczywiście nie było możliwe, dopóki nie zreperują telefonów. Marion zeszła niepewnie po schodach niosąc Nicka na biodrze i starając się nie opierać zbyt mocno o poręcz, która groziła zawaleniem. Zastanawiała się, czy nie postawić chłopca na ziemi i pozwolić mu na samodzielną wędrówkę w dół, ale był jeszcze za mały. A poza tym, w takim nastroju jak teraz, zapewne po prostu usiadłby i skrzyżował swoje małe ramionka, odmawiając ruszenia się.

Doszła do wyjścia i położyła rękę na klamce drzwi frontowych, ale w tej chwili uświadomiła sobie pomyłkę i roześmiała z własnej głupoty. Drzwi zablokował duży kawał odłupanej ściany i sama nie umiała sobie z tym poradzić. Na szczęście dom był stary i cudowny, zbudowany na długo przedtem, zanim szkoła Bauhausa zmieniła architekturę w szereg bezkształtnych ścian i sterylnych linii. Taka szkoda – szepnęła.

Ale dom Marion i Geralda był inny i posiadał wszystkie cudowne ułatwienia, wynalezione przez przeszłe wieki, w tym wiele drzwi, które mogły być użyte zamiast frontowych. Przeszła ostrożnie nad leżącym żyrandolem i kilkoma podmarzającymi kałużami, utworzonymi przez wodę kapiącą z sufitu. Instalacje wodne, tak jak i telefony wydawały się być mocno zaniedbane.

Ruszyła w stronę kuchni myśląc z zadowoleniem, że przynajmniej jeżeli chodzi o wodę do picia, nie musi polegać na popsutych rurach. Ona i Gerald zawsze mieli pokaźny zapas wody mineralnej.

Idąc w stronę drzwi kuchennych, zatrzymała się przed spiżarnią i przyciskając palec do policzka rozważała kolejną komplikację, która się jej nasunęła. Obie z Ireną tak bardzo lubiły „Chez Etienne", bo podawano tam świetne jedzenie, a obsługa była bez zarzutu. Ale ponieważ ostatnio panowało takie zamieszanie, nawet zasoby „Chez Etienne" mogły ulec wyczerpaniu.

Marion posadziła Nicka na suszarce i zaczęła przetrząsać szafy kuchenne. Po jakimś czasie udało jej się znaleźć zapałki i zapalić świecę. Weszła z nią do ciemnej spiżarni. Zawahała się przez moment, po czym wzięła z półki puszkę sosu vichy i słoik karczochów. Włożyła je do kieszeni płaszcza, mrucząc do siebie: Geraldowi to by się nie podobało. Powiedziałby, że jest za miękka dla ludzi, których praca polega na obsługiwaniu innych. Wiedziała, że to praw-

da, ale nic nie mogła poradzić na to, że po tylu latach cudownych środowych obiadów czuła sympatię do Etienne.

– No to idziemy, Nicki – powiedziała otwierając drzwi kuchenne.

Znowu padał szary śnieg, a na zewnątrz było chyba jeszcze zimniej niż wewnątrz. Poryw ostrego wiatru uderzył ją w twarz.

– Och, biedny, kochany, Nicki – zawołała przypominając sobie nagle, że nie mogła znaleźć jego płaszczyka i nogi chłopca są całkiem gołe.

Rozpięła swój własny płaszcz i okryła go najlepiej jak mogła, żałując gorzko, że była tak próżna i nie wzięła jednak rosyjskich soboli zamiast welwetowego płaszcza.

Zerknęła na słońce, które było tylko jasnym zielonym punkcikiem na ciężkim, szarym niebie. Ze wszystkich sił starała się stłumić całkiem mimowolne wzdrygnięcie. „Bywają chwile – mawiała jej matka – kiedy dobrze wychowana osoba musi wznieść się ponad okoliczności, zachować dobry humor i stanąć na wysokości zadania".

Najzgrabniej jak mogła weszła na porozbijany chodnik i ruszyła w stronę „Chez Etienne" stąpając dużymi krokami nad zamarzniętymi kałużami i obchodząc szerokim łukiem stosy gruzu.

Pomachała ręką przechodząc koło domu Sutherlandów. Frontowej ściany nie było, widziała więc panią Sutherland siedzącą na sofie i kołyszącą się w tył i w przód z wielkim tobołem w ramionach. Tobół był szaro-brązowy, pokryty łachmanami. Marion nie miała pojęcia, co to mogło być.



Beata Nyczaj

– Halooo, pani Sutherland – zawołała. – Jak się ma mały Alek?

Pani Sutherland przestała kołysać się i podniosła wzrok, ale nie odezwała się ani słowem. Jej twarz była nieruchoma, jak wyrzeźbiona. Nie wyglądała za dobrze.

– Zapytałam, co porabia mały Alek – powtórzyła Marion.

Pani Sutherland znowu zaczęła się bujać, zupełnie tak, jakby Marion tam wcale nie było.

Marion zmarszczyła brwi i ruszyła dalej, myśląc że pani Sutherland, która wydawała się jej zawsze na poziomie, musi mieć duże braki w edukacji. Najwyraźniej nikt nie nauczył jej, jak zachowywać się w podobnej sytuacji.

Idąc minęła kilka osób, do których uśmiechnęła się i które pozdrawiała skinieniem głowy, ale nikt nie odpowiedział jej uśmiechem. Prawdę mówiąc jeden facet, zakutany w brudny, wełniany płaszcz, z klapami tak ściągniętymi, jakby jego życie zależało od tego, zaczął szlochać i uciekł od niej. Zanim dotarła do „Chez Etienne" poczuła się nieco zbita z tropu.

Drzwi restauracji zrobione z ciężkiego, dębowego drewna wisiały na zniszczonych, mosiężnych okuciach. Marion musiała posadzić Nicka na rozbitej ławce przystanku autobusowego, a sama kolejno usuwała z drogi walące się gruzy, a potem szarpała drzwiami, żeby je otworzyć.

Podniosła Nicka i weszła do środka. Prawie nic nie było widać, ponieważ pomieszczenie miało tylko jedno okno. Dla otrzymania przytulnej atmosfery, jak jej kiedyś wyjaśnił Etienne. Marion przypomniała sobie, że ma w kieszeni zapałki i zapaliła kilka świec, które jak zawsze stały na kryształowych podstawkach na stołach.

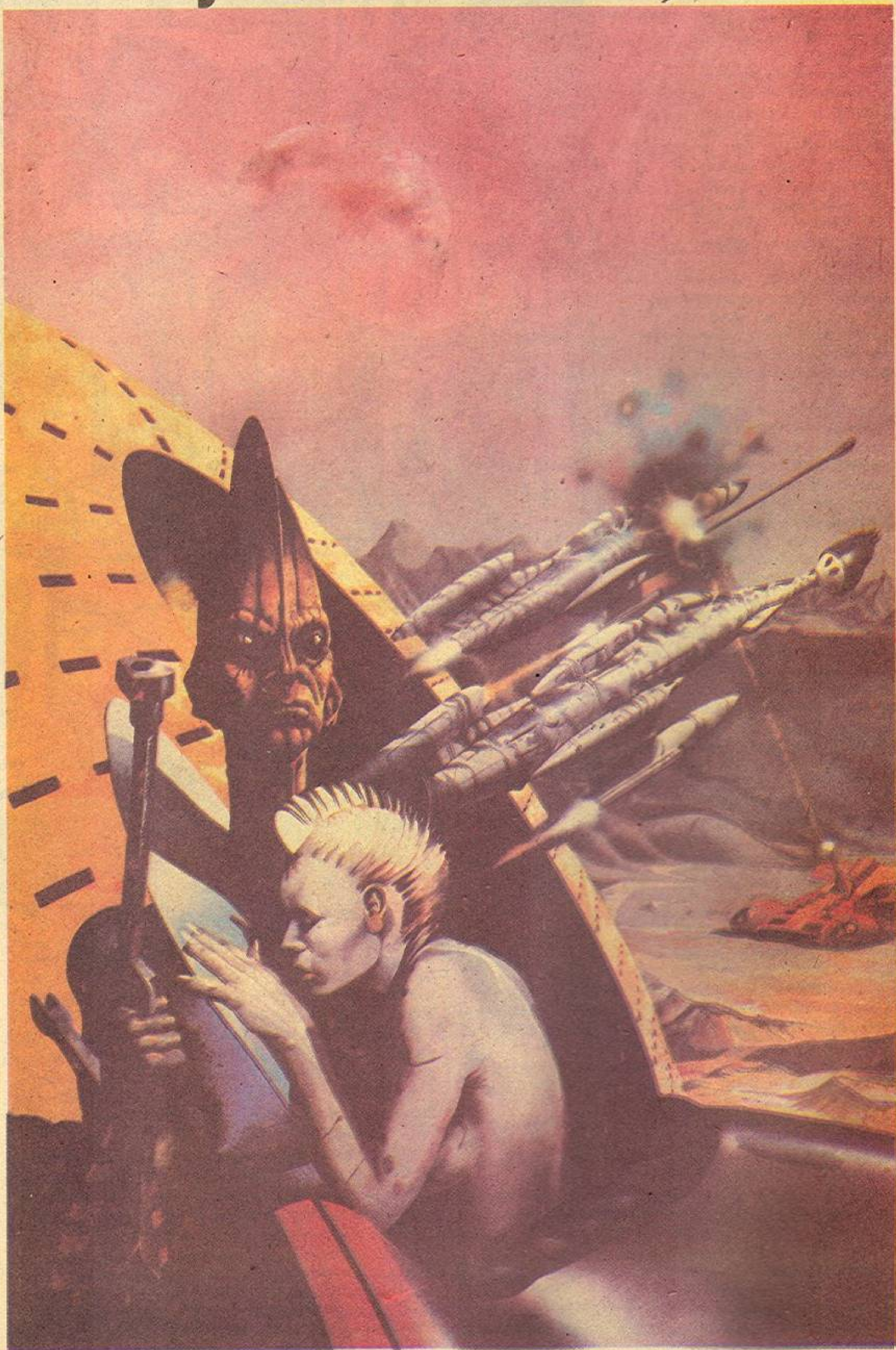
Kiedy płomienie oświetliły ciepłym blaskiem pomieszczenie, skierowała się w stronę spokojnego stolika, gdzie zazwyczaj siadały z Ireną. Z sufitu odleciało trochę tynku, więc krzesła były bardzo zakurzone. Podczas gdy wycierała je chusteczką, zauważyła Irenę siedzącą w rogu, twarzą do ściany.

– Ireno, jak cudownie, że jesteś! Bałam się, że nie uda ci się przyjść, kiedy wszystko jest w takim stanie.

Irena miała zdziwiony wyraz twarzy. Kapelusz w stylu Grety Garbo sterczał przekrzywiony na jej głowie pod dziwnym kątem, a ramiona żakietu okrywał pył.

Marion posadziła Nicka na krześle i przysunęła go do stołu, po czym ruszyła do Ireny.

Peter Jones – OBCY



– Tutaj. Pozwól, że ci pomogę się podnieść. Naprawdę, tak się cieszę – powiedziała i chwyciła Irenę pod ramiona.

Posadzenie jej na krześle nie było najłatwiejsze, ale jakoś dała sobie radę. Stanęła, żeby złapać oddech i w tym momencie znowu poczuła ten sam nieprzyjemny zapach. Pociągnęła nosem zastanawiając się, czy to nie Nicki. Ale tym razem odór dochodził wyraźnie od Ireny. Wzruszyła ramionami. Ostatecznie to nie było takie ważne, a w każdym razie nie należało o tym wspominać publicznie.

Nigdzie nie było widać Etienne, ani żadnego z kelnerów, sięgnęła więc do kieszeni po sos vichy i karczochy.

– Przyszłam przygotowana – powiedziała śmiejąc się wesoło. – Czy to nie jest okropne, ten cały nieporządek wokół?

Irena nie odpowiedziała. Widocznie nie była w nastroju do rozmowy.

– Naprawdę tak się martwiłam, że będziesz na mnie zła za ostatnią środę. Ale z telefonami stało się coś dziwnego. Nie mogłam zadzwonić. Liczyłam tylko na twoją wyrozumiałość. Nie masz nic przeciwko temu, że przyprowadziłam Nicka, prawda? On jest taki grzeczny. Obawiam się, że jego opiekunka już dzisiaj nie przyjdzie. Nie gniewasz się, prawda?

Irena nadal nie odzywała się. Marion poczuła nagle, że brak jej tchu i zalewa ją fala gorąca, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Jakie to dziwne. Nie było przecież żadnego powodu do płaczu. Spojrzała na skaczące po ścianach cienie rzucane przez świece i zamknęła oczy, żeby opanować ogarniające ją uczucie paniki.


Beata Nyczaj

– Tak, tak – powiedziała. – Nie jest tu zbyt jasno, jak myślisz? – rzuciła się do innych stolików zbierając wszystkie świece, jakie mogła znaleźć. Stawiała je przed Ireną i zapalała jedną po drugiej.

Irena nadal milczała.

W tym momencie Marion zobaczyła tę scenę w lustrze. Na całej północnej ścianie „Chez Etienne" biegł pas luster, przez co pomieszczenie wydawało się większe – tak kiedyś powiedział im Etienne, zabawiając je rozmową w czasie, kiedy kelner posypywał sałatę pieprzem. Teraz mimo chaosu i destrukcji, lustra pozostały prawie nietknięte. Marion zobaczyła najpierw odbity w nich rój płomieni na środku stołu. Nie poznała kobiety stojącej obok nich, brudnej jędzy, która przyglądała się jasnymi, pytającymi oczami, lekko się uśmiechając. To jakaś żebraczka, pomyślała. Musiała tu przyjść z miasta tunelem kolejki. Dalej obok siedziały dwie postacie, które jak Marion powoli dostrzegała, były w zasadzie zwłokami w różnym stadium rozkładu. Mały chłopiec i kobieta, kiedyś niewątpliwie elegancka.

Marion poczuła falę życzliwości i współczucia dla żebraczki.

– Moja droga – rzuciła się do przodu.

– Moja droga – powiedziała kobieta w lustrze i ruszyła do przodu w tym samym momencie.

Marion zamrugała oczami i wzdrygnęła się. Cichy skowyt dobył się jej z gardła. Nie chcąc tego, wcale tego nie chcąc Marion zaczęła przypominać sobie w najdrobniejszych szczegółach dlaczego nie przyszła w poprzednim tygodniu na obiad „Chez Etienne".

– Nie – krzyknęła wpatrując się w lustro. – Nie, nie, nie!

Marion Cumberly, która nigdy w życiu nie zrobiła czegoś podobnego, podniosła krzesło i rzuciła nim w lustro. Szklana skorupa rozprysła się, a jej miejsce zajęła ciemna, błogosławiona ściana.

Marion uśmiechnęła się.

– Zjemy trochę sosu vichy, Irenko kochanie? – zapytała. – Nie jestem pewna, czy Nickowi będzie to smakowało. Nigdy wcześniej tego nie próbował.

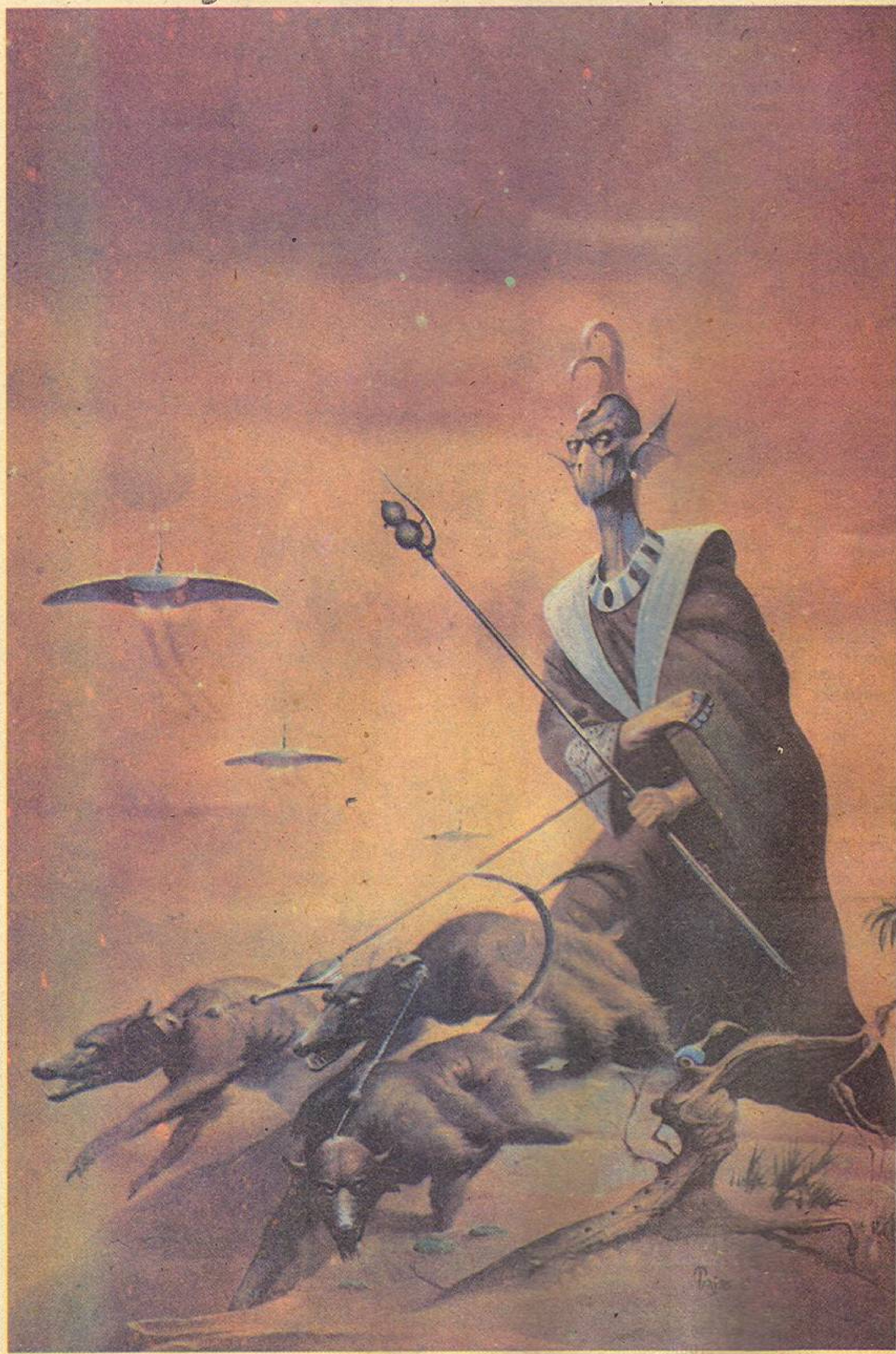
Dumnym gestem wyciągnęła z kieszeni otwieracz.

Przełożyła **Dorota Malinowska**

Nancy ETCHEMENDY

Młoda autorka amerykańska. Drukowaliśmy ją po raz pierwszy w numerze gwiazdkowym z roku ubiegłego. Opowiadanie „Obiad w Chez Etienne" jest jednym z wielu utworów przedstawiających świat po wojnie nuklearnej. Trzeba stwierdzić, że powstało na ten temat wyjątkowo dużo rzeczy słabych, deklaratywnych, ale z tej powodzi dałoby się wyłowić wcale niemało utworów świetnych. Przypomnijmy choćby „List od Clearysów" Connie Willis („Fantastyka" nr 7/84) czy „Świat naszych pragnień" Roberta Sheckleya (z tomu „Pielgrzymka na Ziemię"). Nancy Etchemendy wchodzi do tego grona osiągając dzięki kontrastowi stylu z tematem niezwykle zaiste natężenie makabry. L.J.

Peter Jones – OBCY



Sprzedawca książek

Ałan Kubatijew

(Knigoprodawiec)

Krynkin zawsze otrzymywał odpowiedzialne zadania.

Kiedy stało się jasne, że „Encyklopedia estetyki" będzie zalegała magazyny do zakichanej śmierci, wezwał go dyrektor.

Krynkin wszedł do maciupkiego gabinetu bez pukania, usiadł, nie czekając na zaproszenie, i nie przywitawszy się zapytał:

– Co mi tym razem wpakujecie?

Aleksiej Nikitycz wyraźnie się rozzłościł. Znał Krynkina nie od dziś, nigdy go nie aprobował, ale uznawał jego przydatność w rozwiązywaniu problemów takich jak ten. Dlatego powściągnął swój gniew i odpowiedział ugodowo:

– Dlaczego, Wołodia, tak od razu „wpakujecie"... Jesteś przecież asem, „Księgarz Smirdin"! Musimy ją, przeklętą, wypchnąć... Zależała się!

Krynkin rozpiął zamszową marynarkę, zapalił długiego dunhilla i rzucił poprzez dym:

– Nie ma zmartwienia. To nie kapusta... Niech poleży, nie stęchnie.

Aleksiej Nikitycz wciągnął powietrze przez lewe nozdrze na cztery takty, wstrzymał oddech i wypuścił powietrze na cztery takty przez prawe nozdrze. Następnie powiedział jeszcze słodszym tonem, obracając w palcach ołówek:

– Powiedz sam – kogo mam posłać? Baczurin w delegacji, Malinina na macierzyńskim, Ozierczuk na zwolnieniu. Piatkina ledwo ledwo radzi sobie z dwoma działami...

Ale Krynkin pokręcił głową, kreśląc cienką strużką dymu rozpływające się w powietrzu koronki:

– Nie-e-e... Wystarczą mi moje cegły. Wróci Baczurin, jemu każcie i niech się martwi!

Kierownik złamał ołówek. Odłamki wrzucił do popielniczki. Pobębniwszy palcami w teczkę do korespondencji powiedział zduszonym głosem:

– Powiedz wprost: czego żądasz?

Krynkin popatrzył na swój papieros i kiwnął głową z aprobatą.

– O! To jest rzeczowa rozmowa, słucham tego z przyjemnością! Niewiele proszę. Trzy egzemplarze „Ryb dekoracyjnych", trzy razy Dumas, cztery Durrell, dwa razy Lorca i jeden jedyny „Współczesny kryminał filipiński". I możecie dyktować dowolne warunki.

Po każdym tytule Aleksiej Nikitycz głębiej zapadał się w fotel. Kiedy Krynkin zamilkł, kierownik bezradnie poluzował krawat, włożył do ust tabletkę seduksenu i machnął dłonią:

– Bierz!

– Łatwo mówić: „bierz", Aleksieju Nikityczu! Tamara bez pańskiej dyspozycji nie wyda z magazynu nawet strzępka papieru. Proszę na piśmie...

Uważnie przejrzawszy pisemną dyspozycję i przyłapawszy kierownika na próbie wydania, zamiast czterech, trzech książek Durrella, Krynkin z godnością ukłonił się i wyszedł.

Po jego wyjściu Aleksiej Nikitycz długo czuł się tak, jakby odcięto mu od ubrania wszystkie guziki. Takie uczucie opanowywało go po każdej, nawet błahej, rozmowie z Krynkinem. Dobrze przynajmniej, że można przewietrzyć gabinet...

Krynkin założył nowe baterie do przenośnego megafonu, głośnik ryczał więc tak ogłuszająco, że mieszkańcy miasta pędzący przez podziemne przejście odruchowo rzucali spojrzenia na rozłożone kusząco drukarsko-poligraficzne wyroby.

– Nowy czterotomowy poradnik taksatora produktów leśnych! Niezastąpione kompendium dla budujących dacze! Informator dla zdających na studia, rzecz pierwszej potrzeby dla abiturientów! Pasjonujący zbiór reportaży z kubańskich stadnin koni! Bez „Encyklopedii estetyki" nie można być człowiekiem kulturalnym! Zawiera niezbędne informacje o pożyciu małżeńskim!

Zaciekawieni przechodnie zwalniali kroku, Krynkin sprzedał już siedem egzemplarzy. Od wejścia, po schodach spływała fala lodowatego powietrza. Ale Krynkin nie bał się mrozu. Miał na sobie walonki do kolan, gruby sweter z wielbłądziej wełny i wartowniczy kożuch z ogromnym kołnierzem...

Koło drugiej ktoś trącił go w rękę. Krynkin odwrócił się. Uśmiechnął się do niego łagodnie postawny mężczyzna.

– Dzień dobry, Wołodia...

– Dzień dobry, Nikołaju Potapowiczu – dostojnie odpowiedział Krynkin.

– Jak się stoi, Wołodia?

– Dziękuję, jakoś leci...

Mężczyzna nieśmiało odkaszlnął. Potem, zebrawszy się na odwagę, zapytał:

– Wołodia, pamięta pan – ostatnio obiecywał pan poszukać?

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedział Krynkin. – Narobił mi pan roboty...

Podał jakiejś staruszce schemat metra, odliczył resztę i odwrócił się do klienta:

– Zdobyłem!

– Zdobył pan?!! – ucieszył się Nikołaj Potapowicz. – Ach, Wołodia, złoty z pana człowiek. Nie wiem sam, jak panu dziękować!

Krynkin skłonił się z wysiłkiem – kożuch był jak z drewna – żeby wydobyć z teczki czarny tomik. Zobaczywszy książkę, klient aż zadygotał. Nie wypuszczając jej, jedną ręką i niemal zębami otworzył teczkę. Włożywszy tam książkę przycisnął swój skarb do piersi i skierował na Krynkina uszczęśliwione oczy:

– Wołodia, ech kochany, nie mam słów!

Krynkin popatrzył w bok i pokiwał głową, uśmiechając się ze zrozumieniem, a Nikołaj Potapowicz przypomniał sobie, zamachał wolną ręką:

– Oj, Wołodia, proszę mi wybaczyć!... – sięgnął do kieszeni, wyjął trzy banknoty i skrępowany zapytał:

– Pięciokrotność nominalnej, jak się umówiliśmy, tak?...

Krynkin zainkasował, po czym uszczęśliwiony Nikołaj Potapowicz pożegnał się i uciekł z tomikiem. O Federico Garcii Lorce Krynkin nie wiedział nic, prócz tego, że to poeta. Za wiersze w ogóle brał o dziesięć procent mniej. Pewnie dlatego, że sam ich nie znosił.

Przed końcem dnia roboczego miał jeszcze kilka odwiedzin. Poważny rencista w grubym płaszczu dostał Durrella i „Ryby dekoracyjne". Dwaj młodzieńcy nabyli upragnionego Sheckleya i Marqueza. Wykwintnej damie w króciutkim futerku i sztywnych jeansach, z którą pogruchał chwilę, wręczony został Lorca, Durrell i „Współczesny kryminał filipiński". I tak dalej. Krynkin pracował w natchnieniu, ale bez nerwowości, nie zapominając o emitowaniu do mikrofonu kuszących wezwań. Niezauważalnie wyprzedał Encyklopedię, dodając ostatnie egzemplarze do Durrella i Dumasa.

Przed zamknięciem podszedł do niego wysoki chłopak w sztruksowym płaszczu. Miał grube jak ławkowiec wąsy. Rzeczowo kiwnął głową Krynkinowi i powiedział:

– Len McKenzie, „Alfabet" i „Pernambuco".

– Może być – rzucił Krynkin. Odebrawszy trzy pstrokate koperty wydobył z bezdennej teczki elegancką paczkę:

– Japrissot, Gardner i Ngayo Marsh, „Ostatnia kurtyna".

Chłopak w milczeniu wepchnął paczkę do teczki, znowu skinął głową i pomaszerował do wyjścia.

Na tym skończył się pracowity nad miarę dzień Włodzimierza Krynkina. Nadeszła pora zwijania interesu – przejście opustoszało, zrobiło się jeszcze zimniej. Głośnik, stolik i resztki towaru przechowywane były na mocy umowy w pobliskim kiosku „Sojuzpieczati".

Stary pojawił się, gdy Krynkin pakował książki. Zauważył go nie od razu, a gdy zauważył, omal się nie wystraszył. Podniósł głowę i zobaczył: stoi obok staruch i uważnie mu się przygląda.

Krynkin odetchnął i wrzasnął wcale nie gorzej niż megafon:

– O co chodzi???

Żółte wąsy nastroszyły się, oczy zwęziły – staruch uśmiechał się. Ukłonił się lekko, rozłożył ręce:

– Proszę mi wspaniałomyślnie wybaczyć, oderwałem pana od pracy...

– Oderwałem, oderwałem – burczał Krynkin zawiązując paczkę i kątem oka obserwując starucha. Diabli wiedzą co ma na myśli...

Wyprostowawszy się Krynkin tupnął kilka razy walonkami, otrzepał rękawy. Staruch patrzył w jakiś niezrozumiały sposób – jak gdyby Krynkin był nie wiadomo jakim dziwem. Trochę, rzecz jasna, miał racji. W końcu wzrost – sto osiemdziesiąt dziewięć, waga osiemdziesiąt siedem, boski na swoim stanowisku pracy – proszę, jacy ludzie na paluszkach przed nim chodzą... Ale staruch patrzył aż jakoś nieprzyzwoicie, z odcieniem szczęśliwego niedowierzania.

Miał niezdrowe oczy. Zaczerwienione białka, tęczówka mętno-błękitna, niczym mocno rozwodnione mleko.

Krynkin odkaszlnął.

– Ja już kończę, tak więc proszę... – powiedział.

– Ależ nie-nie – zamachał rękami staruch. – Na Boga, niech pan nie zwraca na mnie uwagi!...

Obok przeszli dwaj milicjanci w czarnych garbowanych kożuchach i w kaloszach. Jednemu popiskiwała na ramieniu krótkofalówka: „ta-ta-ta, ta-ta, ti-tiii..." – Woźnico, nie pędź koni..."

„Widzisz go!" – krzywo uśmiechnął się Krynkin i nagle rozsypała mu się nie związana jeszcze paczka książek, wypadły wprost na zadeptany, zachlapany asfalt, w zupę z roztopionego śniegu.

Staruch jęknął i padł na kolana wyprzedzając Krynkina. Poły jego czarnego płaszcza wpadły w największe błoto. Trzęsącymi się rękami zbierał książki i przez cały czas ni to jęczał, ni to chlipał, chusteczką do nosa wycierając z grzbietów mętne krople i błoto.

Opamiętawszy się, Krynkin wpadł na starego, wyrwał mu z rąk zebrane książki, odpychając go kożusznym zadem, i podniósł resztę. Co mówił w duchu – nie wiadomo, głośno zaś co następuje:

– Ech, ojc-ciec, pracować nie dajecie... Nie ma pan swoich spraw? Cudzych pan pilnuje w czynie społecznym? Och, ci emeryci!

Staruch najpierw zdębiał. Potem popatrzył na Krynkina, wycierając ręce tą samą chusteczką, i przemówił bez urazy:

– Niech się pan na mnie nie gniewa, młody człowieku. Los sprawił, że prócz pana nie mam do kogo się zwrócić...

Wyczulony niuch Krynkina zameldował: dziwne, ale nie niebezpieczne. Pomanipulował stolikiem, zyskując na czasie i poinformował się:

– A pan od kogo?

– Że niby jak, przepraszam?... – staruch aż się nachylił do Krynkina.

– Noo, ktoś panu poradził zwrócić się do mnie, czy tak? – wyjaśnił Krynkin, nie rozumiejąc po co traci czas na tego muzealnego typa.

– Ach, o to chodzi – z ulgą powiedział stary. – Nie, wybaczcie wielkodusznie, nikt mi pana nie polecał. Nie znam tu przecież nikogo...

Bardzo dziwnie wypowiedział te ostatnie słowa. Uśmiech stał się jakiś dziwny. Stary zaczął kręcić głową, oglądać się. Psychiczny, pomyślał Krynkin.

– Nie, z niczyjego polecenia. To po prostu niewiarygodne szczęście, że wyniosło mnie prosto na pana. Dar niebios! Przecież mam do waszego wieku tylko jedno pytanie, tylko jedno, i któż jak nie pan, przedstawiciel szlachetnego zawodu, odpowiedzi mi udzieli...

Rozkaszlał się staruch, kościste dłonie do piersi przycisnął, zatrząsł się cały z wysiłku. Krynkin dopiero teraz zauważył, że palce ma aż brązowe od tytoniu, a płaszcz... W ogóle nie był to płaszcz.

Był to długi surdut. Szwy wyblakły ze starości, a guziki przy nim były różne – jedne miedziane, inne rogowe.

„Ale numer!" – bezradnie pomyślał Krynkin nie mając siły na inną myśl.

„Ti-ti-ti, ta-ta, ti-tiii...". Obok znowu przeszedł patrol, i Krynkin nawet pomyślał, że należy oddać im starucha, a samemu ulatniać się stąd – jak najdalej i jak najszybciej... Tylko co im powiedzieć? Przecież to nie komedia filmowa z psychicznymi i sanitariuszami...

Staruch tymczasem złapał oddech, wytarł wargi. Chusteczka w jego palcach pociemniała jak gdyby zmiażdżono w niej wiśnię. Stary popatrzył na Krynkina przepraszająco, ze złością zmiął chusteczkę i odrzucił ją.

– Na litość boską, wybaczcie – powiedział pękniętym głosem. – Pana, młody człowieku, jak zwą?

– Wołodia – machinalnie odpowiedział Krynkin.

– A po ojczulku?

– Piotrowicz...

– Włodzimierz Piotrowicz...Ach, Boże mój, Boże mój! – nie wiadomo dlaczego podniecił się staruch.

– Ale czego pan właściwie chce? – obruszył się w końcu Krynkin. On, którego nawet walutowi chłopcy od osiemnastki do czterdziestki z szacunkiem nazywają asem, stoi i marnuje czas nie wiadomo dla kogo i po co!

Staruch wyciągnął dłoń proszącym gestem. Jego oczy wypełniły się łzami, drżały wargi. Był skrępowany, ale nie mógł się powstrzymać:

– Błagam pana, Włodzimierzu Piotrowiczu, gołąbeczku, niech się pan nie złości... Niewyobrażalnie wiele zależy od pańskiej odpowiedzi, niewyobrażalnie...

Wytarł oczy uspokajając się. Głęboko, spazmatycznie westchnął i powiedział:

– Najpokorniej proszę pana, Włodzimierzu Piotrowiczu, przypomnieć sobie, czy zdarzyło się panu spotkać taką książkę?... Jej autor – Dmitrij Chrisanfowicz Iwanow, pełny tytuł „Braterstwo ludzkie. W oczekiwaniu Złotego wieku". Wydrukowano książkę ową najpewniej w drukarni braci Ajwazowych sumptem Stowarzyszenia Filozoficznego...

Gdy tylko rozmowa zeszła na książki, Krynkin natychmiast odzyskał trzeźwość umysłu i hart ducha. Zawsze wydawało mu się, że dowolne pytanie na ten temat błyskawicznie włączało w jego wnętrzu brzęczący, trzeszczący, iskrzący przekaźnik, uruchamiało wściekłe przewijanie szpul z taśmą magnetyczną, perliście terkotało drukarką a on, Krynkin, miał tylko czekać na wyprowadzenie odpowiedzi na wyjście.

Ale odpowiedzi nie było. Informacja była zbyt skąpa. Krynkin chwilę zastanawiał się a potem zapytał:

– A roku nie ma?

– Jakiego roku? – nie zrozumiał staruch.

– No, roku wydania?

– A-a-a, wybaczcie Włodzimierzu Piotrowiczu! Tysiąc osiemset osiemdziesiąt albo osiemdziesiąty pierwszy... – starzec rozłożył dłonie w przepraszającym geście – dokładniejszych danych, niestety, nie posiadam...

Krynkin zaczął znowu myśleć. Starzec ulokował się pod wyłożoną szarymi kafelkami kolumną i patrzył na niego z nadzieją i obawą. Najwidoczniej bardzo zmarzł – często wstrząsały nim dreszcze i wciągał palce do rękawów swojego idiotycznego surduta.

– Tak w ogóle to nie jestem bukinistą – rzucił w przestrzeń Krynkin przerywając milczenie. Już dawno chciał odejść, ale nie pozwalała na to jego dotknięta zawodowa ambicja. – Ja handluję żywymi książkami...

Starzec nagle oderwał się od kolumny.

– Co takiego? – przeciągle zapytał przykładając dłoń do ucha. – Co to znaczy „żywymi"? Martwych książek, mój panie nie ma!

Zdziwiony Krynkin popatrzył na zadziornego starca.

– Niech się pan nie gniewa, mój panie... – atakował go wymachujący rękami staruszek – ...czasownik „handlować" nie powinien być kojarzony z książką! Tak, mój mały panie! Jest absolutnie jej obcy! Handel książkami, jak guzikami, mięsem, drewnem – to wstrętne! To brukanie świętej sprawy...

Ze złości i wysiłku staruch znowu dostał ataku kaszlu. Ale trzymając się za swą wychudłą pierś chrypiał:

– Powinno się je rozdawać!... bezpłatnie... bezpłatnie!... na ulicy!... we wsiach!... w sklepach!...

Odczekawszy aż stary umilknie, Krynkin ironicznie zapytał:

– A któż je za darmo wydrukuje, ojczulku?

Wyprostowawszy się starzec ochryple, ale uroczyście przemówił:

– W przyszłości, mój panie, każdy uzna za najszlachetniejszy ze swych obowiązków minimalne nawet wsparcie oświecenia i uwznioślenia człowieka!...

Krytycznie przyjrzawszy się mu, Krynkin powiedział:

– Do przyszłości trzeba najpierw dożyć, ojczulku!

Staruszek drgnął jakby go ktoś ukłuł i wbił zdziwione spojrzenie w Krynkina, ale nagle zmrużył oczy i Krynkin zobaczył, że błysnął w nich nowy, bardzo dlań nieprzyjemny wyraz.

Też mi... Nie tacy tu bywali. Niedawno jeden niedorozwinięty oddał mu bez żadnej dopłaty zarówno „Ekspres do Stambułu" jak i „Dzień Orła" za jakiegoś poszarpanego Odojewskiego, którego nikt już nie czytał i czytać nie będzie.

Stop. Coś błysnęło. Ależ oczywiście! Krynkin triumfalnie uśmiechnął się do starego i strzelił palcami:

– Raduj się, ojczulku! Przypomniałem sobie!

– Co, mój łaskawco?...

– Na pewno! Dwa lata temu proszono mnie, żebym znalazł to... „Braterstwo ludzkie". Najpierw poprzez znajomych a później sam się tu zjawił. Historyk czy coś takiego.... Znalazłem, ale nie chcieli sprzedać – ta książka to prawdziwy rarytas... – Krynkin nieświadomie ściszył głos, ze starym coś się działo. – Poza tym, mówią, że car nakazał rekwizycję całego nakładu. Pozostały nieliczne egzemplarze...

Starzec wyglądał jakby zabierał się do modlitwy. Ręce przycisnął do piersi, spojrzenie skierował gdzieś w górę, w jarzeniówkę.

– Boże mój, Boże mój – zachłystywał się szeptem. – I już nic więcej nie trzeba. Był człowiek, chciał odnaleźć, potrzebował, szukał, przeczytał... Tylko dla tego jednego...

Niespodziewanie skrzyżował na piersi ręce i wyprostował się. Siwe włosy zakryły kołnierz, oczy błyszczały.

– Tak, wasza ekscelencjo! – wykrzyknął falsetem. – Tak! Przeliczyłeś się! Właśnie, że pozostał ślad, i nie na piasku! Mości puł-kow-ni-ku, szczurze policyjny!

Starając się działać szybko i bez hałasu Krynkin zamknął kiosk i przygotował się żeby bryknąć, ale starzec ocknął się, bezładnie machnął rękami i rzucił się na niego. Wczepiwszy się w rękawicę Krynkina zaczął trząść nią pełen euforii i wdzięczności:

– Włodzimierzu Piotrowiczu! Kochany mój, bezcenny! Gdyby pan wiedział, co pan dla mnie zrobił!...

Szperając wolną ręką po kieszeniach staruch lamentował:

Ałan KUBATIJEW

Urodzony w 1952 r. Studiował na Uniwersytecie Moskiewskim im. Łomonosowa. Obecnie mieszka w Nowosybirsku, gdzie pracuje jako wykładowca miejscowego uniwersytetu. Swoje opowiadania drukował w czasopismach lokalnych i centralnych, były one również publikowane w antologiach takich jak „Mir prikluczenij", „Śnieżnyj awgust", „Sibirskije ogni". (S.K)

– Nawet nie mam co panu podarować!...

Krynkin uwolnił się, zrobił krok do tyłu i powiedział, z obrzydzeniem otrzepując kożuch:

– Nie potrzebuję niczego. Niech pan lepiej idzie do domu...

Starzec ciągle miotał się, mamrocząc coś i cierpliwość Krynkina pękła z hukiem:

– Spadaj w końcu, dziadku! – wrzasnął wytrzeszczając oczy. – Dowiedziałeś się czegoś chciał i pędź! Sterczę tu na mrozie przez niego, stary pień!...

Wściekle wyszarpnął klucz i w tej samej chwili z tyłu dobiegło go znajome popiskiwanie milicyjnej krótkofalówki. Brzmiało tym razem nieco inaczej: „Ta-ta, ta-ta, ta-ta, ti-ta-aa..." – „Oto pędzi trójka śmigła..."

Krynkin aż się ucieszył. Zdecydowanie ruszył w kierunku patrolu, zwrócił się do długiego jak tyka kaprala:

– Proszę coś zrobić z tym piernikiem! Przyszedł tuż przed zamknięciem, pcha się, przeszkadza, nie mam już siły...

W pierwszej chwili, rzecz jasna, nie zauważył niczego. Myślał, że to para z oddechu i dopiero po chwili pojął, że między czapką z błękitnego sztucznego futra i identycznym kołnierzem mundurowego kożucha, przed obco śniadą twarzą, starannie fruwał, reagując na każdy ruch, miniaturowy srebrzysty mikrofonik.

Śniady odsunął Krynkina i podszedł do starego. Wyjąwszy z kieszeni złożony kilkakrotnie kawałek tkaniny rozwinął go i ułożył na ramionach starca. Tkanina, niczym przezroczysty płaszcz, rozwinęła się aż do kolan.

„Kapral" troskliwie zapiął na gardle starego dużą, masywną sprzączkę i przekręcił górne pokrętło.

Tkanina natychmiast zmętniała i jakby porosła długim brązowym futrem.

– Uprzedzaliśmy pana, Dmitriju Chrisanfowiczu... – niskim głosem powiedział cicho śniady – ... z przypadkowego zwiadu rzadko wynika coś dobrego...

– Wyszło, panowie, wyszło... Wybaczcie, przyjaciele moi, mamrotał stary, mruganiem pozbywając się łez. – Najważniejsze – wyszło...

Na pewno czuł się źle, prawie zwisł na rękach współtowarzysza. Ten obejrzał się i niespokojnie zawołał:

– Aleksiej!...

Drugi „milicjant" już śpieszył do niego, w biegu wydobywając z kabury biały prostokątny futerał z czerwonymi krzyżami na wszystkich ścianach. Futerał sam otworzył mu się w ręku, a mężczyzna zdarł rękawice i zręcznie wsunął staremu pod pachę zieloną kapsułkę.

Dopiero wtedy Krynkin poczuł prawdziwy strach. Na dodatek uświadomił sobie, że podczas całej rozmowy, przez przejście nie przeszedł ani jeden człowiek, mimo że był to koniec dnia roboczego, a przeklęte walonki jakby przymarzły do asfaltu...

Starzec niemal natychmiast poczuł się lepiej: zaróżowiły mu się policzki, wyprostował się i głęboko odetchnął. Aleksiej wyjął rękę z wyraźnie zmętniałą kapsułą. Jego twarz zachowała wyraz koncentracji charakterystyczny dla lekarza, który dopiero co wyszedł od ciężko chorego.

– Dłużnikiem waszym jestem do końca życia, panowie, wybaczcie, przyjaciele!... – starzec objął „milicjantów" za ramiona.

Potem, odwróciwszy się do Krynkina, powiedział:

– Panu również dziękuję, Włodzimierzu Piotrowiczu. Mimo wszystko sprawił mi pan radość... – Nawet jeśli nieświadomie... Dam panu na pożegnanie radę... Albo nie, raczej poproszę pana: niech pan nie krzywdzi ludzi. Żegnam.

Zmarszczył, w chytrym i jednocześnie łagodnym uśmiechu, twarz i ruszył w głąb przejścia nie czekając na współtowarzyszy.

Nadajnik zaśpiewał głośno i natrętnie: „ta-ta, ta-ta-ta, ta-ta-ti,ta-aaa!".

– Czas na nas, Leonie – powiedział ten, który nazywał się Aleksiej. – Czas się odtwarza.

Leon ponuro skinął głową wkładając owcze rękawice. Aleksiej chwycił go za łokieć i zapytał półgłosem, wskazując na kiosk:

– Może zetrzemy? Dla jego własnego spokoju...

Krynkin usłyszał to. I zmartwiał. Wyobraził sobie jak będą go ścierać. Jak kurz. Albo jak szkic w ołówku – gumką.

– Nie warto – basem odpowiedział Leon, a w jego oczach, jak przedtem w oczach starca, pojawił się taki sam nieprzyjemny wyraz, gdy dodał: – Ten to sam zapomni...

I pomaszerowali za staruchem, który wychodził już po kamiennych stopniach na zimny niebieski miejski styczeń. Aleksiej i Leon dogonili starucha i poszli obok.

Póki nie zniknęli z oczu, Krynkin w milczeniu patrzył im w ślad. Potem, z trudem poruszając głową rozejrzał się. Przejście było jasno oświetlone i puste, pod sufitem mrugała i brzęczała, niczym komar, neonówka.

I ta neonówka, od miesiąca brzęcząca nad jego stolikiem, niespodziewanie w nowym świetle postawiła wszystko, co wydarzyło się przed chwilą i czego nie mógł sobie w żaden sposób wytłumaczyć.

Tuż obok walonków zobaczył ciemny kłębek. Zabrudzona chusteczka starego, którą ten wyrzucił po ataku.

Kłębek nagle drgnął, poturlał się w bok, niczym zdmuchnięty przez wiatr, podskoczył i zniknął.

Ktoś mocno potrącił Krynkina. Stał przy ścianie, obok szli, przyglądając mu się, ludzie. Przejście było wypełnione tłumem, zegarek wskazywał za piętnaście siódmą, ale Krynkin świetnie wiedział, że dopiero co było w pół do szóstej i żywego ducha w promieniu dwustu metrów...

Do domu Krynkin wrócił taksówką. Czekając na windę i wjeżdżając na dziesiąte piętro ciągle oglądał się, szukając kogoś za swoimi plecami. Omal nie złamał klucza otwierając drzwi, potem pokaleczył palce zamykając je na wszystkie zamki – japoński elektroniczny, angielski cyfrowy, długą niemiecką zasuwę i łańcuszek produkcji Fabryki Wyrobów Metalowych nr 7. Zamknąwszy, bez sił obsunął się po ścianie i usiadł na podłodze.

Po jakimś czasie doszedł do siebie na tyle, że zdjął kożuch, rozzuł się i włożył papcie. Wszedłszy do pokoju otworzył serwantkę i wyjął z barku ciemną butelkę i kieliszek. Koniak sparzył gardło, ale nie przyniósł ulgi. Krynkin wstał i skierował się do półki z książkami, gdzie stał, ocalały jeszcze z czasów technikum, „Wielki Słownik Filozoficzny".

„Iwanow, D.Ch." Przeczytawszy siedem złożonych petitem linijek miał ochotę przetrzeć oczy. W nawiasie, po inicjałach znajdowały się dwie daty: 1826–1880". Poczuł zawrót głowy.

Dzwonek telefonu niemal fizycznie uderzył go w uszy. Krynkin podniósł słuchawkę i powiedział łamiącym się głosem:

– Słucham...

Ze słuchawki dobiegł radosny podniecony wrzask:

– Halo, Wołodia, to ty? Rzucaj wszystko, łap pieniądze, przyjeżdżaj do mnie! Jeden facet opycha pilnie Taurusa, kwadrofonicznego... Taki, jakiego szukałeś! Halo! Halo! Słyszysz mnie?

– Tak-ta – machinalnie odpowiedział Krynkin. I nagle jakby odżył.

Widmo eleganckiego, płaskiego magnetofonu, błyszczących pokręteł na czarnych, soczyście matowych płytach, karbowanych zestawów głośnikowych, ponownie wypełniło go tą energią, która była siłą motoryczną całego jego życia i tej wielopłaszczyznowej działalności, aż do spotkania z niedorzecznym staruchem.

Oto mógł zapomnieć całą tę machinację i znów żyć, żyć pełnowartościowym rozumnym życiem!

Przełożył Eugeniusz Dębski

W następnym numerze:

MECHANICZNA POMARAŃCZA

Słynna powieść Anthony'ego Burgessa w brawurowym przekładzie Roberta Stillera!
Londyn przyszłości terroryzowany przez młodociane gangi posługujące się specyficzną ksywą i policja stosująca nowoczesne pranie mózgów!

W przygotowaniu:

CIEŃ OPRAWCY

Niesamowita powieść Gene'a Wolfe'a, zapoczątkowująca jeden z najsłynniejszych cykli w historii science fiction – „Księgę Nowego Słońca"!



Rozdział 19

– Nienawidzę cię, Hermannie Göringu!

Głos zabrzmiał nagle i zgasł, jakby koło zębate jego snu napotkało przekładnię cudzych marzeń, wsunęło się w nią i powróciło natychmiast.

Richard Francis Burton wiedział, że śni, lecz nie mógł nic na to poradzić.

Wróciło pierwsze marzenie.

Wydarzenia były rozmyte i pooddzielane. Jasna wstęga jego samego w niezmierzonej komorze, gdzie unosiły się ciała; ulotna wizja bezimiennych Strażników, znajdujących go i usypiających na powrót; później przerywany skrót snu, który miał tuż przed prawdziwym Zmartwychwstaniem w dolinie Rzeki.

Bóg – piękny starzec w stroju dżentelmena epoki wiktoriańskiej, właściwie ułożonego i dysponującego odpowiednimi środkami, szturchnął go żelazną laską w żebra i mówił, że *jest winien za ciało*.

– Co? Jakie ciało? – pytał Burton, niewyraźnie pojmując, że mruczy coś przez sen. Śniąc nie słyszał słów!

Płać! powiedział Bóg. Jego twarz rozpłynęła się i złożyła na powrót we własne rysy Burtona.

Bóg nie odpowiedział, wtedy, w tamtym śnie pięć lat wcześniej. Teraz przemówił. *Postaraj się, by twoje Wskrzeszenie było warte mego czasu, głupcze! Poniosłem wielkie wydatki, włożyłem wiele wysiłku, by dać tobie i tym żałosnym miernotom jeszcze jedną szansę.*

– Jeszcze jedną szansę na co? – spytał Burton. Bał się tego, co Bóg mógłby odpowiedzieć. Poczuł ulgę, gdy Ojciec Wszechrzeczy – dopiero teraz zauważył, że Jahwe-Odyn nie ma jednego oka, a w pustym oczodole płoną ognie piekieł – nie odpowiedział. Odszedł... nie, nie odszedł, przekształcił się w wysoką, cylindryczną szarą wieżę, wznoszącą się spośród szarych mgieł, z których dobiegał ryk morza.

– Graal!

Raz jeszcze zobaczył człowieka, który opowiadał mu o Wielkim Graalu. Człowiek ten słyszał o nim od jakiegoś mężczyzny, który słyszał o tym od jakiejś kobiety, która słyszała... i tak dalej. Wielki Graal był jedną z legend, opowiadanych przez miliardy mieszkające nad Rzeką – Rzeką, która wiła się jak wąż wokół tej planety, od bieguna do bieguna, wypluwana przez nieosiągalne i połykana przez niezdobyte.

Ów człowiek, czy też podczłowiek, zdołał przejść przez góry do bieguna północnego i widział Wielkiego Graala, Mroczną Wieżę, Zamek Mgieł, tuż przed tym jak się potknął. Albo został popchnięty. Runął wrzeszcząc do osłoniętego mgłami morza i zginął. Potem zbudził się znowu. Śmierć nie była tu wieczna, choć nie utraciła swej potęgi.

Opowiedział o tym, co widział. Jego opowieść dotarła do wszystkich zakątków doliny Rzeki szybciej, niż płynie łódź.

I tak Richard Francis Burton, wieczny pielgrzym i wędrowiec, zapragnął przypuścić atak na mury Wielkiego Graala. Odsłoni tajemnicę zmartwychwstania i sekret tej planety. Był przekonany, że istoty, które zbudowały ten świat, wzniosły także wieżę.

– Giń, Hermannie Göring! Umieraj i zostaw mnie w spokoju! – krzyknął ktoś po niemiecku.

Burton otworzył oczy. Nie widział nic prócz bladego światła niezliczonych gwiazd, lśniących w otwartym oknie po drugiej stronie izby.

Rozpoznał kształty czarnych brył we wnętrzu. Zobaczył Petera Frigate i Loghu, śpiących na swych posłaniach pod przeciwległą ścianą. Obejrzał się, by spojrzeć na biały ręcznik rozmiarów koca, pod którym leżała Alicja, zwrócona w jego stronę bielą twarzy. Czarna chmura włosów spływała na ziemię obok jej posłania.

Tego wieczora jednomasztowa łódka, w której wraz z pozostałą trójką żeglował w dół Rzeki, przybiła do przyjaznego brzegu. Niewielkie państewko Sevieria zamieszkiwali w większości szesnastowieczni Anglicy, choć ich przywódcą był Amerykanin, żyjący na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku. John Sevier, założyciel „zaginionego kraju" Franklina, później zwanego Tennessee, serdecznie powitał Burtona i jego towarzyszy.

Sevier i jego podwładni nie uznawali niewolnictwa i nie zatrzymywali swych gości dłużej, niż ci mieliby ochotę. Kiedy pozwolili im napełnić swoje rogi i pożywić się, zaprosili ich na ucztę. Obchodzono Dzień Zmartwychwstania. Potem pokazano im chatę gościnną.

Burton zawsze spał lekko, a teraz zaczął sypiać niespokojnie. Nim poddał się zmęczeniu, inni oddychali już głęboko lub chrapali. Z niedokończonego snu wyrwał go głos, wplątany w jego wizje.

Hermann Göring pomyślał. Zabił go, ale tamten znów żyje gdzieś nad Rzeką. Czy człowiek, który jęczał i krzyczał w sąsiedniej chacie, także cierpiał przez Göringa, na Ziemi lub tutaj?

Burton odrzucił czarny ręcznik i wstał, szybko i bezszelestnie. Zatrzasnął magnetyczne klamry kiltu, zapiął pas z ludzkiej skóry i upewnił się, że w pochwie, też z ludzkiej skóry, tkwi jego krzemienny nóż. Wyszedł z chaty trzymając w dłoni assegai, krótkie drzewce z twardego drewna zakończonego krzemiennym grotem.

Mimo braku Księżyca było jasno, jak w czasie pełni na Ziemi. Niebo płonęło wielkimi, kolorowymi gwiazdami i bladymi plamami kosmicznego gazu.

Chaty gościnne stały półtorej mili od Rzeki, na jednym ze wzgórz wznoszących się przy krańcu równiny – siedem jednoizbowych, bambusowych budowli pokrytych dachami z liści. W pewnej odległości, pod gigantycznymi konarami żelaznych drzew, pod olbrzymimi sosnami i dębami stały chaty miejscowych. O pół mili, na szczycie wzgórza, wznosiła się wysoka, kolista palisada, zwana potocznie „Okrąglakiem". Tam sypiali urzędnicy Sevierii.

Co pół mili na brzegu stały wysokie bambusowe wieże. Pochodnie płonęły na ich platformach przez całą noc, a strażnicy wypatrywali najeźdźców.

Burton zajrzał w cień pod drzewami, po czym przeszedł kilka kroków, dzielących go od chaty, z której dobiegały jęki i krzyki. Odsunął zasłonę z trawy. Światło gwiazd padło na śpiącego. Burton syknął ze zdumienia. Zobaczył jasne włosy i szeroką twarz młodego mężczyzny. Rozpoznał go.

Podkradł się powoli. Śpiący jęknął, zakrył twarz ramieniem i odwrócił się na bok. Burton stanął, by po chwili znów bezszelestnie ruszyć naprzód. Odłożył assegai, wyjął sztylet i delikatnie przycisnął ostrze do krtani tamtego. Śpiący opuścił ramię, otworzył oczy i spojrzał na Burtona. Ten zakrył dłonią jego otwarte usta.

– Hermann Göring! Nie ruszaj się i nie krzycz! Zabiję cię!

Jasnoniebieskie oczy Göringa tutaj zdawały się ciemne, lecz mimo mroku widać było, jak zbladł ze strachu. Zadrżał i spróbował usiąść, zrezygnował jednak, gdy krzemień mocniej nakłuł mu skórę.

– Jak długo tu jesteś? – zapytał Burton.

– Kto....? – jęknął po angielsku i jego oczy rozwarły się jeszcze szerzej. – Richard Burton? Czy ja śnię? To ty?

Burton wyczuwał gumę snów w oddechu Göringa. Pachniała nią także przesączona potem mata. Niemiec był o wiele chudszy niż ostatnio, kiedy go widział.

– Nie wiem, od kiedy tu jestem – powiedział Göring. – Jaki dziś dzień?

– Pierwszy po Święcie Zmartwychwstania. Mniej więcej godzina do wschodu słońca.

– Więc jestem tu już trzy dni. Mógłbym się napić wody? W ustach mam sucho jak w sarkofagu.

– Nic dziwnego. Jesteś żywym sarkofagiem, jeśli przyzwyczaiłeś się do gumy snów – odparł Burton, wstał i wskazał ostrzem assegai garnek z wypalonej gliny stojący obok na bambusowym stoliku. – Możesz się napić. Ale nie próbuj żadnych sztuczek.

Göring wstał i niepewnie podszedł do stolika.

– Jestem za słaby, żeby walczyć, nawet gdybym chciał – napił się głośno, po czym wziął ze stołu jabłko. – Co ty tu robisz? Myślałem, że się ciebie pozbyłem.

– Najpierw ty odpowiesz na moje pytania – oświadczył Burton. – I to szybko. Stwarzasz problem, który mi się nie podoba.

Wbrew zapowiedziom Logi przypomniał sobie zarówno przebudzenie w bąblu przedwskrzeszeniowym, jak i rozmowę z dwunastoma Etykami.

Mogło być tylko jedno wyjaśnienie – jeden z tej dwunastki zapobiegł wymazaniu jego pamięci i zrobił to bez wiedzy innych.

Jednym z dwunastu był Tajemniczy Przybysz, Renegat.

Którym? Na razie nie potrafił tego stwierdzić. Kiedyś jednak się dowie. Tymczasem miał przyjaciela u dworu, człowieka, który – być może – wykorzystuje Burtona dla własnych celów. Lecz przyjdzie czas, gdy Burton jego wykorzysta.

Byli też inni ludzie, którymi Przybysz próbował manipulować. Może potrafi ich odszukać; razem zaatakują Wieżę.

Odyseusz miał swoją Atenę. Zwykle musiał własnym sprytem wyplątywać się z niebezpiecznych sytuacji, lecz od czasu do czasu bogini, gdy tylko mogła, podawała mu pomocną dłoń.

Odyseusz miał swoją Atenę; Burton swego Tajemniczego Przybysza.

– Jakie masz plany, Dick? – zapytał Frigate.

– Zbuduję łódź i popłynę w górę Rzeki. Aż do końca! Zabierzesz się ze mną?

KONIEC

lej", to dlaczego wy, Etycy, podobno istoty wyższe, wciąż tu jesteście? Dlaczego też nie „poszliście dalej"?

Wszyscy zesztywnieli, prócz Logi i człowieka z klejnotem zamiast oka.

– Bardzo sprytne – roześmiał się Loga. – Znakomita uwaga. Mogę odpowiedzieć tylko, że niektórzy z nas istotnie idą dalej. Ale od nas więcej się wymaga, w sensie etycznym, niż od was, wskrzeszonych.

– Nadal uważam, że kłamiecie – powtórzył Burton. – Nic jednak nie mogę na to poradzić. Przynajmniej na razie – dodał z uśmiechem.

– Jeśli nadal będziesz tak postępował, to nigdy nie Pójdziesz Dalej – stwierdził Loga. – Uznaliśmy jednak, że winni ci jesteśmy to wyjaśnienie. Kiedy schwytamy innych, podobnych tobie, zrobimy dla nich to samo.

– Wśród was jest Judasz – oznajmił Burton, delektując się wrażeniem, jakie wywarły jego słowa.

Mężczyzna z klejnotem zamiast oka powiedział jednak:

– Dlaczego nie wyjawisz mu prawdy, Logo? To zetrze mu z twarzy ten obrzydliwy uśmieszek i uświadomi jego właściwe miejsce.

Loga zawahał się.

– Dobrze, Thanaburze – powiedział w końcu. – Burton, od tej chwili musisz być bardzo ostrożny. N i e w o l n o ci popełnić samobójstwa, musisz walczyć o życie równie mocno jak na Ziemi, gdy sądziłeś, że masz je tylko jedno. Istnieje ograniczenie liczby wskrzeszeń. Liczba ta zmienia się i nie ma sposobu, by przewidzieć ją w przypadku konkretnego osobnika. Kiedy człowiek przekroczy to ograniczenie, psychomorf zdaje się niezdolny do ponownego związania z ciałem. Każda śmierć osłabia p r z y c i ą g a n i e pomiędzy istotą fizyczną a psychomorfem. W końcu psychomorf nie może już powrócić. Staje się – że użyję nienaukowego terminu – „duszą zagubioną" – wędruje bezcielesny poprzez wszechświat. Potrafimy wykryć takie odłączone psychomorfy bez żadnych przyrządów, podczas gdy należące do… jak to powiedzieć?… do „zbawionych", znajdują się całkowicie poza naszym zasięgiem. Widzisz więc, że musisz zrezygnować z formy podróży poprzez śmierć. Dlatego też ciągłe samobójstwa tych nieszczęśników, którzy nie wytrzymują życia, są grzechem – jeżeli nie niewybaczalnym, to w każdym razie nieodwracalnym.

– Zdrajca, obrzydliwy przestępca, który twierdzi, że ci pomaga, w istocie wykorzystuje cię dla własnych celów – oświadczył mężczyzna z klejnotem. – Nie powiedział ci, że zmniejszasz swą szansę na życie wieczne, gdy próbujesz realizować jego – i swoje – plany. On czy ona, kimkolwiek jest ten zdrajca, jest zły. Zły, zły! Musisz być teraz ostrożny. Może pozostało ci tuzin śmierci, a może już następna będzie ostatnią!

Burton wstał.

– Nie chcecie, żebym się dostał do końca Rzeki? – krzyknął. – Dlaczego? Dlaczego?

– *Au revoir* – powiedział Loga. – Wybacz nam przemoc.

Burton nie dostrzegł, by któraś z dwunastu osób wymierzyła w niego jakiś aparat. Świadomość jednak opuściła go szybko, jak strzała wypuszczona z łuku. Przebudził się…

Rozdział 30

Pierwszym człowiekiem, który go przywitał, był Peter Frigate. Zapomniał o swej zwykłej rezerwie i zapłakał. Burton także uronił kilka łez i zacinającym się głosem odpowiadał na rzucane jedno za drugim pytania Amerykanina. Sam pragnął się dowiedzieć, co Frigate, Loghu i Alicja porabiali po jego zniknięciu. Okazało się, że szukali go, a potem popłynęli w górę Rzeki, do Theleme.

– Gdzie się podziewałeś? – spytał Frigate.

– „Chodziłem po Ziemi tam i z powrotem, poprzez nią w górę i w dół" – odparł Burton. – Lecz w przeciwieństwie do Szatana spotkałem co najmniej kilku wspaniałych, godnych ludzi, szanujących Boga i pogardzających złem. Jednak bardzo niewielu. Większość mężczyzn i kobiet pozostaje nadal tymi egoistycznymi, głupimi, zabobonnymi, nieszczerymi, tchórzliwymi hipokrytami, jakimi była na Ziemi. Drapieżna małpa o czerwonych ślepiach walczy w nich ze swym strażnikiem, społeczeństwem, aż w końcu wyrwie się i unurza ręce w krwi.

Obaj ruszyli w stronę oddalonej o milę wysokiej palisady i budynku rady, gdzie mieściła się administracja państwa Theleme. Frigate opowiadał o nowinach, lecz Burton prawie nie słuchał. Drżał, a serce biło mu mocno, lecz nie dlatego, że powracał do domu.

Pamiętał wszystko!



Wiktor Żwikiewicz

Rozdział 20

Göring zaczął żuć, przestał, spojrzał ponuro i zapytał:

– A właściwie dlaczego? Nie mam tu żadnej władzy, a gdybym nawet miał, nic bym ci nie mógł zrobić. Jestem tylko gościem. Cholernie porządni ludzie, ci tutaj; wcale się mną nie interesują. Tyle że od czasu do czasu wpadną spytać, czy mi czegoś nie brakuje. Co prawda nie wiem, jak długo pozwolą mi zostać, zanim każą zarabiać na swoje utrzymanie.

– Nie wychodzisz z chaty? – zdziwił się Burton. – Więc kto ładuje ci róg obfitości? Jak zdobyłeś tyle gumy snów?

Göring uśmiechnął się chytrze.

– Miałem spory zapas, zebrany w miejscu, gdzie byłem ostatnio, jakieś tysiąc mil stąd w górę Rzeki.

– Na pewno odebrany jakimś nieszczęsnym niewolnikom – stwierdził Burton. – Ale jeżeli tak dobrze ci się tam powodziło, to czemu odjechałeś?

Göring zapłakał. Łzy spływały mu po policzkach, po szyi, na pierś. Ramiona drżały od szlochu.

– Ja… musiałem uciec. Byłem nie dość dobry. Traciłem autorytet… za dużo czasu spędzałem na piciu, paleniu marihuany i żuciu gumy snów. Mówili, że jestem za miękki. Zabiliby mnie, albo zrobili niewolnikiem. Więc pewnej nocy wymknąłem się… zabrałem łódź. Udało mi się uciec i płynąłem, aż trafiłem tutaj. Za część moich zapasów Sevier udzielił mi schronienia na dwa tygodnie.

Burton przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Przecież wiedziałeś, co cię czeka, jeśli będziesz żuł za dużo gumy – powiedział. – Koszmary, halucynacje, złudzenia. Całkowite wyniszczenie psychiczne i fizyczne. Musiałeś widzieć, co się dzieje z ludźmi.

– Na Ziemi byłem morfinistą – krzyknął Göring. – Walczyłem z tym i przez długi czas wygrywałem. Potem, kiedy sprawy Trzeciej Rzeszy zaczęły się źle układać, a moje jeszcze gorzej, kiedy Hitler się do mnie przyczepił, znów zacząłem brać narkotyki!

– Tutaj – podjął po chwili milczenia – kiedy przebudziłem się w młodym ciele, kiedy zdawało się, że mam przed sobą całą wieczność życia i młodości, kiedy nie było surowego Boga w Niebiosach ani Diabła w Piekle, by mnie powstrzymać, pomyślałem, że mogę robić wszystko, na co mam ochotę i niczym się nie przejmować. Stałbym się większy nawet niż Führer! To małe państewko, w którym mnie znalazłeś, miało być tylko początkiem! Widziałem już swoje imperium ciągnące się na tysiące mil w górę i w dół Rzeki, po obu jej brzegach. Miałbym więcej poddanych, niż śniło się Hitlerowi!

Zapłakał znowu. Napił się wody i włożył do ust kawałek gumy snów. W miarę jak żuł na jego twarzy wypływał wyraz odprężenia i błogości.

– Widziałem cię w koszmarnych snach, jak wbijasz mi włócznię w brzuch – powiedział. – Kiedy się budziłem, bolało mnie, jakby krzemienny grot rozrywał mi flaki. Zacząłem żuć gumę, żeby zapomnieć o bólu i poniżeniu. Z początku pomagało. Byłem wielki. Byłem panem świata, Hitlerem, Napoleonem, Juliuszem Cezarem, Aleksandrem, Dżyngis Chanem, wszystkimi w jednej osobie. Znów dowodziłem Eskadrą Czerwonej Śmierci von Richthofena; to były piękne dni, pod wieloma względami najszczęśliwsze w moim życiu. Lecz euforia szybko ustąpiła miejsca ohydzie. Runąłem w otchłanie piekła; widziałem, jak oskarżam sam siebie, a za mną stały miliony innych. To już nie byłem ja, to były ofiary tego wielkiego, wspaniałego bohatera, tego obrzydliwego szaleńca Hitlera, którego tak wielbiłem i w którego imieniu popełniłem tyle zbrodni.

– Przyznajesz, że jesteś zbrodniarzem? – zdziwił się Burton. – Poprzednim razem twierdziłeś coś całkiem innego. Mówiłeś, że wszystko co zrobiłeś było uzasadnione, że zostałeś zdradzony przez...

Przerwał pojmując, że zboczył z drogi do celu, który sobie wyznaczył.

– To, że dręczą cię wyrzuty sumienia, jest zadziwiające; fakt ten wyjaśnia jednak to, co tak dziwiło purytan: dlaczego rogi obfitości ofiarowują nam, prócz jedzenia, także alkohol, tytoń, marihuanę i gumę snów. Przynajmniej ta ostatnia jest darem-pułapką, niebezpiecznym dla tych, którzy go nadużywają.

Podszedł do Göringa. Niemiec miał półprzymknięte oczy i otwarte usta.

– Wiesz, kim jestem. Podróżuję pod pseudonimem i to nie bez powodu. Pamiętasz Spruce'a, jednego z twoich niewolników? Po tym jak umarłeś, okazało się zupełnie przypadkowo, że jest jednym z tych, którzy jakoś doprowadzili do zmartwychwstania ludzkości. Nazwaliśmy ich Etykami, bo nic lepszego nie przyszło nam do głowy. Słuchasz mnie? Göring?

Göring kiwnął głową.

– Spruce zabił się, zanim zdążyliśmy z niego wyciągnąć to, co chcieliśmy wiedzieć. Później jego ziomkowie przybyli na nasz teren i na pewien czas wszystkich uśpili, zapewne jakimś gazem. Chcieli mnie zabrać do swojej głównej kwatery. Ale im się nie udało. Wypłynąłem akurat w celach handlowych w górę Rzeki. Kiedy wróciłem, zdałem sobie sprawę, że mnie szukają. Od tego czasu uciekam. Słyszysz, Göring?

Z całej siły uderzył Niemca w twarz. Göring krzyknął i odskoczył, trzymając się za policzek. Otworzył oczy i skrzywił się.

– Słyszałem! – warknął. – Tyle że nie chciało mi się odpowiadać. Nic mi się nie chciało, tylko płynąć, jak najdalej od...

– Zamknij się i słuchaj! – przerwał mu Burton. – Etycy wszędzie mają swoich ludzi i szukają mnie. Nie mogę sobie pozwolić na pozostawienie cię przy życiu, rozumiesz? Nie mógłbym ci zaufać. Nawet, gdybyś był przyjacielem. Jesteś gumistą!

Göring zachichotał, podszedł do Burtona i spróbował zarzucić mu ręce na szyję. Burton odepchnął go tak mocno, że tamten zatoczył się na stolik i tylko chwytając się blatu zdołał utrzymać równowagę.

– To zabawne – oznajmił. – Kiedy tu przypłynąłem, jakiś człowiek pytał mnie, czy cię nie widziałem. Opisał cię szczegółowo i podał twoje nazwisko. Wytłumaczyłem, że znałem cię dobrze – aż za dobrze – i mam nadzieję nigdy cię już nie spotkać. Chyba, że byłbyś w mojej mocy. Powiedział, żebym go zawiadomił, jeżeli cię znowu zobaczę. To mi się opłaci.

Burton nie tracił czasu. Podszedł do Göringa i chwycił go obiema rękami. Dłonie miał drobne i delikatne, lecz Niemiec skrzywił się z bólu.

– Co chcesz zrobić? Zabić mnie jeszcze raz? – zapytał.

mając mnie tutaj wbrew mej woli. Przemocą będzie zniszczenie moich wspomnień z tego małego tête-à-tête z wami.

Loga niemal załamał ręce. Jeżeli to on był Tajemniczym Przybyszem, owym zdrajcą wśród Etyków, to był też wielkim aktorem.

– Tylko po cześci jest to prawda – powiedział zasmuconym głosem, – Musieliśmy podjąć pewne środki dla własnej ochrony. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, zostawilibyśmy go w spokoju. To fakt, pogwałciliśmy własny kod etyczny badając cię i zmuszając do ucieczki. To było konieczne. I wierz mi, drogo za to płacimy psychicznym cierpieniem.

– Możecie częściowo wynagrodzić mi krzywdy. Wytłumaczyć, dlaczego wszystkie istoty ludzkie, jakie kiedykolwiek żyły na Ziemi, zostały wskrzeszone. I jak tego dokonaliście.

Loga zaczął mówić. Czasem przerywał mu ktoś z pozostałych. Złotowłosa kobieta wtrącała się najczęściej. Po pewnym czasie Burton, obserwując zachowanie jej i Logi, doszedł do wniosku, że albo jest jego żoną, albo zajmuje wysoką pozycję w grupie.

Od czasu do czasu wtrącał kilka słów jeden z mężczyzn, którego pozostali słuchali z uwagą i szacunkiem. Burton uznał, że musi to być przywódca. W pewnej chwili mężczyzna odwrócił głowę tak, że światło rozbłysło w jego lewym oku. Burton patrzył na to zdumiony, gdyż do tej chwili nie zauważył, że człowiek ten ma wstawiony do oczodołu klejnot.

Uznał, że urządzenie to daje pewnie właścicielowi zmysł, lub zmysły, jakich inni nie mają. Później czuł się niepewnie, ilekroć to fasetowe, lśniące oko zwracało się ku niemu. Co dostrzegał ten wielokątny pryzmat?

– Czy wiecie już, dlaczego przebudziłem się przed czasem? – zapytał. – Albo w jaki sposób inni odzyskali świadomość?

Loga drgnął. Z pozostałych kilkoro na moment wstrzymało oddech.

Loga otrząsnął się pierwszy.

– Przeprowadziliśmy dokładne badania twojego ciała – powiedział. – Nawet nie masz pojęcia, jak dokładne. Przestudiowaliśmy też każdą ze składowych twego... sądzę, że nazwałbyś to psychomorfem. Albo aurą, jeśli wolisz to słowo – skinął na kulę nad swoją głową. – Nie znaleźliśmy niczego.

Burton odchylił się do tyłu i zaśmiał, głośno i długo.

– Więc jednak nie wiecie wszystkiego, sukinsyny!

– Nie. I nigdy nie będziemy wiedzieć – odparł Loga z wymuszonym uśmiechem. – Tylko Jeden jest wszechwiedzący.

Dotknął swego czoła, ust, serca i genitaliów trzema środkowymi palcami prawej ręki. Pozostali zrobili to samo.

– Wyznam ci jednak, że nas przeraziłeś... jeżeli to poprawi ci samopoczucie. I nadal nas przerażasz. Widzisz, mamy prawie całkowitą pewność, że jesteś jednym z ludzi, przed którymi zostaliśmy ostrzeżeni.

– Ostrzeżeni? Przez kogo?

– Przez... rodzaj gigantycznego komputera. Żywego komputera. I jego operatora – znów wykonał dziwny gest palcami. – Nic więcej ci nie powiem, choć kiedy odeślemy cię nad Rzekę, zapomnisz o wszystkim, co zaszło tu, na dole.

Gniew nie zaćmił Burtonowi zdolności logicznego myślenia na tyle, by nie zauważył tego „na dole". Czy oznaczało, że maszyneria zmartwychwstania i kryjówka Etyków mieści się pod powierzchnią świata Rzeki?

Pod koniec wyjaśnień Burton wiedział niewiele więcej niż przedtem. Etycy potrafili zajrzeć w przeszłość rodzajem chronoskopu; mogli też tym urządzeniem zanotować strukturę każdej istoty fizycznej. Używając tych zapisów jako modeli, przeprowadzili zmartwychwstanie przy pomocy konwertorów materii – energii.

– A co by się stało – zapytał – gdybyście dwukrotnie odtworzyli jedno ciało, w tym samym czasie?

Loga uśmiechnął się z przymusem i wyjaśnił, że przeprowadzano już podobne eksperymenty. Tylko jedno z ciał żyło.

– Uważam, że kłamiecie – oświadczył Burton z miną kota, który właśnie zjadł mysz. – Albo mówicie półprawdy. Jest w tym jakieś oszustwo. Skoro ludzie mogą osiągnąć stan takiego oczyszczenia, że „idą da-

– Zn: komicie – odparł Burton. – A na jakie pytania mi odpowiesz, jak Cię tam zwać? Na przykład, jak mnie zn ıleźliście?

– Na imię mi Loga – wyjaśnił rudzielec. – Udało się nam dzięki połączeniu działań detektywistycznych i szczęścia. Była to dość złożona operacja, lecz dla ciebie postaram się ją uprościć. Mieliśmy pewną ilość agentów, którzy cię szukali, żałośnie małą w porównaniu z trzydziestu sześcioma miliardami, sześcioma milionami, dziewięcioma tysiącami sześćset trzydziestoma siedmioma kandydatami żyjących nad Rzeką.

Kandydaci? pomyślał Burton. Kandydaci do czego? Do wiecznego życia? Czyżby było prawdą to, co o celu Zmartwychwstania twierdził Spruce?

– Nie mieliśmy pojęcia – mówił dalej Loga – że uciekasz przed nami poprzez samobójstwa. Nie podejrzewaliśmy nawet wtedy, gdy wykryto cię na terenach tak bardzo od siebie odległych, że nie mógłbyś do nich dotrzeć inaczej niż drogą zmartwychwstania. Uważaliśmy, że zostałeś zabity i przeniesiony. Mijały lata. Wciąż nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Mieliśmy inne sprawy, ściągnęliśmy więc wszystkich agentów ze Sprawy Burtona, jak to nazywaliśmy, z wyjątkiem kilku umiejscowionych po obu końcach Rzeki. Jakoś zdobyłeś informację o istnieniu wieży w pobliżu bieguna. Później dowiedzieliśmy się skąd. Twoi przyjaciele Göring i Collop okazali się bardzo pomocni, choć naturalnie nie podejrzewali nawet, że rozmawiają z Etykami.

– Kto was zawiadomił, że jestem niedaleko końca Rzeki? – zainteresował się Burton.

– Nie musisz tego wiedzieć – uśmiechnął się Loga. – Zresztą i tak byśmy cię złapali. Widzisz, przy każdej pozycji w bąblu odtwarzającym – to miejsce, gdzie z niewyjaśnionych przyczyn przebudziłeś się w trakcie fazy przedwskrzeszeniowej – wmontowany jest automatyczny licznik. Służy on celom badawczym i statystycznym. Lubimy wiedzieć, co się dzieje. Na przykład prędzej czy później byśmy się zainteresowali każdym kandydatem z liczbą śmierci wyższą niż przeciętna. Raczej później, gdyż brakuje nam ludzi. Przy twojej 777 śmierci akurat rozglądaliśmy się za wyższymi częstotliwościami zmartwychwstań. Ty miałeś najwyższy wynik. Chyba można ci pogratulować.

– Są także inni?

– Nie ścigaliśmy ich, jeżeli o to ci chodzi, jest ich zresztą stosunkowo niewielu. Nie mieliśmy pojęcia, że to właśnie ty uzyskałeś tę oszałamiającą liczbę. Twoje miejsce w bąblu PW było puste, kiedy pojawiliśmy się tam w trakcie badań statystycznych. Dwaj technicy, którzy widzieli, jak obudziłeś się w komorze PW, zidentyfikowali cię na... fotografii. Ustawiliśmy system wskrzeszający tak, że przy kolejnym odtwarzaniu twojego ciała miał nas zaalarmować, byśmy mogli przenieść cię tutaj.

– A gdybym nie zginął? – zapytał Burton.

– Ależ musiałeś zginąć. Planowałeś dotrzeć do morza polarnego poprzez ujście Rzeki, prawda? To niemożliwe. Ostatnie sto mil Rzeki płynie podziemnym tunelem. Każda łódź rozpadnie się na kawałki. Zginąłbyś jak inni, którzy próbowali tej trasy.

– Moja fotografia – zaciekawił się Burton. – Ta, którą odebrałem Agneau. Najwyraźniej zrobiono ją na Ziemi, kiedy byłem oficerem w John Company w Indiach. Jak to się stało?

– Badania, panie Burton – odparł Loga, wciąż się uśmiechając.

Burton zapragnął zetrzeć z jego twarzy ten wyraz wyższości. Na pozór nic nie ograniczało jego ruchów; zdawało się, że bez przeszkód mógłby podejść do Logi i uderzyć go. Wiedział jednak, że Etycy nie siedzieliby z nim w jednym pomieszczeniu, gdyby nie mieli jakichś zabezpieczeń. Prędzej już wypuściliby na wolność wściekłą hienę.

– Dane wskazują – mówił dalej Loga – że potencjalnie mógłbyś uniemożliwić realizację naszych planów. Dlaczego miałbyś to zrobić i jak, tego nie wiemy. Lecz cenimy nasze źródło informacji – nawet nie wiesz, jak wysoko.

– Jeżeli w to wierzycie – rzekł Burton – to czemu nie wsadzicie mnie do chłodni? Nie zawiesicie między tymi dwoma prętami i nie zostawicie unoszącego się w przestrzeni, obracającego się jak pieczeń na rożnie, dopóki nie zrealizujecie tych planów?

– Nie możemy – oświadczył Loga. – Ten czyn zniszczyłby wszystko! Jak mógłbyś wtedy osiągnąć zbawienie? Poza tym byłaby to niewybaczalna przemoc z naszej strony! To nie do pomyślenia!

– Stosujecie przemoc zmuszając mnie, bym uciekał i ukrywał się przed wami. Stosujecie przemoc, trzy-

– Nie, jeżeli podasz mi nazwisko człowieka, który o mnie pytał. W przeciwnym razie...

– No dalej, zabijaj! – zaśmiał się Göring. – Co z tego? Obudzę się gdzieś tysiące mil stąd, poza twoim zasięgiem.

Burton wskazał bambusową skrzynkę w rogu chaty. Domyślał się, że mieściła w sobie zapas gumy snów.

– Przebudzisz się bez tego! – powiedział. – Gdzie mógłbyś szybko zdobyć tyle gumy?

– Niech cię diabli! – krzyknął Göring, próbując wyrwać się z uchwytu, by dostać się do skrzynki.

– Jak on się nazywa? – zapytał Burton. – Powiedz, bo wrzucę tę gumę do Rzeki!

– Agneau. Roger Agneau. Śpi w chacie tuż obok Okrąglaka.

– Później się tobą zajmę – rzekł Burton i kantem dłoni uderzył Göringa w kark.

Odwracając się, dostrzegł człowieka skulonego przed wejściem do chaty. Tamten wyprostował się i odbiegł. Burton popędził za nim; po chwili byli już wśród sosen i dębów na wzgórzach. Uciekinier zniknął w wysokiej trawie.

Burton zwolnił, dostrzegł białą plamę – odblask księżyca na nagiej skórze – i zerwał się do biegu. Liczył na to, że Etyk nie zabije się natychmiast. Miał plan, jak wydobyć z niego informacje – pod warunkiem, że uda mu się od razu pozbawić go przytomności. Chciał użyć hipnozy. Najpierw jednak musiał go złapać. Możliwe, że uciekinier miał wszczepiony w ciało rodzaj radiostacji i już teraz porozumiewa się ze swymi kolegami, gdziekolwiek są. Jeżeli tak, to przybędą tu w tych swoich latających maszynach i będzie zgubiony.

Zatrzymał się. Człowiek, którego ścigał, zniknął. Jedyne, co mógł zrobić, to zbudzić Alicję i pozostałych i uciekać. Może tym razem powinni odejść w góry i ukryć się tam na pewien czas.

Najpierw jednak pójdzie do chaty Agneau. Szansa, że zastanie jej lokatora była niewielka, ale należało się o tym przekonać.

Rozdział 21

Burton zbliżył się do chaty w samą porę, by dostrzec plecy jakiegoś mężczyzny, znikającego właśnie we wnętrzu. Zatoczył krąg, by podejść od strony wzgórz, gdzie rozrzucone na równinie drzewa dawały mu osłonę. Skulony podbiegł do drzwi.

Gdzieś z tyłu usłyszał głośny krzyk. Odwrócił się błyskawicznie i dostrzegł Göringa, zbliżającego się niepewnym krokiem. Wrzeszczał po niemiecku uprzedzając Agneau, że Burton stoi przed chatą. W ręku trzymał długą dzidę, którą zamierzał się na Anglika.

Burton odwrócił się i huknął ramieniem w cienkie drzwi z bambusowych listew. Wyrwane z drewnianych zawiasów wpadły do wnętrza uderzając stojącego tuż za nimi Agneau. Wszyscy: Burton, drzwi i Agneau runęli na klepisko. Agneau znalazł się na samym dole.

Burton zerwał się na nogi i skoczył obiema stopami na bambusowe listwy. Agneau wrzasnął głośno i zamilkł. Burton odrzucił drzwi na bok. Jego ofiara krwawiła z nosa i była nieprzytomna. Doskonale! Teraz, jeżeli hałas nie sprowadzi tu warty i jeśli dostatecznie szybko poradzi sobie z Göringiem, będzie mógł przeprowadzić swój plan.

Obejrzał się w samą porę, by dostrzec światło gwiazd odbijające się od lecącego ku niemu długiego, czarnego przedmiotu.

Rzucił się w bok. Dzida ze stukiem wbiła się w klepisko. Jej drzewce drżało jak grzechotnik, szykujący się do ciosu.

Wyskoczył na zewnątrz, rzutem oka ocenił odległość dzielącą go od Göringa i zaatakował. Jego assegai wbiło się w brzuch Niemca. Göring wyrzucił ramiona w górę, wrzasnął i upadł. Burton przerzucił przez ramię bezwładne ciało Agneau i wyniósł go przed chatę.

Z Okrąglaka dobiegały już krzyki, zapalano pochodnie, a strażnik w pobliskiej wieżyczce wołał na alarm. Göring siedział na ziemi i ściskał oburącz drzewce assegai. Z otwartymi ustami spojrzał na Burtona.

– Znów mi to zrobiłeś – wykrztusił. – Ty...

Rzężąc, upadł na twarz.

Agneau doszedł do siebie. Szarpnął się gwałtownie, wyrwał z uścisku Burtona i upadł na ziemię. W przeciwieństwie do Göringa nie wydał z siebie dźwięku. Miał tyleż powodów by zachować ciszę co i Burton, a może nawet więcej. Burton był tak zaskoczony, że przez chwilę stał nieruchomo, trzymając w ręku przepaskę biodrową tamtego. Chciał ją odrzucić, gdy nagle wyczuł zaszyty w niej jakiś prostokątny, twardy przedmiot. Złapał tkaninę w lewą rękę, prawą wyrwał assegai z ciała Göringa i pognał za Agneau.

Etyk zepchnął na wodę jedno z wyciągniętych na brzeg bambusowych czółen. Wiosłował wściekle, co chwilę oglądając się za siebie. Burton uniósł assegai i cisnął go mocno. Broń była krótka, z grubym drzewcem, służąca raczej do walki wręcz niż do rzutów, lecz pomknęła prosto i opadając, zakończyła swój lot w plecach Agneau. Etyk upadł na twarz, nieco na ukos, tak że przewrócił wąską łódkę do góry dnem. Nie wypłynął już na powierzchnię.

Burton zaklął. Chciał go złapać żywcem, ale za nic nie pozwoliłby mu uciec. Być może Agneau nie zdążył jeszcze porozumieć się z Etykami.

Zawrócił w stronę chat gościnnych. Bębny dudniły wzdłuż brzegu, a ludzie z pochodniami biegli w stronę Okrąglaka. Burton zatrzymał jakąś kobietę i poprosił, by pożyczyła mu pochodnię. Podała mu ją, lecz zarzuciła go gradem pytań. Wyjaśnił, że zdawało mu się, iż to Choctawowie zza Rzeki dokonali nagłego ataku. Ruszyła natychmiast, by dołączyć do ludzi, zbierających się przy palisadzie.

Burton wbił zaostrzony koniec pochodni w miękką ziemię i obejrzał dokładnie ręcznik Agneau. Po wewnętrznej stronie, tuż nad twardym prostokątem, znalazł rozcięcie zamknięte dwoma wąskimi magnetycznymi paskami. Otworzył je bez trudu, wyjął niezwykły przedmiot i przyjrzał mu się w świetle pochodni.

Przez długą chwilę trwał znieruchomiały w migotliwym blasku płomienia. Nie był zdolny odwrócić wzroku ani opanować paraliżującego niemal zdumienia. Fotografia w tym świecie bez aparatów fotograficznych była rzeczą niezwykłą. Ale jego zdjęcie było czymś jeszcze bardziej niesamowitym, podobnie jak fakt, że nie zrobiono go na tej planecie! Wykonano je na Ziemi, Ziemi zagubionej gdzieś w kłębowisku gwiazd na jasnym firmamencie, w odległości Bóg jeden wie ilu tysięcy lat.

Jedna niemożliwość goniła drugą! Ale fotografię zrobiono w miejscu i czasie, kiedy był pewien, że żadna kamera nie mogła utrwalić jego wizerunku. Retusz pozbawił go wąsów, ale ktokolwiek tego dokonał, nie zadał sobie trudu, by choć częściowo usunąć ze zdjęcia tło lub jego ubranie. Był tam, w magiczny sposób pochwycony od pasa w górę, uwięziony w płaskim prostokącie jakiegoś tworzywa. Płaskim? Kiedy go odwrócił, zobaczył swój profil. A kiedy przytrzymał fotografię niemal prostopadle do linii wzroku, dostrzegł też półprofil.

– To było w 1848 – mruknął do siebie. – Kiedy miałem dwadzieścia siedem lat i byłem młodszym oficerem Korpusu Wschodnioindyjskiego. A to są błękitne szczyty gór Goa. Leczyłem się tam. Mój Boże, jak to zrobili? I kto? Jak ci Etycy zdołali to zdobyć?

Agneau najwyraźniej nosił tę fotografię, żeby łatwiej mu było pytać o Burtona. Prawdopodobnie każdy z łowców miał taką samą, ukrytą w swym ręczniku. Szukali go w górze i w dole Rzeki; mogły Ich być tysiące, może dziesiątki tysięcy. Któż wiedział, ilu mieli agentów i jak bardzo chcieli go schwytać? I dlaczego chcieli go schwytać?

Schował fotografię do ręcznika, po czym ruszył do chaty. Przez chwilę patrzył na szczyty gór – niepokonaną barierę, po obu stronach otaczającą Dolinę Rzeki.

Zauważył, że coś zamigotało na tle jaskrawej chmury kosmicznego gazu. Pojawiło się tylko na mgnienie oka i znikło.

Kilka sekund później wynurzyło się z nicości, tym razem jako półkolisty obiekt, i zniknęło znowu.

Drugi latający pojazd pojawił się na moment, później znowu, na mniejszej wysokości i rozpłynął tak jak pierwszy.

Etycy zabiorą go stąd, a mieszkańcy Sevierii będą się zastanawiać, dlaczego nagle zapadli w sen.

Nie miał już czasu, by wrócić do chaty i budzić pozostałych. Jeśli będzie zwlekał choć przez chwilę dłużej, znajdzie się w pułapce.

Zawrócił i pobiegł do Rzeki. Skoczył do wody i popłynął w stronę drugiego brzegu, oddalonego o półtorej mili. Nim jednak przebył czterdzieści jardów wyczuł nad sobą coś wielkiego. Przewrócił się na plecy. Wi-

watystami i nie uznawali odbierania ziemi jej drzew. Dęby i sosny musiały pozostać nienaruszone, lecz bambus był do zdobycia. Nawet bambus jednak musiał kupić za papierosy i alkohol, zebranie których zajmie mu trochę czasu.

Burton podziękował i odszedł. Później położył się do łóżka w chacie, stojącej niedaleko domostwa Collopa. Nie mógł zasnąć.

Zbliżała się pora deszczu. Burton postanowił wyjść z chaty, iść w stronę gór, ukryć się pod jakąś skałą i przeczekać, aż minie ulewa, rozpłyną chmury i wieczne choć słabe słońce pojawi się znowu. Teraz, kiedy był już tak blisko celu, nie chciał, by Tamci go zaskoczyli. A wydawało się prawdopodobne, że Etycy umieścili tu wielu swych agentów. Nawet żona Collopa mogła być jednym z Nich.

Zanim przeszedł pół mili runęła ulewa, a piorun uderzył w pobliżu. W krótkim blasku dostrzegł, jak coś pojawia się w pustce wprost przed nim, około dwudziestu stóp nad ziemią.

Zawrócił i pognał w stronę kępy drzew. Miał nadzieję, że go nie zauważyli i zdoła się ukryć. Gdyby się to powiodło, mógłby przedostać się do góry. A kiedy Oni uśpią tu wszystkich, znów się przekonają, że już go nie ma...

Rozdział 29

– Długo cię ścigamy, Richardzie Burton – powiedział ktoś po angielsku.

Burton otworzył oczy. Przemieszczenie się w to miejsce było tak nieoczekiwane, że poczuł oszołomienie. Lecz tylko na moment. Siedział w fotelu z jakiegoś bardzo miękkiego, elastycznego materiału, w pokoju o kształcie idealnej kuli o bladozielonych, półprzezroczystych ścianach. Ze wszystkich stron widział inne kuliste pomieszczenia, po bokach, przed i za sobą, u góry i u dołu. Znów poczuł oszołomienie; tamte pokoje nie stykały się z tym, w którym się znalazł. Przecinały się. Ich części przenikały do wnętrza, lecz tutaj stawały się tak bezbarwne i przejrzyste, że z trudem je dostrzegał.

Po przeciwnej stronie komory zauważył owal ciemniejszej zieleni, wklęsły, dopasowany do krzywizny ściany. W elipsie widział obraz widmowego lasu; widmo jelenia biegło między drzewami. Dochodził stamtąd zapach sosen i dereni.

Naprzeciw niego, w fotelach podobnych do jego fotela, siedziało dwunastu ludzi, sześciu mężczyzn i sześć kobiet, wszyscy przystojni, opaleni i prócz dwójki ciemnowłosi. Jeden z mężczyzn miał włosy tak silnie kręcone, że wydawały się splątane.

Tylko jedna z kobiet miała złote, faliste włosy, spięte w luźny węzeł. A jeden z mężczyzn miał czuprynę rudą, tak rudą jak futro lisa. Był przystojny, o ciemnozielonych oczach i nieregularnych rysach, z dużym, zakrzywionym nosem.

Ubrani byli w srebrzyste lub purpurowe bluzy z krezowymi kołnierzami i krótkimi, szerokimi rękawami, wąskie, błyszczące paski, kilty i sandały. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli pomalowane paznokcie u rąk i nóg, umalowane wargi i oczy, wszyscy też nosili kolczyki.

Nad głową każdego z nich, niemal dotykając włosów, unosiła się wielobarwna kula średnicy mniej więcej jednej stopy. Kule te wirowały i połyskiwały, zmieniały kolory poprzez wszystkie odcienie widma. Od czasu do czasu wybiegały z nich sześciokątne promienie, zielone, błękitne, czarne lub lśniąco białe. Potem znikały, by ustąpić miejsca kolejnym sześciokątom.

Burton spojrzał w dół. Miał na sobie tylko czarny ręcznik, spięty w pasie.

– Uprzedzę twoje pierwsze pytanie i powiem, że nie udzielimy ci żadnych informacji na temat miejsca, w którym się znalazłeś.

Tym, który się odezwał, był rudowłosy mężczyzna. Uśmiechnął się do Burtona odsłaniając nieludzko białe zęby.

– To naturalne. Wielu ich było na Ziemi. Śmiem jednak twierdzić, że ich liczba maleje. Kościół zdołał dokonać wiele dobrego, Bogu niech będą dzięki. Zwłaszcza na tym terenie. Ale chodźmy, drogi przyjacielu. Przedstawię cię mojej towarzyszce. Piękna kobieta i wierna w tym świecie, gdzie wierność małżeńska wciąż jeszcze niewiele jest warta, podobnie zresztą jak inne cnoty. Urodziła się w dwudziestym wieku i przez większą część życia uczyła angielskiego. Szczerze mówiąc, wydaje mi się czasem, że kocha mnie nie tyle dla mnie samego, lecz za wszystko, czego mogę ją nauczyć o mowie moich czasów.

Zaśmiał się nerwowo, z czego Burton wywnioskował, że żartuje.

Przeszli przez równinę ku wzgórzom, gdzie na kamiennych platformach przed chatami płonęły ogniska. Większość mężczyzn i kobiet otulała się ręcznikami, spiętymi w rodzaj kurtek, chroniących od chłodu.

– Mroczne i zimne miejsce – stwierdził Burton. – Nie rozumiem, jak ci ludzie mogą tu żyć.

– Większość z nich to Finowie i Szwedzi z końca dwudziestego wieku. Są przyzwyczajeni do nocy polarnych. Ale ty powinieneś się cieszyć, że tu trafiłeś. Pamiętam twoją gorącą ciekawość polarnych regionów i twoje spekulacje na ich temat. Byli też inni, podobni do ciebie. Ruszyli Rzeką szukać swego Ulitima Thule, czy też, jeżeli wybaczysz mi to określenie, złota głupców na krańcu tęczy. Lecz wszyscy albo nie wrócili, albo nie dotarli daleko, zatrzymani przez przeszkody nie do pokonania.

– Jakie przeszkody? – przerwał Burton ściskając Collopa za ramię.

– To boli, przyjacielu. Po pierwsze, znikają kamienie obfitości, nie mają więc gdzie naładować rogów. Po drugie, równiny kończą się nagle i Rzeka płynie korytem pomiędzy samymi górami, rozpadliną lodowatego mroku. Po trzecie, co jest dalej nie wiem, gdyż nikt nie wrócił, żeby o tym opowiedzieć. Lękam się jednak, że spotkał ich zwykły koniec tych, co grzeszą pychą.

– Jak daleko jest to miejsce, skąd nie ma powrotu?

– Z biegiem Rzeki około 25.000 mil. Żeglując pospiesznie możesz się tam dostać w rok, może trochę dłużej. Tylko Ojciec Wszechmocny wie, ile jeszcze musisz przepłynąć, by dotrzeć do samego końca Rzeki. Zapewne zginiesz przedtem z głodu, gdyż od ostatniego kamienia będziesz musiał żywić się zapasami.

– Istnieje tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – oznajmił Burton.

– Nic więc cię nie powstrzyma, Richardzie Burton? – zapytał Collop. – Nie zrezygnujesz z bezowocnego pościgu za tym, co fizyczne, kiedy powinieneś podążać za metafizycznym?

Burton znów ścisnął go za ramię.

– Powiedziałeś B u r t o n?

– Istotnie. Twój przyjaciel Göring powiedział mi jakiś czas temu, że tak się naprawdę nazywasz. Opowiadał mi o tobie także inne rzeczy.

– Göring jest tutaj?

Collop kiwnął głową.

– Już prawie dwa lata. Mieszka jakąś milę stąd. Jutro możemy się z nim zobaczyć. Będziesz zdumiony zmianą, jaka w nim zaszła. Przezwyciężył szaleństwo spowodowane gumą snów i uformował odłamki swej jaźni w nowego, lepszego człowieka. Jest nawet przywódcą Kościoła Jeszcze Jednej Szansy na tym terenie. Podczas gdy ty, przyjacielu, szukałeś jakiegoś nieważnego, zewnętrznego graala, on we własnej duszy znalazł Święty Graal. Szaleństwo prawie go zabiło, niewiele brakowało, by powrócił do zła swego ziemskiego żywota. Lecz z łaski Boga, poprzez swe prawdziwe pragnienie okazania się godnym daru kolejnego życia... zresztą jutro sam się przekonasz. I modlę się, byś wyniósł korzyść z tego przykładu.

Collop przesadzał. Göring zginął prawie tyle razy co Burton, zwykle śmiercią samobójczą. Niezdolny wytrwać wśród koszmarów i odrazy do samego siebie, raz za razem zdobywał tym sposobem krótki okres spokoju... tylko po to, by następnego dnia znów spotkać własne ja. Dopiero kiedy pojawił się w tym regionie i otrzymał pomoc Collopa, człowieka, którego kiedyś zamordował, udało mu się zwyciężyć.

– Jestem zdumiony – oświadczył Burton. – I cieszę się wraz z Göringiem. Ja mam jednak inne cele. Chciałbym, byś mi obiecał, że nikomu nie zdradzisz mojego prawdziwego nazwiska. Pozwól mi pozostać Abdulem ibn Harun.

Collop przyrzekł dochować tajemnicy, choć był rozczarowany, że Burton nie zobaczy Göringa i nie przekona się, co miłość i wiara potrafią uczynić nawet z beznadziejnego na pozór grzesznika. Zaprowadził Burtona do swej chaty i przedstawił żonie, niewysokiej, drobnej brunetce. Była uprzejma i przyjazna, upierała się też, by towarzyszyć obu mężczyznom podczas wizyty u tutejszego przywódcy *valkotukkainena*. Słowo to oznaczało w miejscowym dialekcie białowłosego chłopca lub kogoś ważnego.

Ville Ahonen był potężnym, spokojnym mężczyzną. Cierpliwie wysłuchał Burtona, który wyjawił mu tylko część swego planu. Powiedział, że pragnie zbudować łódź, by ruszyć w podróż do końca Rzeki. Nie wspomniał, że chce popłynąć dalej. Ahonen jednak najwyraźniej spotykał już podobnych ludzi.

Uśmiechnął się chytrze i oświadczył, że Burton może budować łódź. Ludzie w okolicy byli jednak konser-

dział tylko słabe światło gwiazd. Potem, w pustce, pięćdziesiąt stóp ponad nim, pojawił się dysk o średnicy jakichś sześćdziesięciu stóp i zasłonił skrawek nieba. Zniknął niemal natychmiast i zjawił się ponownie zaledwie dwadzieścia stóp nad wodą.

Dysponowali więc środkami, pozwalającymi w ciemności widzieć na odległość i zauważyli jego ucieczkę.

– Dranie! – ryknął do Nich. – I tak mnie nie dostaniecie.

Zgiął się wpół i zanurkował. Woda była coraz zimniejsza, zaczynał odczuwać ból w uszach. Oczy miał otwarte, lecz nic nie widział. Nagle pchnęła go ściana wody i wiedział, że zmianę ciśnienia spowodowało przemieszczenie jakiegoś dużego obiektu.

To pojazd zanurzył się za nim.

Pozostała mu tylko jedna droga. Dostaną jego zwłoki, ale nic więcej. Znów Im ucieknie, by zmartwychwstać gdzieś nad Rzeką, by zaatakować Ich jeszcze raz.

Otworzył usta i wciągnął wodę do płuc. Jedynie najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się od zamknięcia ust i walki ze śmiercią. Jego umysł wiedział, że znów będzie żył, lecz komórki organizmu nie. Walczyły o życie teraz, nie w wymyślonej przyszłości. I wyrwały z jego zalanej wodą krtani krzyk rozpaczy.


Wiktor Żwikiewicz

Rozdział 22

– Jaaaaaaaaa!

Wrzask podniósł go na nogi, jak odbitego od batutu. W przeciwieństwie do pierwszego zmartwychwstania, tym razem nie był słaby ani oszołomiony. Wiedział, czego oczekiwać. Powinien przebudzić się na trawiastym brzegu Rzeki w pobliżu kamienia obfitości. Nie był jednak przygotowany na tych olbrzymów, walczących wokół niego.

Pierwszą myślą było znalezienie jakiejś broni. Pod ręką miał tylko róg obfitości, zawsze pojawiający się przy wskrzeszonych i stos ręczników rozmaitych rozmiarów, kolorów i grubości. Postąpił krok do przodu

i mocno ujął uchwyt cylindra. Jeżeli będzie musiał, użyje go jako maczugi. Był lekki, ale praktycznie niezniszczalny i bardzo twardy.

Tyle że te potwory dookoła wyglądały, jakby można je było tłuc przez cały dzień, zanim by coś poczuły.

Większość z nich miała co najmniej osiem stóp wzrostu, niektórzy z pewnością ponad dziewięć; potężnie umięśnione ramiona były na trzy stopy szerokie. Zbudowani byli jak ludzie, czy prawie jak ludzie, a ich białą skórę pokrywały długie, rudawe lub brunatne włosy. Nie byli porośnięci tak mocno jak szympansy, lecz bardziej niż jakikolwiek człowiek, którego w życiu widział, a znał kilku naprawdę owłosionych.

To twarze jednak nadawały im nieludzki i przerażający wygląd, zwłaszcza że wykrzywiał je bitewny szał. Pod niskim czołem wyrastał wał kostny, biegnący tuż ponad oczami i dalej wokół nich, tworząc podwójny owal. Oczy, nie mniejsze niż jego własne, zdawały się maleńkie w szerokich twarzach, w których były osadzone. Kości policzkowe wystawały daleko i ostro zakrzywiały się do wewnątrz. Wielkie nochale nadawały olbrzymom wygląd długonosych małp.

W innych okolicznościach ich wygląd mógłby go rozbawić. Lecz nie teraz. Ryki dobywające się z głębi piersi szerszych niż u goryli brzmiały jak ryki lwów, a wielkie zęby nawet niedźwiedzia polarnego skłoniłyby do zastanowienia przed atakiem. W pięściach, wielkich jak głowa Burtona, ściskali kamienne siekiery i maczugi, długie jak dyszle. Taką bronią zadawali sobie ciosy, a przy każdym trafieniu pękające kości trzaskały głośno jak łamiące się drzewa. Czasem pękały też maczugi.

Burton miał tylko chwilę, żeby się rozejrzeć. Słońce do połowy wynurzyło się zza szczytów gór za Rzeką. Odczuwał zimno jak jeszcze nigdy na tej planecie, chyba że podczas swej nieudanej próby wspinaczki na pionowe ściany gór.

Jeden z tych, którzy zwyciężyli w walce, rozejrzał się i zauważył go. Stanął nieruchomo. Przez chwilę wydawał się równie zdumiony jak Burton, gdy ten po raz pierwszy otworzył oczy. Może nigdy jeszcze nie widział takiego stworzenia, podobnie jak Burton nie widział nigdy istoty jak ów gigant. Jeśli nawet tak było, to szybko ochłonął. Ryknął, przeskoczył nad okaleczonym ciałem swego przeciwnika i pobiegł w stronę Burtona, wznosząc do ciosu siekierę, którą mógłby powalić słonia.

Burton także ruszył, ściskając w dłoni swój cylinder. Gdyby go zgubił, zginąłby od razu. A bez niego umarłby z głodu albo z wysiłkiem wegetował, jedząc ryby i pędy bambusa.

Prawie mu się udało. Zobaczył przed sobą wolną drogę i przemknął pomiędzy dwoma splecionymi w uścisku olbrzymami, usiłującymi powalić się wzajemnie na ziemię, a trzecim, cofającym się przed gradem ciosów maczugi czwartego. Prawie ich minął, gdy para zapaśników przewróciła się na niego.

Biegł na tyle szybko, że go nie przygnietli, lecz odrzucone ramię jednego uderzyło go w lewą piętę. Cios był tak silny, że wgniótł mu stopę w ziemię i zatrzymał na miejscu. Przewrócił się na twarz i zaczął krzyczeć. Miał połamane kości stopy i pozrywane mięśnie w nodze.

Mimo to spróbował wstać i dokuśtykać do Rzeki. Gdyby mu się udało, mógłby odpłynąć, o ile nie zemdlałby z bólu. Zdążył dwa razy podskoczyć na prawej nodze, gdy coś chwyciło go od tyłu.

Wirując wyleciał w powietrze i został złapany zanim zaczął spadać.

Olbrzym trzymał go w jednej ręce na odległość wyciągniętego ramienia i zaciskał potężną pięść wokół jego piersi. Burton ledwie mógł oddychać. Czuł, że za chwilę popękają mu żebra.

Wciąż trzymał w ręku swój róg obfitości. Z całej siły uderzył nim w ramię olbrzyma. Tamten lekko, jakby odpędzając muchę, puknął siekierą w cylinder i wyrwał go Burtonowi z dłoni. Wyszczerzył zęby i zgiął rękę, by przyjrzeć się człowiekowi z bliska. Burton ważył sto osiemdziesiąt funtów, lecz ramię wielkoluda nawet nie zadrżało pod tym ciężarem.

Przez chwilę Burton patrzył prosto w bladobłękitne oczy otoczone kostnymi kręgami. Popękane żyły znaczyły nos olbrzyma. Usta sterczały do przodu nie dzięki grubości warg, jak wydawało mu się z początku, lecz ze względu na mocno wysunięte szczęki.

Gigant ryknął głośno i uniósł Burtona nad głową. Burton okładał pięściami trzymającą go rękę. Wiedział, że to na próżno, lecz nie chciał poddać się jak królik schwytany w sidła. Mimo grozy sytuacji zdołał dostrzec kilka szczegółów krajobrazu, choć nie zwrócił na nie większej uwagi.

Kiedy się przebudził, słońce wschodziło nad szczytami gór. Wprawdzie od chwili, gdy skoczył na nogi

Cyganie. W pewnym regionie, gdzie mówiono po angielsku, usłyszał o Richardzie Wędrowcu, a w innym o Łazarzu Włóczędze. Trochę go to niepokoiło, gdyż Etycy mogli domyślić się, w jaki sposób ucieka i przedsięwziąć odpowiednie środki, by go schwytać. Mogli też odgadnąć jego główny cel i rozmieścić straże w pobliżu źródeł Rzeki.

Po siedmiu latach obserwacji gwiazd, po wielu odbytych rozmowach, wyrobił sobie opinię o biegu Rzeki.

To nie była amphisbaena, wąż o dwóch głowach, ze źródłem na północnym i ujściem na południowym biegunie. To był Wąż Midgardu, z głową na biegunie północnym, ciałem owiniętym po wielokroć wokół planety i ogonem we własnej paszczy. Rzeka wypływała z północnych regionów polarnych, płynęła tam i powrotem przez jedną półkulę, okrążała biegun południowy i ruszała zygzakiem po drugiej, tam i z powrotem, ciągle w górę, aż jej ujście otwierało się do hipotetycznego polarnego morza.

Zresztą ten duży akwen nie był czysto hipotetyczny. Jeśli historia o Titanthropie, prehistorycznym osobniku, który twierdził, że widział Mglistą Wieżę, była prawdziwa, to Wieża wznosiła się z okrytej mgłami powierzchni morza.

Burton znał tę opowieść tylko z drugiej ręki. Widział jednak Titanthropów u początków Rzeki, w czasie pierwszego „skoku". Wydawało się zupełnie możliwe, by jeden z nich przeszedł przez góry i dotarł tak daleko, że widział morze polarne. A gdzie doszedł jeden człowiek, tam może dojść drugi.

W jaki sposób Rzeka płynęła pod górę?

Prędkość ruchu wody wyglądała na stałą, nawet w miejscach, gdzie prąd powinien zwolnić lub całkiem się zatrzymać. Burton wywnioskował z tego istnienie lokalnych pól grawitacyjnych, przesuwających masy wody do miejsca, gdzie zaczynało działać naturalne przyciąganie planety. Gdzieś, może pod dnem samej Rzeki, ukryte były urządzenia, wykonujące tę pracę. Ich pola musiały być bardzo ograniczone, ponieważ mieszkańcy tych rejonów nie odczuwali zmian grawitacji.

Zbyt wiele miał pytań. Musiał próbować, póki nie dostanie się do Istot, które udzielą odpowiedzi.

To był jego 777 „skok". Był przekonany, że siódemka jest jego szczęśliwą liczbą. Mimo kpin swych dwudziestowiecznych przyjaciół, Burton święcie wierzył w większość przesądów, do których przyzwyczaił się na Ziemi. Śmiał się często z cudzych zabobonów lecz wiedział, że niektóre liczby przynoszą mu szczęście, że srebro położone na powiekach pomoże odzyskać siły w chwili zmęczenia i wzmocni intuicję, dodatkowy zmysł, ostrzegający przed niebezpieczeństwami. Co prawda, w tym ubogim w minerały świecie nie było chyba srebra, lecz gdyby je znalazł, na pewno potrafiłby wykorzystać.

Przez cały pierwszy dzień pozostał na brzegu. Nie zwracał uwagi na tych, którzy próbowali z nim rozmawiać. Uśmiechał się tylko. W przeciwieństwie do większości poznanych dotychczas, tutejsi ludzie nie przejawiali wrogości. Słońce płynęło nad wschodnim pasmem gór, na pozór właśnie wynurzając się zza szczytów. Płonąca kula przesuwała się nad doliną niżej niż kiedykolwiek udało mu się zaobserwować, z wyjątkiem krótkiego okresu pobytu wśród Titanthropów o groteskowych nosach. Na pewien czas słońce zalało ziemię światłem i ciepłem, by zaraz rozpocząć swą wędrówkę nad zachodnimi górami. Dolina pogrążyła się w cieniu. Znowu zrobiło się chłodniej niż w jakimkolwiek innym miejscu, które poznał, z wyjątkiem tamtego pierwszego skoku. Słońce przesuwało się ciągle, aż powróciło do miejsca, gdzie zobaczył je Burton gdy pierwszy raz otworzył oczy.

Szczęśliwy, choć zmęczony dwudziestoczterogodzinnym czuwaniem ruszył, by poszukać sobie kwatery. Wiedział już, że trafił na tereny arktyczne, choć nie w miejsce tuż poniżej źródeł. Tym razem znalazł się na drugim końcu, u ujścia.

Odwracając się usłyszał głos, z pewnością znajomy, choć nie potrafił go rozpoznać (tak wiele ich już słyszał).

Dusza ulata;
Tyś nie z tej Ziemi jest, więc dalej!
Niebiosa iskrę dały;
Do nich płomień powraca.

– John Collop!

– Abdul ibn Harun! A mówią, że nie ma cudów! Co się z tobą działo od czasu, kiedy się widzieliśmy?

– Umarłem tej samej nocy co ty – odparł Burton. – A potem jeszcze parę razy. Wiele jest złych ludzi na tym świecie.

PANI, ZACZEKAJ DO RANA! Z WIEŻY WIDZIAŁEM ŁUNĘ NA PÓŁNOCY...
TYM BARDZIEJ MUSZĘ TERAZ. OTWIERAJ!
O! JEST NASZ RZEZIMIESZEK!

















Scenariusz: Jacek RODEK i Wiktor ŻWIKIEWICZ. Rysunki: Andrzej O. NOWAKOWSKI.


TAM !


ON ZYJE !


!




JUZ DOBRZE, NIE BÓJ SIĘ...


SKĄD TO MASZ ?
ON BYŁ DOBRY I ... POKAZYWAŁ ŚMIESZNE RZECZY. A ONI PRZYSZLI W NOCY... I OGIEŃ... TAK STRASZNIE...


TO JEST PLAN... DOLINA CZTERECH... NIE ROZUMIEM TEGO ZNAKU...
DZIADKU !
DOLINA CZTERECH ŻYWIOŁÓW. TO STRASZNE MIEJSCE...


NIECH WAS BOGOWIE MAJĄ W OPIECE.


STAĆ! DARSUN JEST ZMĘCZONY.


TEŻ ODPOCZNIJ. NIE SPAŁEŚ CAŁĄ NOC.
YORK?
?
ŚPIJ... MIECZU...
JUŻ CZAS YORKU?


PSST...
MOŻESZ OBUDZIĆ SAKRĘ...


SŁYSZAŁEM, ŻE LUDZIE POSŁUGUJĄCY SIĘ MAGIĄ SĄ ZUPEŁNIE BEZBRONNI, KIEDY UTRACĄ SWOJE KSIĘGI. Z PEWNOŚCIĄ TEGO CZŁOWIEKA NIE MA JUŻ POŚRÓD ŻYWYCH... SĄDZISZ, ŻE WARTO IŚĆ ZA NIM? MOŻE POWINNIŚMY KIEROWAĆ SIĘ W STRONĘ KTÓRĄ CI WSKAZAŁ TWÓJ BÓG?
TO MOŻE BYĆ WSZĘDZIE. KIEDY ZOBACZĘ TO MIEJSCE, BĘDĘ WIEDZIAŁA, ŻE TO JEST TO.


W DROGĘ!


DZIELNIE SIĘ TRZYMAŁ KONIA CAŁĄ NOC.
TRZEBA ZOSTAWIĆ GDZIEŚ TO DZIECKO.
JEGO PRZYJACIEL KAT MA CHYBA KŁOPOT, ŻEBY ZNALEŹĆ JEGO RĘKĘ...




KTOŚ TU BYŁ PRZED NAMI, PANIE! ŚLADY KOPYT I KREW!
SPRYCIARZ, TEN MAŁY. KOŃ BYŁ CHYBA JEDEN.


SŁYSZAŁAM, ŻE STARY KAPŁAN IMIENIEM ASKALON MA DZIWNE OBYCZAJE. PODOBNO ZA MŁODU NIKT MU NIE DORÓWNAŁ WE WŁADANIU MIECZEM, A I DZISIAJ SYPIA W PEŁNEJ ZBROI.?
DOBRZE, ŻE DESZCZ NIE ZMYŁ ŚLADÓW.

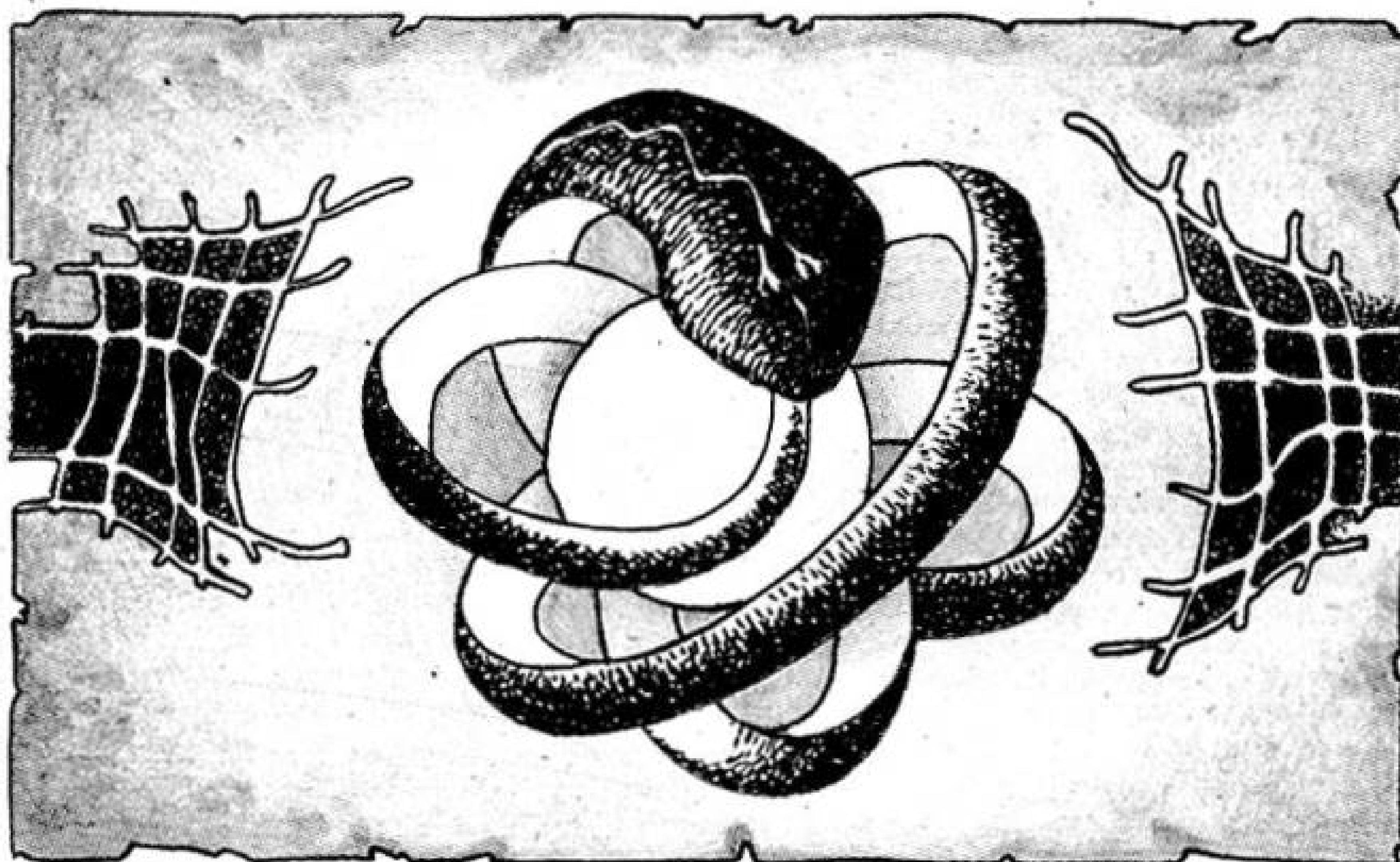

TO TUTAJ.

Po trzech miesiącach Burton uznał, że przemyślał już wszystko. Nadeszła pora, by się stąd wynieść.

Pływał właśnie w Rzece i kierowany nagłym impulsem wypłynął na sam środek. Zanurkował tak głęboko, jak tylko zdołał, zanim niepokonana wola przeżycia jego ciała zmusiła go, by ze wszystkich sił płynął ku bezcennemu powietrzu. Nie zdążył. Drapieżne ryby pożrą jego ciało, a kości spoczną w mule głęboko na dnie. Tym lepiej. Nie chciał wpaść w ręce Etyków, nawet po śmierci. Jeśli Przybysz mówił prawdę, to potrafiliby odczytać z jego mózgu wszystko co widział i słyszał, jeśli tylko znaleźliby go dostatecznie wcześnie, zanim komórki ciała ulegną rozkładowi.

Nie sądził, by Im się to udało. Przez następne siedem lat udawało mu się, o ile mógł to stwierdzić, uniknąć wykrycia. Jeżeli Zdrajca wiedział, gdzie przebywa, to nie dał Burtonowi znać. Lecz Burton wątpił, by wiedział ktokolwiek. Sam nie mógł określić, w jakiej części Świata Rzeki się znajduje, jak daleko lub jak blisko głównej kwatery w Wieży. Cały czas był w ruchu, wciąż płynął, płynął, płynął. Wiedział, że pobił swego rodzaju rekord. Śmierć stała się jego drugą naturą.

Jeśli się nie pomylił, to dokonał 777 podróży Samobójczym Ekspresem.



Rozdział 28

Czasami Burton myślał o sobie jako o planetarnym koniku polnym, co skacze w ciemność śmierci, potem ląduje i przez krótką chwilę skubie trawę, jednym okiem wciąż bacząc na cień, zdradzający nadlatującego drapieżcę – Etyków. Na wielkiej łące ludzkości siadał już na wielu źdźbłach, smakował je i ruszał dalej.

Kiedy indziej porównywał się do sieci, tu i tam wyłapującej z ogromnego morza ludzkości jakieś okazy. Schwytał kilka wielkich ryb i wiele sardynek. Równie wiele, jeśli nie więcej, można było się dowiedzieć od tym małych, co od dużych.

Nie lubił jednak porównania z siecią. Przypominało mu, że jest gdzieś inna, większa sieć, zarzucona specjalnie na niego.

Jakichkolwiek jednak używał przenośni czy porównań, był człowiekiem, który – żeby użyć dwudziestowiecznego amerykanizmu – sporo kręcił się po świecie. Kilka razy spotkał się nawet z legendą o Burtonie

minęło tylko kilka minut, jednak powinno się już całkiem wynurzyć. Lecz nie; tkwiło nadal na takiej samej wysokości jak wtedy, gdy zobaczył je po raz pierwszy.

Co więcej, dolina wznosiła się lekko, otwierając widok na co najmniej cztery mile biegu Rzeki. Kamień obfitości, przy którym został wskrzeszony, był ostatnim. Dalej widział już tylko równinę i Rzekę.

Dotarł do końca... lub do początku Rzeki.

Nie miał czasu ani ochoty, by rozważyć znaczenie tego faktu. Po prostu zauważył go w krótkiej chwili przejścia pomiędzy bólem, wściekłością a przerażeniem. Potem olbrzym, właśnie w chwili, kiedy unosił siekierę by zmiażdżyć mu czaszkę, zesztywniał i wrzasnął. Burton poczuł się tak, jakby stanął tuż obok gwizdka lokomotywy. Uścisk potężnych palców rozluźnił się i Burton spadł na ziemię. Zemdlał od bólu zgruchotanej stopy.

Gdy odzyskał przytomność, musiał zacisnąć zęby, by nie krzyczeć. Jęknął i usiadł. Płomień bólu przebiegł mu po nodze sprawiając, że szare światło dnia zmieniło się w ciemność. Wokół nadal wrzała bitwa, lecz on sam znalazł się w niewielkiej enklawie spokoju. Obok leżało wielkie jak pień drzewa ciało olbrzyma. Tylko część czaszki, tak potężnej, że mogłaby chyba wytrzymać uderzenie tarana, była wgnieciona.

Obok ogromnego ciała pełzał na czworakach inny ranny. Na jego widok Burton na chwilę zapomniał o bólu. Tym straszliwie okaleczonym człowiekiem był Göring.

Obaj zostali wskrzeszeni w tym samym miejscu. Nie miał jednak czasu, by zastanowić się nad tym fenomenem. Znów poczuł ból. Co więcej, Göring zaczął mówić.

Nie wyglądał, jakby miał dużo do powiedzenia, ani też dość czasu na mówienie. Zalany był krwią. Brakowało mu prawego oka, a kącik ust miał rozerwany aż do ucha. Jedna dłoń była zupełnie zmiażdżona, a przez skórę na piersi przebiło się złamane żebro. Jak w tym stanie zdołał utrzymać się przy życiu, nie mówiąc już o poruszaniu, przekraczało zdolność rozumienia Burtona.

– Ty... ty! – wyharczał po niemiecku Göring i upadł. Z jego ust na nogę Burtona wytrysnęła fontanna krwi, oczy zaszły mgłą.

Burton zastanowił się, czy kiedykolwiek się dowie, co Göring chciał mu powiedzieć. Zresztą to było bez znaczenia. Miał ważniejsze sprawy.

W odległości jakichś dziesięciu jardów stało odwróconych do niego plecami dwóch olbrzymów. Obaj dyszeli ciężko, najwyraźniej odpoczywając przed ponownym rzuceniem się w wir walki. I wtedy jeden z nich powiedział coś do drugiego.

Nie mogło być wątpliwości. Olbrzym nie wydawał z siebie ryków. Używał języka.

Burton nie rozumiał, ale wiedział, że to artykułowana mowa. Nie potrzebował modulowanej, wyraźnie sylabicznej odpowiedzi drugiego, by potwierdzić swe odkrycie.

Zatem nie był to rodzaj prehistorycznej małpy, lecz jakiś gatunek praludzi. Z pewnością nieznany dwudziestowiecznej nauce Ziemi, gdyż jego przyjaciel Frigate opisał mu wszystkie skamieliny znalezione do roku 2008.

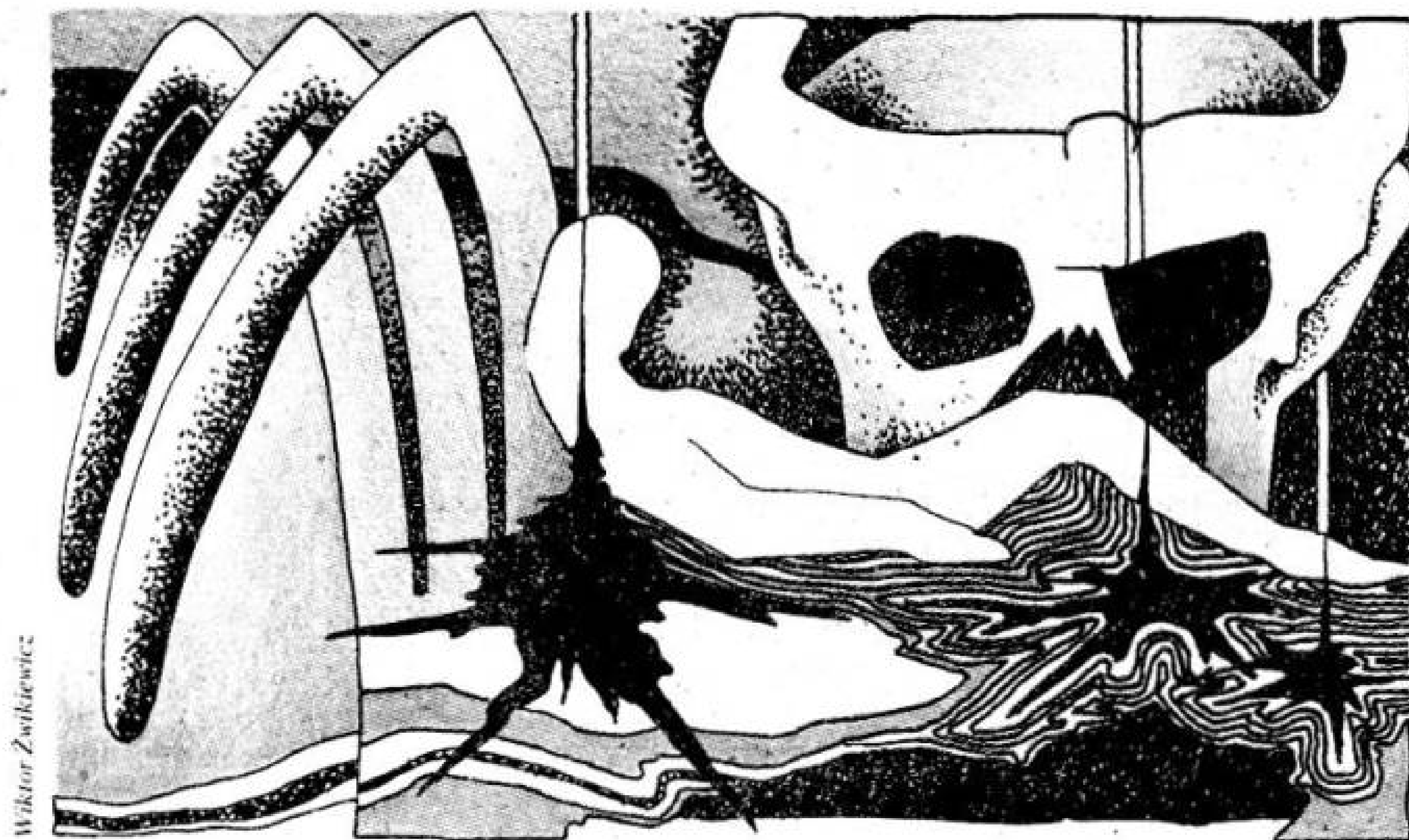
Leżał oparty o gotycko sklepione żebra powalonego giganta. Odgarnął z twarzy kosmyk przepoconych, rudawych włosów. Walczył z mdłościami, bólem stopy i pozrywanych mięśni nogi. Jeżeli narobi hałasu, zwróci uwagę tych dwóch, którzy dokończą dzieła. I co z tego? Z takimi ranami, jaką miałby szansę przeżycia w krainie potworów?

Gorsza niemal od tortury strzaskanej stopy była myśl, że już przy pierwszej podróży tym, co nazwał Samobójczym Ekspresem, dotarł do celu.

W przybliżeniu miał jedną szansę na dziesięć milionów, by tutaj trafić. Mogłoby mu się nie udać, choćby topił się i dziesięć tysięcy razy. Sprzyjało mu fantastyczne szczęście, które może już nigdy się nie powtórzyć. Teraz miał to wszystko utracić, i to już niedługo.

Słońce przesuwało się, skryte do połowy za szczytami gór. Znalazł się w miejscu, o którym przypuszczał, że istnieje; trafił tu przy pierwszej próbie. Wzrok go zawodził i przestawał odczuwać ból. Wiedział, że umiera. Mdłości były spowodowane nie tylko bólem strzaskanych kości stopy. Musiał mieć wewnętrzny krwotok.

Raz jeszcze spróbował się podnieść. Stanie, choćby na jednej nodze, pogrozi pięścią drwiącym z niego losom i przeklnie je. Umrze z przekleństwem na ustach.



Rozdział 23

Czerwone skrzydło brzasku musnęło jego oczy.

Wstał wiedząc, że jego rany będą wyleczone, a on sam znów cały; wiedząc, lecz nie do końca w to wierząc. Obok leżał jego róg obfitości i stosik poskładanych ręczników różnej grubości, wielkości i barwy.

Dwanaście stóp dalej inny człowiek, również nagi, podnosił się z krótkiej, jasnozielonej trawy. Burton poczuł chłód. Blond włosy, szeroka twarz i jasnoniebieskie oczy należały do Hermanna Göringa.

Niemiec był tak samo zdumiony.

– Coś tu się zupełnie nie zgadza – powiedział powoli, jakby budząc się z głębokiego snu.

– Rzeczywiście, dzieje się coś paskudnego – zgodził się Burton. O systemie wskrzeszania nad Rzeką wiedział tyle, co inni. Nigdy nie widział samego zmartwychwstania, ale opowiadali mu o nim ludzie, którzy widzieli. O świcie, w chwili gdy słońce wynurzało się zza niezdobytych gór, obok kamienia obfitości pojawiało się jakby migotanie powietrza. W mgnieniu oka tężało i nagi mężczyzna, kobieta lub dziecko zjawiali się znikąd na trawie przy brzegu. Przy „łazarzu" zawsze leżał nieodłączny róg obfitości i ręczniki.

Wzdłuż Doliny Rzeki, długiej może na dziesięć do dwudziestu milionów mil żyło pewnie trzydzieści pięć-sześć miliardów ludzi. Każdego dnia milion z nich mógł tracić życie. Co prawda, nie było tu chorób, poza psychicznymi, lecz – choć nikt nie prowadził statystyki – łączną ilość zabitych w tysiącach wojen prowadzonych przez masę państewek a także zamordowanych w afekcie, ginących w wypadkach, samobójców i likwidowanych przestępców można było oceniać na milion. Równo płynął liczny strumień ludzi przeżywających „Małe zmartwychwstanie", jak je powszechnie nazywano.

Burton nigdy jednak nie słyszał o dwóch osobach, które zginęły w tym samym miejscu i czasie, po czym razem zostały wskrzeszone. Proces wyboru miejsca nowego życia był losowy – tak przynajmniej zawsze uważał.

Jedno takie zdarzenie można było sobie wyobrazić, choć szansa jego zaistnienia była jak jeden do dwudziestu milionów. Ale dwa, jedno po drugim – to cud.

Burton, zaciekawiony, spróbował sekcji krzemiennymi nożami i obsydianowymi piłami, jakie mógł zdobyć. Napięty pęcherz Göringa pękł, zachlapując go uryną.

Burton przed pochowaniem Göringa wyrwał mu zęby. Był to artykuł handlu; można było nawlec je na rybie jelito lub ścięgno, by uzyskać bardzo poszukiwany naszyjnik. Zdjął także skalp. Sumerowie przejęli zwyczaj zdzierania skalpów od swoich wrogów, siedemnastowiecznych Indian Shawnee, żyjących na drugim brzegu. Zszywali je razem robiąc płaszcze, spódniczki a nawet zasłony. Skalp, choć mniej wart na rynku niż zęby, mógł się jednak przydać.

Wspomnienie olśniło Burtona, gdy kopał grób pod wielkim głazem u stóp gór. Przerwał na chwilę, by napić się wody i przypadkiem spojrzał na ciało. Naga głowa i spokojna, jakby śpiąca twarz, pokonały blokadę w jego mózgu.

Widział tę twarz, kiedy przebudził się w tamtej ogromnej komorze, w rzędzie unoszących się w powietrzu ciał. Należała do człowieka z sąsiedniego szeregu. Göring miał wtedy ogoloną głowę, jak wszyscy śpiący. Burton dostrzegł go tylko w przelocie, podczas tej krótkiej chwili zanim wykryli go Strażnicy. Później, po masowym Zmartwychwstaniu, gdy spotkał się z Göringiem, nie zauważył podobieństwa między śpiącym a człowiekiem z czaszką porośniętą gęsto jasnymi włosami.

Teraz jednak wiedział, że ów człowiek zajmował miejsce w pobliżu niego.

Czy to możliwe, by dwa układy wskrzeszające, umieszczone fizycznie blisko siebie, zestroiły się fazą? Jeżeli tak, to ilekroć on i Göring umierali mniej więcej w tym samym czasie, pojawiali się pod tym samym kamieniem obfitości. Żart Göringa, że są chyba pokrewnymi duszami, nie byłby wtedy daleki od prawdy.

Burton powrócił do kopania. Przeklinał, gdyż miał tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi. Jeżeli jakiś Etyk znów znalazłby się w jego mocy, wyciągnąłby z niego informacje nie dbając o metody.

Następne trzy miesiące Burton spędził przyzwyczajając się do niezwykłej społeczności tego regionu. Fascynował go jej język, uformowany przez połączenie sumeryjskiego i samoańskiego. Sumerów było więcej, więc ich mowa dominowała. Lecz, jak wszędzie, było to pyrrusowe zwycięstwo. W rezultacie połączenia powstał dialekt o drastycznie zredukowanej fleksji i uproszczonej składni. Gramatyka poszła w zapomnienie, słowa były elizowane, czasowniki występowały jedynie w formie czasu teraźniejszego, używanego także jako przyszły. Przeszły tworzono za pomocą przysłówków. Wszelkie subtelności zniknęły zastąpione wyrażeniami, zrozumiałymi zarówno dla Sumerów jak dla Samoańczyków, nawet jeśli zdawały się naiwne i prymitywne. Wiele słów samoańskiego, ze zmienioną nieco konstrukcją fonologiczną, wypierało słowa sumeryjskie.

Dialekty takie powstawały w każdym miejscu Doliny Rzeki. Burton uznał, że jeżeli Etycy zamierzają poznać wszystkie ludzkie języki, muszą się spieszyć. Dawna mowa umierała, a raczej zmieniała się. Zapis mógł jednak zostać już zakończony. Układy zapamiętujące, konieczne dla przeniesienia fizycznych ciał, mogły także notować mowę.

Wieczorami, kiedy mógł być sam, palił papierosy, których wystarczającą ilość znajdował w rogu obfitości i starał się przeanalizować sytuację. Komu miał wierzyć, Etykom czy Zdrajcy – Tajemniczemu Przybyszowi? A może wszystko było kłamstwem?

Dlaczego Tajemniczy Przybysz potrzebował właśnie jego, by wrzucić ziarnko piasku w tryby ich kosmicznej maszynerii? Jak mógł pomóc Judaszowi on, zwykła ludzka istota, uwięziona w tej dolinie, tak ograniczona własną niewiedzą?

Jedno było pewne. Gdyby Przybysz nie potrzebował Burtona, nie zdradziłby się przed nim. Chciał, by Burton dotarł do Wieży na biegunie północnym.

Dlaczego?

Znalezienie jedynego możliwego powodu zajęło Burtonowi dwa tygodnie.

Przybysz powiedział, że – jak wszyscy Etycy – nie może nikomu bezpośrednio odebrać życia. Nie miał jednak skrupułów przed dokonaniem tego okrężną drogą, o czym świadczyło wręczenie Burtonowi trucizny. Zatem, jeżeli chciał, by Burton znalazł się w wieży, to po to, aby dla niego zabijał. Chciał wypuścić tygrysa na swych rodaków, otworzyć okno przed wynajętym mordercą.

Morderca zechce zapłaty. A co zaproponował Przybysz?

Burton wciągnął do płuc dym z papierosa, wypuścił go i wypił kubek bourbona. Bardzo proszę. Tamten spróbuje go wykorzystać, ale niech się ma na baczności. On także wykorzysta Przybysza.

Wsunięto mu na głowę pusty, odwrócony do góry dnem cylinder, a ręce związano z tyłu skórzanym rzemieniem. Ślepego i bezradnego popędzono przez równinę, poganiając ukłuciami kamiennych grotów. Gdzieś w pobliżu biły bębny, a kobiece głosy zawodziły jakąś pieśń.

Po trzystu krokach zatrzymano go. Bębny umilkły, kobiety także. Słyszał tylko uderzenia własnego tętna. Co u diabła się tu dzieje? Czy brał udział w jakimś obrzędzie religijnym wymagającym, by ofiara niczego nie widziała? Dlaczego nie? Na Ziemi było wiele kultur, które nie dopuszczały, by rytualnie mordowani patrzyli na tych, którzy przelewają ich krew. Duch zabitego może próbować zemsty na zabójcach.

Lecz ci ludzie musieli już przecież wiedzieć, że nie istnieją żadne duchy. A może łazarzy uważali właśnie za upiory, które można przepędzić do krainy, z której przybyły zabijając je po prostu jeszcze raz?

Göring! On także został tu przeniesiony. Do tego samego kamienia. Pierwszy raz mógł być przypadkiem, choć szanse na to były minimalne. Ale trzy razy z rzędu? Nie, to było...

Pierwszy cios i uderzenie głową o ściankę cylindra oszołomiły go. Zadrżał, przed oczyma rozbłysły iskry świateł. Opadł na kolana. Nie poczuł drugiego ciosu. Obudził się znowu w innym miejscu...

Rozdział 27

... a obok niego był Hermann Göring.

– Ty i ja jesteśmy chyba pokrewnymi duszami – powiedział. – Wydaje się, że Ktokolwiek odpowiedzialny jest za to wszystko, postanowił związać nas razem.

– Wół i osioł orzą razem – odparł Burton, pozostawiając Niemcowi do odgadnięcia, który z nich jest którym. Potem obaj zajęli się przedstawianiem, a raczej próbą przedstawienia, ludziom, wśród których się znaleźli. Jak się później okazało byli to Sumerowie Starego czy też Klasycznego okresu; oznacza to, że zamieszkiwali Mezopotamię od 2500 do 2300 r.pne. Mężczyźni golili głowy (nie był to przyjemny obyczaj, gdyż mieli do dyspozycji jedynie krzemienne brzytwy), a kobiety chodziły obnażone do pasa. Miały na ogół krótkie, krępe ciała, wyłupiaste oczy i brzydkie (zdaniem Burtona) twarze.

Choć wskaźnik urody nie był wśród nich wysoki, to prekolumbijscy Samoańczycy, stanowiący 30 proc. ludności podnosili go znacznie. Naturalnie, było też wszechobecne 10 proc. ludzi znikąd i zewsząd, w większej części pochodzących z dwudziestego wieku. Było to zrozumiałe, gdyż stanowili czwartą część całej ludzkości. Burton oczywiście nie dysponował żadnymi danymi statystycznymi, lecz podróże przekonały go, że ludzie z dwudziestego wieku zostali świadomie rozrzuceni wzdłuż Rzeki w proporcji większej nawet, niż można było oczekiwać. Był to kolejny fragment struktury Świata Rzeki, którego nie pojmował. Co Etycy chcieli zyskać poprzez to rozproszenie?

Miał zbyt wiele pytań. Potrzebował czasu na zastanowienie, a nie mógł go znaleźć przesiadając się z jednej podróży Samobójczym Ekspresem w drugą. Ten region, w przeciwieństwie do większości poznanych, oferował nieco ciszy i spokoju, niezbędnych do przeanalizowania faktów. Postanowił zostać tu na pewien czas.

Był jeszcze Hermann Göring. Burton chciał obserwować niezwykły rozwój pielgrzyma. Jedną z wielu spraw, o które nie zdążył zapytać Tajemniczego Przybysza (tak o nim myślał, dużą literą) była kwestia gumy snów. W którym miejscu pasowała do ogólnego obrazu? Jako kolejna część Wielkiego Eksperymentu?

Niestety, Göring nie wytrzymał długo.

Pierwszej nocy zaczął krzyczeć. Wyskoczył ze swej chaty i pognał ku Rzece, zatrzymując się co chwilę, by wymierzyć cios w powietrze, odepchnąć od siebie niewidzialne istoty lub tarzać się po trawie. Burton szedł za nim aż na brzeg. Tu Göring ustawił się do skoku; zapewne chciał się utopić. Nagle zamarł na chwilę, zadygotał i runął, sztywny jak posąg. Jego otwarte oczy nie widziały niczego; wzrok skierowany był do wewnątrz. Jakie potwory widział nie dało się określić, gdyż nie był w stanie mówić. Poruszał tylko bezgłośnie wargami.

Pozostał w tym stanie przez dziesięć ostatnich dni swego życia. Burton próbował go karmić, lecz bez skutku – nie mógł rozewrzeć zaciśniętych szczęk. Ginął w oczach, ciało nikło, skóra zapadała się, a sterczące kości nadawały mu wygląd szkieletu. Pewnego ranka dostał konwulsji, potem usiadł i krzyknął. W chwilę później już nie żył.

Burton nie wierzył w cuda. Wszystko dawało się wytłumaczyć – o ile znało się wszystkie fakty. Nie znał ich, więc na razie nie miał zamiaru przejmować się tym „przypadkiem". Musiał znaleźć rozwiązanie innego, pilniejszego problemu. Mianowicie: co ma zrobić z Göringiem?

Ten człowiek go znał i mógł wskazać każdemu szukającemu go Etykowi.

Burton rozejrzał się szybko. Zbliżała się do nich grupka ludzi, chyba przyjaźnie nastawionych. Miał dość czasu, by rzucić Niemcowi kilka słów.

– Göring, mogę zabić ciebie lub siebie. Ale nie chcę tego robić, przynajmniej na razie. Sam wiesz, czemu jesteś dla mnie niebezpieczny. Nie powinienem się zastanawiać, ty zdradziecka hieno. Jednak coś się w tobie zmieniło, coś nieokreślonego... Ale pamiętaj...

Göring, kiedyś znany ze swej odporności, pomału dochodził do siebie.

– Wygląda na to – powiedział z chytrym uśmiechem – że trzymam cię na muszce.

Widząc jednak wyraz twarzy Burtona podniósł rękę.

– Przysięgam, że nikomu nie zdradzę, kim jesteś! I nie zrobię niczego, co mogłoby ci zaszkodzić. Nie jesteśmy może przyjaciółmi, ale przynajmniej się znamy, a jesteśmy w kraju obcych. Dobrze jest mieć przy sobie znajomą twarz. Wiesz, zbyt długo już cierpię z powodu samotności. Myślałem, że zwariuję. Między innymi dlatego zacząłem żuć gumę snów. Uwierz mi, nie zdradzę cię.

Burton nie uwierzył. Uznał jednak, że na pewien czas może mu zaufać. Göring będzie potrzebował silnego sprzymierzeńca, przynajmniej dopóki nie pozna miejscowych ludzi i nie zorientuje się, co może, a czego nie może zrobić. Zresztą, mógł się w końcu zmienić na lepsze.

Nie, powiedział sam do siebie. Nie. Znów to samo. Na pozór jesteś cynikiem, lecz zawsze zbyt łatwo wybaczasz, zbyt łatwo zapominasz o doznanych krzywdach i próbujesz dać krzywdzicielowi szansę poprawy. Nie bądź głupi, Burton.

Trzy dni później wciąż nie miał pewności co do Göringa.

Przyjął nazwisko Abdula ibn Haruna, mieszkańca dziewiętnastowiecznego Kairu. Miał ku temu kilka powodów. Przede wszystkim świetnie mówił po arabsku i znał dialekt, jakiego używano w tym okresie w Kairze. Poza tym dawało to pretekst do noszenia na głowie ręcznika zwiniętego jak turban. Miał nadzieję, że pomoże mu to zamaskować swój wygląd. Göring nie powiedział nikomu ani słowa, które przeczyłoby tej historii. Był tego prawie pewien, gdyż większość czasu spędzali razem. Zakwaterowano ich w jednej chacie, dopóki nie poznają miejscowych zwyczajów i nie przejdą okresu próbnego. Częścią tych prób było intensywne szkolenie wojskowe. Burton był jednym z najlepszych szermierzy dziewiętnastego wieku, znał też wszelkie odmiany walki bronią lub wręcz. Kiedy w serii prób zademonstrował swe umiejętności, radośnie powitano go jako rekruta. Więcej nawet, obiecano mu stanowisko instruktora, gdy tylko w dostatecznym stopniu opanuje język.

Göring niemal równie szybko pozyskał szacunek miejscowych. Miał wiele wad, lecz był odważny. Był też silny, sprawny w walce, jowialny i sympatyczny, o ile służyło to jego celom. W nauce języka nie pozostawał w tyle za Burtonem. Szybko też zdobywał i wykorzystywał autorytet, jak przystało na byłego marszałka Trzeciej Rzeszy.

Odcinek zachodniego brzegu, na którym się znaleźli, zamieszkiwali ludzie mówiący językiem nieznanym nawet Burtonowi, znakomitemu lingwiście tak na Ziemi, jak w świecie Rzeki. Gdy poznał go już na tyle, by zadawać pytania wywnioskował, że ludzie ci żyli gdzieś w Europie Środkowej we wczesnej Epoce Brązu. Mieli kilka niezwykłych obyczajów, między innymi publiczną kopulację. Burton, współzałożyciel Królewskiego Towarzystwa Antropologicznego w Londynie w 1863 roku, bardzo się tym zainteresował. Nie uczestniczył w ceremoniach, lecz nie był też nimi zgorszony.

Zwyczajem, który przyjął z radością, był malowany zarost. Tutejszych mężczyzn bardzo oburzał fakt, że Sprawcy Zmartwychwstania pozbawili ich twarze włosów i obcięli napletki. Na tę drugą zniewagę nic nie mogli poradzić, lecz pierwszą zdołali naprawić, przynajmniej do pewnego stopnia. Smarowali górne wargi i brody ciemnym płynem, robionym z drobno startego węgla drzewnego, rybiego kleju, barwnika dębowego i paru innych składników. Bardziej ofiarni używali tej farby do tatuażu, poddając się długotrwałej i bolesnej operacji nakłuwania ostrą bambusową igłą.

Zamaskowany podwójnie Burton pozostał jednak na łasce człowieka, który przy pierwszej sposobności mógł go zdradzić. Chciał przywabić do siebie Etyków, lecz nie chciał, by odkryli jego tożsamość. Dzięki

temu miałby szansę ucieczki, zanim tamci pochwycą go w sieć. Nie miał jednak zamiaru uciekać, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Gdy wszystko pójdzie zgodnie z planem, stanie się zwierzyną tropiącą myśliwych.

Wizja Mrocznej Wieży, Wielkiego Graala, zawsze tkwiła gdzieś w jego myślach. Po co bawić się w kotka i myszkę, skoro mógłby szturmować wały tego zamku, gdzie zapewne mieściła się główna kwatera Etyków. Lub, jeżeli szturmować nie było najlepszym określeniem, wkraść się do Wieży, wejść tak, jak mysz wchodzi do domu – czy zamku. Kiedy koty szukają gdzie indziej, mysz wślizguje się do Wieży i tam zmienia w tygrysa.

Roześmiał się, budząc zdziwione spojrzenia swoich dwóch współmieszkańców, Göringa i Johna Collopa, Anglika z siedemnastego wieku. Śmiał się trochę z samego siebie, ze swego obrazu jako tygrysa. Jak mógł pomyśleć, że on, samotny, może zrobić cokolwiek Kształtującym Planety, Wskrzeszającym miliardy martwych, Karmicielom i Opiekunom wszystkich powołanych na nowo do życia? Splótł ręce. W tych rękach i w mózgu, który nimi sterował, krył się może upadek Etyków. Czym była ta straszna rzecz, którą chował w sobie – nie wiedział. Lecz Oni bali się go. Gdyby tylko wiedział dlaczego...

Jednak śmiech z siebie nie był całkiem szczery. Częścią umysłu wierzył, że naprawdę jest tygrysem wśród ludzi.

– Człowiek jest tym, za kogo się uważa – mruknął.

– Masz niezwykły śmiech, przyjacielu – odezwał się Göring. – Kobiecy, u kogoś tak pełnego męskości. Przypomina... bo ja wiem... kamień ślizgający się po lodowym jeziorze. Albo śmiech szakala.

– Mam w sobie coś z szakala i hieny – odparł Burton. – Tak utrzymywali moi wrogowie. I mieli rację. Jestem jednak czymś więcej.

Wstał z łóżka i zrobił krótką gimnastykę, by rozruszać zastałe mięśnie. Za kilka minut pójdzie z innymi do kamienia na brzegu, by napełnić swój róg obfitości. Później godzina patrolowania terenu i musztra, po niej zaś ćwiczenia z włócznią, maczugą, procą, obsydianowym mieczem, łukiem i strzałami, w końcu walka wręcz. Godzina na odpoczynek, rozmowy i obiad. Potem godzina nauki języka i dwie pracy przy budowie wałów, znaczących granice małego państewka. Pół godziny odpoczynku i obowiązkowy bieg na milę, dla zwiększenia wytrzymałości. Kolacja z rogów obfitości i wolny wieczór dla wszystkich prócz pełniących wartę lub mających inne obowiązki.

Taki program dnia był typowy dla wszystkich kraików w górę i w dół biegu Rzeki. Niemal wszędzie ludzkość była w stanie wojny lub szykowała się do niej. Obywatele musieli zachowywać dobrą formę i potrafić walczyć jak najlepiej. Ćwiczenia dawały im też jakieś zajęcia. Nieważne, jak monotonne było wojskowe życie, zawsze było czymś lepszym niż siedzenie i myślenie nad sposobami zabicia nudy. Uwolnienie od zdobywania żywności, od opłat, rachunków i wszystkich przykrych zajęć i obowiązków, nękających Ziemian, nie do końca okazało się błogosławieństwem. Trwała wielka bitwa z nudą, a przywódcy wszystkich państw próbowali znaleźć ludziom coś do roboty.

Życie w dolinie Rzeki powinno być rajem, a było wojną, wojną, wojną. Pomijając wszystko inne wojna była tu (zdaniem niektórych) czymś pożądanym. Eliminowała stagnację i przydawała życiu smaku. Ludzka zachłanność i agresywność miały swoje dobre strony.

Po kolacji wszyscy mężczyźni i kobiety mogli robić co chcieli pod warunkiem, że nie łamali miejscowych praw. Można było wymienić papierosy i alkohol znalezione w rogu obfitości lub złapaną w Rzece rybę na lepszy łuk i strzały, tarcze, misy i kubki, stoły i krzesła, bambusowe flety, gliniane trąbki, bębny z ludzkiej lub rybiej skóry, rzadkie kamienie (naprawdę bardzo rzadkie), naszyjniki z pięknie ukształtowanych i zabarwionych kości ryb, żyjących głęboko w Rzece, nefrytu albo rzeźbionego drewna, obsydianowe zwierciadła, sandały i buty, rysunki węglem drzewnym, rzadki i cenny papier z bambusowych włókien, atrament i pióra z rybich ości, kapelusze z długiej i twardej trawy ze wzgórz, tuby, małe wózki do zjeżdżania z górki, drewniane harfy o strunach z jelit ryby-smoka, dębowe pierścienie na palce u rąk i nóg, gliniane figurki i inne przedmioty, użyteczne lub ozdobne.

Później, naturalnie, przychodził czas na miłość, której Burton i mieszkający wraz z nim zostali na razie pozbawieni. Dopiero kiedy zostaną uznani za pełnoprawnych obywateli, będą mogli przeprowadzić się do oddzielnych chat i poszukać sobie kobiet.

John Collop był niewysokim, drobnym, młodym człowiekiem. Miał długie, jasne włosy, wąską lecz miłą

– Donikąd. Musisz umrzeć. Znajdą tylko twoje zwłoki. Nie mogę cię zabrać ze sobą; to niemożliwe. Lecz jeżeli umrzesz, Oni stracą twój ślad. Kiedyś spotkamy się znowu. A wtedy...!

– Zaczekaj! – przerwał Burton. – Nie rozumiem. Dlaczego nie potrafią mnie znaleźć? To Oni zbudowali maszynerię Zmartwychwstania. Czy nie wiedzą, gdzie jest urządzenie wskrzeszające właśnie mnie?

Mężczyzna zaśmiał się znowu.

– Nie. Ich jedyne zapisy ludzi na Ziemi były czysto wizualne, nie dźwiękowe. A lokalizacja wskrzeszonych w bąblu przedwskrzeszeniowym była losowa, ponieważ planowali rozrzucić was, ludzi, wzdłuż Rzeki w porządku z grubsza chronologicznym, lecz z pewnymi domieszkami. Dopiero potem chcieli zejść na indywidualny poziom. Naturalnie nie mieli pojęcia, że się Im przeciwstawię, ani że wyselekcjonuję niektórych Ich poddanych, by pomogli mi w zniweczeniu Planu. Nie wiedzą więc, gdzie ty albo inni wyskoczycie następnym razem. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie mogę nastawić twojego układu wskrzeszeniowego, tak, by przeniósł cię w pobliże celu, do źródeł. Uczyniłem to. Kiedy zginąłeś po raz pierwszy, znalazłeś się przy pierwszym kamieniu obfitości. Lecz nie udało ci się; domyślam się, że zabili cię Titanthropi. To niedobrze, gdyż nie śmiem więcej bez ważnego powodu zbliżać się do bąbla. Nikomu nie wolno tam wchodzić, z wyjątkiem obsługi. Oni są podejrzliwi, boją się manipulacji. Od ciebie więc i od przypadku zależy, czy trafisz znowu w północny region polarny. Co do innych, to nie miałem okazji nastawienia ich układów wskrzeszających. Muszą radzić sobie z pomocą praw prawdopodobieństwa. Mają jedną szansę na dwadzieścia milionów.

– Inni? – zdziwił się Burton. – Jacy inni? I dlaczego akurat nas wybrałeś?

– Miałeś odpowiednią aurę. Oni także. Uwierz mi, wiem co robię. Wybrałem dobrze.

– Powiedziałeś, że zbudziłeś mnie przed czasem w... bąblu przedwskrzeszeniowym dla jakiegoś celu. Co chciałeś tym osiągnąć?

– Tylko to mogło cię przekonać, że Zmartwychwstanie nie jest czymś nadnaturalnym. Zacząłeś też szukać śladów Etyków. Mam rację? Oczywiście, że mam. Trzymaj!

Podał Burtonowi maleńką kapsułkę.

– Połknij to. Umrzesz natychmiast i znajdziesz się poza ich zasięgiem – na pewien czas. Komórki twojego mózgu będą tak poniszczone, że Oni nie będą w stanie nic odczytać. Spiesz się. Muszę już iść!

– A jeśli nie połknę? Jeżeli pozwolę Im teraz się schwytać?

– Nie masz na to właściwej aury.

Burton już niemal postanowił, że nie zażyje tabletki. Dlaczego ma temu arogantowi pozwolić rządzić sobą? Pomyślał jednak, że nie powinien odmrażać sobie uszu tylko po to, by zrobić na złość babci. W danej sytuacji mógł wybierać jedynie pomiędzy przymierzem z nieznanym człowiekiem a wpadnięciem w ręce Tamtych.

– Dobrze – powiedział. – A dlaczego t y mnie nie zabijesz? Czemu sam muszę to zrobić?

– W tej grze są pewne reguły – zaśmiał się obcy. – Nie mam czasu, by ci je tłumaczyć. Jesteś inteligentny, większość sam odkryjesz. Jedna z nich mówi, że j e s t e ś m y Etykami. Możemy dawać życie, lecz nie możemy go bezpośrednio odbierać. Nie jest to rzecz dla nas niewyobrażalna czy niewykonalna. Po prostu bardzo trudna.

Zniknął nagle. Burton nie wahał się. Przełknął kapsułkę. Zobaczył oślepiający błysk...

Rozdział 26

... i wschodzące właśnie słońce, świecące mu prosto w oczy. Zdążył rozejrzeć się pospiesznie, dostrzec swój róg obfitości, stosik złożonych równo ręczników... i Hermanna Göringa.

Zatem potem obu ich pochwycili niewysocy, ciemnoskórzy ludzie o dużych głowach i krzywych nogach. Mieli włócznie i kamienne siekiery, a ręcznik nosili tylko jako chusty zawiązane wokół swych grubych, krótkich karków. Rzemienie, niewątpliwie z ludzkiej skóry, biegły przez nieproporcjonalnie wysokie czoła wokół głów, przytrzymując długie, grube czarne włosy. Wyglądali na rasę zbliżoną do Mongołów i mówili nieznanym Burtonowi językiem.

nie Burtona. – To niezupełnie prawda. Jestem jednym z *Nich*, ale nie jestem z *Nimi*.

Podniósł przedmiot, którym celował w Burtona.

– To urządzenie mówi, że masz pękniętą czaszkę i wstrząs mózgu. Musisz być bardzo wytrzymały, gdyż sądząc po obrażeniach, powinieneś już nie żyć. Możesz z tego wyjść, jeżeli poleżysz spokojnie. Niestety, nie masz czasu na rekonwalescencję. Tamci wiedzą, że jesteś w tym rejonie, z dokładnością do trzydziestu mil. Za dzień, dwa zlokalizują cię dokładnie.

Burton spróbował usiąść, lecz jego kości były miękkie jak rozgrzany słońcem toffi, a w tyle czaszki czuł wbijający się do mózgu bagnet. Z jękiem opadł z powrotem na plecy.

– Kim jesteś i o co ci chodzi?

– Nie mogę ci zdradzić swego imienia. Jeżeli, a raczej – co bardziej prawdopodobne – *kiedy* cię złapią, wyizolują twoją pamięć i przewiną ją do tyłu, aż do chwili, kiedy zbudziłeś się w przedwskrzeszeniowym bąblu. Nie dowiedzą się, dlaczego odzyskałeś przytomność przed czasem. Odkryją jednak naszą rozmowę. Będą nawet mogli mnie zobaczyć, lecz tak, jak ty mnie teraz widzisz – jako niewyraźny, jasny cień. Usłyszą też mój głos, lecz nie rozpoznają go. Używam transmutera. Będą jednak przerażeni. To, co powoli i opornie zaczynali podejrzewać, okaże się nagle prawdą. W Ich szeregach znalazł się zdrajca.

– Chciałbym wiedzieć, o co ci właściwie chodzi – odezwał się Burton.

– Powiem ci tylko tyle – odparł tamten. – To, czego się dowiedziałeś o przyczynach Zmartwychwstania jest potwornym kłamstwem. To, co ci mówił Spruce i czego naucza ten twór Etyków, Kościół Jeszcze Jednej Szansy – to kłamstwa! Same kłamstwa! Prawda jest taka, że wy, istoty ludzkie, otrzymaliście życie po to, by wziąć udział w eksperymencie naukowym. Etycy – ta nazwa zupełnie do nich nie pasuje – przebudowali tę planetę w jedną dolinę Rzeki, zbudowali kamienie obfitości i przywrócili wam życie w jednym tylko celu – by zbadać waszą historię i obyczaje. Jako kwestię drugorzędną potraktowali obserwację waszych reakcji na Zmartwychwstanie i na wymieszanie różnych ludów pochodzących z różnych epok. To wszystko – naukowy projekt badawczy. A kiedy spełnicie wasze zadanie, z powrotem do piachu! Ta bajeczka, że otrzymaliście jeszcze jedną szansę zbawienia i wiecznego życia, to bzdura. Moi ziomkowie nie wierzą, że warto was zbawiać. Nie sądzą, żebyście mieli „dusze"!

Burton milczał przez chwilę. Ten człowiek z pewnością był szczery. A jeśli nawet nie, to jego ciężki oddech zdradzał silne zaangażowanie emocjonalne.

– Nie rozumiem – odezwał się w końcu – jak ktoś mógł ponieść takie koszta i włożyć tyle pracy tylko po to, by przeprowadzić eksperyment albo dokonać badań historycznych.

– Nieśmiertelnym trudno zabić czas. Byłbyś zaskoczony wiedząc, co robimy, by wieczność stała się interesująca. Co więcej, mając ją do dyspozycji nie odrzucamy nawet najbardziej oszałamiających projektów. Po śmierci ostatniego Ziemianina przygotowanie Zmartwychwstania zajęło nam kilka tysięcy lat, choć ostatni etap trwał ledwie dzień.

– A ty? – spytał Burton. – Co *ty* chcesz osiągnąć? I *dlaczego* robisz to, co robisz?

– Jestem jedynym prawdziwym Etykiem z całej tej monstrualnej rasy! Nie podoba mi się przestawianie was, jakbyście byli kukiełkami, przedmiotami do obserwacji jak zwierzęta w laboratorium! Choć prymitywni i gwałtowni, jesteście przecież istotami świadomymi! W pewnym sensie jesteście tak… tak…

Widmowy rozmówca machnął widmową ręką, jakby chciał chwycić w powietrzu brakujące słowo.

– Muszę użyć waszego terminu – mówił dalej. – Jesteście równie *ludzcy* jak my. Podobnie owe prehistoryczne istoty, które pierwszy raz użyły mowy, były równie ludzkie jak wy. I jesteście naszymi przodkami. Z tego co wiem, mogę być twoim potomkiem w linii prostej. Cała moja rasa może pochodzić od ciebie.

– Wątpię – stwierdził Burton. – Nie miałem dzieci… w każdym razie nic o tym nie wiem.

Chciał zadać wiele pytań, lecz tamten nie zwracał na niego uwagi. Przyciskał przyrząd do własnego czoła. Nagle odsunął go.

– Przed chwilą… – przerwał Burtonowi w połowie zdania. – …nie macie na to określenia… Powiedzmy… słuchałem. Wykryli mój… *wathan*… Ty chyba nazwałbyś go aurą. Nie wiedzą, czyj to *wathan*, tyle tylko, że należy do Etyka. Ale wyzerują tutaj w ciągu najbliższych pięciu minut. Muszę odejść.

Blada sylwetka wyprostowała się.

– Ty też musisz odejść.

– Dokąd mnie zabierasz? – spytał Burton.

twarz, duże, niebieskie oczy i bardzo długie, podwinięte w górę rzęsy. W swej pierwszej rozmowie z Burtonem powiedział, że się już przedstawił:

– Zostałem wydany z ciemności łona mej matki – kogóż innego? – na światło boże na Ziemi w roku 1625. Zbyt wcześnie powróciłem na łono Matki Natury, z nadzieją oczekując zmartwychwstania. Nie zawiodłem się, jak widzisz. Choć muszę przyznać, że to życie pozagrobowe różni się od tego, którego oczekiwałem zgodnie z naukami kapłanów. Skąd jednak mieli znać prawdę, nieszczęśni ślepcy wiodący ślepców!

Wkrótce potem Collop wyznał, że jest członkiem Kościoła Jeszcze Jednej Szansy.

Burton uniósł brwi. Spotkał już tę nową religię w wielu miejscach nad Rzeką. Choć niewierzący, miał ambicję dokładnie zbadać każdą wiarę. Poznaj, w co wierzy człowiek, a poznasz połowę jego istoty. Poznaj jeszcze jego żonę, a znasz go całego.

Kościół wyznawał kilka prostych dogmatów, kilka z nich opartych na faktach, większość jednak na domysłach, nadziejach i pragnieniach. Nie różnił się w tym od żadnej religii znanej na Ziemi. Wyznawcy wiary w Jeszcze Jedną Szansę mieli jednak przewagę nad ziemskimi kościołami: nie musieli się trudzić, by udowodnić, że martwi mogą zmartwychwstać. I to nie raz, a często.

– A dlaczego dano ludzkości Jeszcze Jedną Szansę? – mówił Collop cichym, pełnym przejęcia głosem. – Czy na to zasłużyła? Nie. Prócz kilku wyjątków ludzie są nędzni, żałośni, małostkowi, zepsuci, ograniczeni, niezwykle egoistyczni, kłótliwi, ogólnie budzący niesmak. Patrząc na nich bogowie – lub Bóg – powinni dostawać mdłości. Lecz w tych boskich rzygowinach kryje się grudka współczucia, jeżeli wybaczysz mi takie porównanie. Każdy człowiek, jakkolwiek by był prymitywny, nosi w sobie srebrzyste włókno świętości. To nie puste słowa, że został stworzony na obraz i podobieństwo Boga. W najgorszym z nas jest coś godnego ocalenia i z tego czegoś może powstać nowa istota. Ktokolwiek dał nam tę nową okazję do zbawienia naszych dusz, musiał znać prawdę. Umieszczono nas tutaj, w dolinie Rzeki, na obcej planecie pod obcym niebem, abyśmy zapracowali na własne zbawienie. Ile mamy czasu, nie wiem, a przywódcy Kościoła nawet nie próbują zgadywać. Może wieczność, może tylko sto lat. Może tysiąc. Lecz, przyjacielu, musimy wykorzystać czas, jaki nam dano.

– Czyż nie byłeś złożony w ofierze na ołtarzu Odyna? – spytał Burton. – Przez Wikingów, kórzy trzymali się dawnej religii, mimo że ten świat nie jest Walhallą, jaką obiecywali im kapłani? Czy nie uważasz, że marnowałeś czas i siły wygłaszając im kazania? Oni nadal wierzą w swych starych bogów. Jedyna różnica w teologii to drobne przeróbki, dopasowujące ją do tutejszych warunków. Ty też trzymałeś się swojej wiary.

– Wikingowie nie potrafią wyjaśnić przyczyny powstania tych warunków – odparł Collop. – Ja potrafię. Mam rozsądne wytłumaczenie, które i oni w końcu przyjmą. Uwierzą wtedy równie gorąco jak ja. Mnie zabili, lecz przyjdzie do nich inny członek Kościoła, obdarzony większą mocą przekonywania, i nawróci ich, zanim rozciągną go na drewnianym łonie swego drewnianego bożka i przebiją serce. A jeśli nie jemu, uda się to następnemu. Na Ziemi prawdziwe było twierdzenie, że krew męczenników jest nasieniem Kościoła. Tu jest prawdziwe tym bardziej. Jeżeli zabijesz człowieka, by zamknąć mu usta, pojawi się w innym miejscu. A inny, zabity tysiące mil stąd, przybędzie, by zająć miejsce tamtego męczennika. W końcu zwycięży Kościół. Ludzie zaprzestaną bezsensownych, rodzących nienawiść wojen i zajmą się prawdziwą, jedyną wartą zachodu pracą – pracą dla zbawienia.

– To, co powiedziałeś o męczennikach pozostaje prawdą dla każdego, głoszącego jakąś ideę – zauważył Burton. – Zabity zły człowiek także znowu pojawi się, by popełniać zło w innym miejscu.

– Dobro przeważy – oświadczył Collop. – Prawda zawsze zwycięża.

– Nie wiem, jak wiele podróżowałeś na Ziemi, ani jak długo żyłeś. Lecz zarówno czas twego życia jak zasięg twych podróży musiały być mocno ograniczone, skoro pozostałeś taki zaślepiony. Ja wiem swoje.

– Kościół nie opiera się wyłącznie na wierze – stwierdził Collop. – Dysponuje realnymi, materialnymi faktami, z których wywodzi swe nauki. Powiedz, przyjacielu Abdulu, słyszałeś kiedy o kimś, kto został wskrzeszony martwym?

– To paradoks! – zawołał Burton. – Co masz na myśli – wskrzeszony martwym?

– Znane są przynajmniej trzy potwierdzone przypadki i cztery inne, o których Kościół słyszał, lecz nie był w stanie sprawdzić. Mężczyźni i kobiety ginęli w jakimś miejscu nad Rzeką i zostawali przeniesieni do innego. Co dziwne, odtworzono ich ciała, lecz brakło im iskry życia. Dlaczego?

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić – powiedział Burton. – Powiedz. Posłucham cię, gdyż mówisz jak człowiek, który wie.

Potrafił sobie wyobrazić, gdyż słyszał już tę historię. Chciał jednak sprawdzić, czy wersja Collopa zgodna jest z innymi.

Zgadzała się łącznie z nazwiskami martwych łazarzy. Owi mężczyźni i kobiety zostali rozpoznani przez ludzi, którzy znali ich na Ziemi. Wszyscy byli świątobliwi, niemal święci; jeden z nich został w rzeczy samej kanonizowany. Według teorii Collopa, osiągnęli oni stan oczyszczenia, w którym nie musieli dłużej pozostawać w „czyśćcu" Świata Rzeki. Ich dusze odeszły do... jakiegoś innego miejsca... pozostawiając za sobą zbędny bagaż fizycznych ciał.

Wkrótce, jak głosił Kościół, więcej ludzi osiągnie ten stan i pozostawi za sobą swe ciała. W końcu, po dostatecznie długim czasie, dolina Rzeki wyludni się. Wszyscy wyrzekną się gwałtu i nienawiści, oświeceni miłością do Boga i ludzkości. Nawet najbardziej zepsuci, na pozór zgubieni bez nadziei, zdołają porzucić swe fizyczne istnienia. Wszystkim, co potrzebne do osiągnięcia tej łaski, była miłość.

Burton westchnął, zaśmiał się głośno i oświadczył:

– *Plus ça change, plus c'est la même chose*. Jeszcze jedna bajka, by dać ludziom nadzieję. Dawne religie zostały skompromitowane, choć niektóre nie chcą tego przyznać, więc trzeba stworzyć nowe.

– To rozsądne wyjaśnienie – upierał się Collop. – Czy znasz lepsze wytłumaczenie faktu, że tu jesteśmy?

– Być może. Ja też umiem wymyślać bajki.

W rzeczywistości Burton znał wyjaśnienie. Co więcej, nie mógł powiedzieć o tym Collopowi. Spruce powiedział sporo o tożsamości, historii i celach swej grupy, Etyków. I wiele z tego zgadzało się z teologią Collopa.

Spruce zdążył się zabić, zanim opowiedział o „duszy". Można było założyć, że owa „dusza" jest częścią ogólnego schematu zmartwychwstania. W przeciwnym wypadku, gdy ciało osiągało „zbawienie" i przestawało żyć, nie pozostałoby nic, co niosłoby istotę człowieka. Ponieważ postziemskie życie dawało się opisać w terminach fizycznych, „dusza" także musi być jakością fizyczną. Nie można zbyć jej określeniem „nadnaturalna", jak na Ziemi.

Wielu rzeczy Burton nie wiedział. Zdołał jednak wejrzeć przelotnie w mechanizm działania Świata Rzeki, co nie udało się żadnej innej ludzkiej istocie.

Z tymi skromnymi wiadomościami, jakie zdobył, planował przebić sobie drogę do wiedzy, podważyć wieko i wśliznąć się do sanktuarium. W tym celu musi dostać się do Mrocznej Wieży. A jedynym sposobem, by dotrzeć tam szybko, było skorzystanie z Samobójczego Ekspresu. Najpierw jednak musiał odkryć go któryś z Etyków. Burton musi go zwyciężyć, pozbawić możliwości śmierci i jakoś wyciągnąć z niego więcej informacji.

Na razie nadal grał rolę Abdula ibn Haruna, przeniesionego tutaj egipskiego lekarza z dziewiętnastego wieku, aktualnie obywatela Bargawhwdzs. Jako taki postanowił przyłączyć się do Kościoła Jeszcze Jednej Szansy. Wyznał Collopowi swe rozczarowanie Mahometem i jego naukami, i tak stał się pierwszym nawróconym na tym obszarze.

– Musisz przysiąc, drogi przyjacielu, że nie podniesiesz broni przeciwko żadnej ludzkiej istocie, ani że nie będziesz bronił się przed przemocą – uświadomił go Collop.

Burton oświadczył oburzony, że nikomu, kto spróbuje go uderzyć, nie pozwoli odejść bezkarnie.

– To nie jest wbrew naturze – rzekł łagodnie Collop. – Sprzeciwia się przyzwyczajeniom, to fakt. Człowiek może się jednak stać czymś innym, niż był kiedyś, czymś lepszym – jeżeli tylko ma silną wolę i pragnienie.

Burton wyrzucił z siebie gwałtowne „nie" i odszedł. Collop ze smutkiem pokiwał głową, lecz pozostał przyjazny jak dawniej. Nie bez poczucia humoru nazywał czasem Burtona „pięciominutowym nawróconym". Nie chodziło o ten czas, jaki poświęcił, by wprowadzić go do owczarni, lecz o ten, jaki Burton potrzebował by ją opuścić.

Znalazł zresztą innego chętnego, Göringa. Z początku miał on dla Collopa jedynie żarty i kpiny. Później jednak zaczął żuć gumę snów i jego koszmary powróciły.

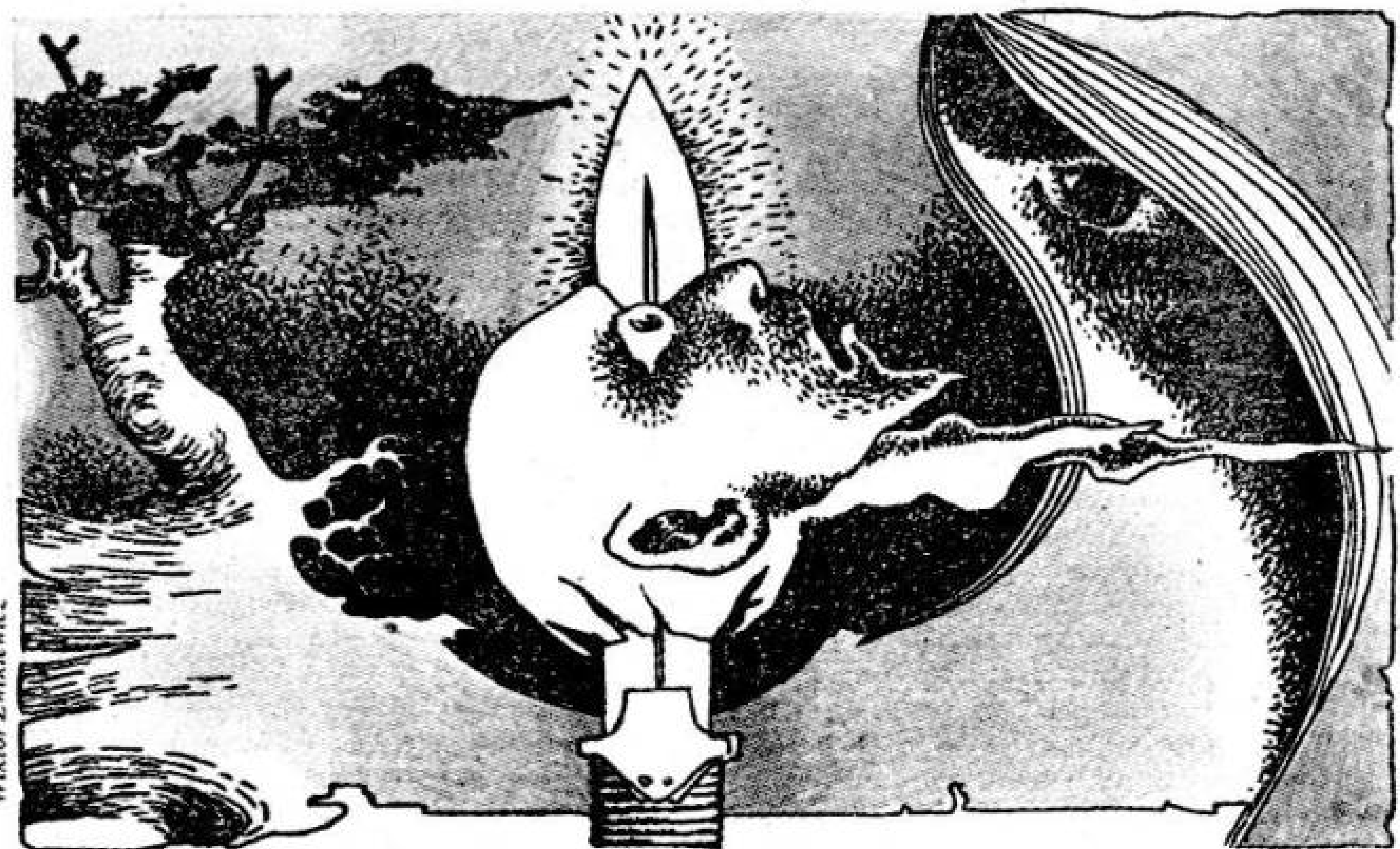
Przez dwie noce płakał, jęczał i krzyczał, nie pozwalając zasnąć swym współmieszkańcom. Wieczorem

Odszedł, lecz wciąż myślał o ostrzeżeniu. Używał gumy dwadzieścia dwa razy. I po każdej przysięgał sobie, że nie zrobi tego nigdy więcej.

W drodze ku wzgórzom obejrzał się. Niewyraźna, biała sylwetka Göringa zanurzała się wolno w czarno-srebrzyste wody Rzeki. Burton zasalutował, gdyż nie należał do ludzi, którzy potrafią oprzeć się pragnieniu widowiskowego gestu. Potem zapomniał o Göringu. Ból w potylicy, chwilowo przytłumiony, powrócił silniejszy niż przedtem. Kolana zmiękły mu, jakby były z waty i – kilka zaledwie jardów od swojej chaty – musiał usiąść.

Musiał stracić przytomność, przynajmniej częściowo, gdyż nie pamiętał, by wleczono go po trawie. Kiedy doszedł do siebie, leżał na bambusowym łóżku wewnątrz chaty.

Panującą ciemność rozjaśniało tylko światło gwiazd sączące się przez trzy konary za kwadratem okna. Odwróciwszy głowę dostrzegł niewyraźną, bladą postać mężczyzny, siedzącego obok niego. Trzymał przed sobą wąski, metalowy przedmiot, którego lśniący koniec skierowany był na Burtona.



Rozdział 25

Gdy tylko Burton odwrócił głowę, mężczyzna odłożył przedmiot na bok.

– Długo trwało, zanim cię znalazłem, Richardzie Burton – powiedział po angielsku.

Burton próbował lewą ręką trafić na broń, ukrytą przed wzrokiem intruza. Pod palcami czuł jednak tylko nagą ziemię.

– Znalazłeś mnie więc, cholerny Etyku – warknął. – I co masz zamiar ze mną zrobić?

Mężczyzna poruszył się w ciemności i zachichotał.

– Nic – odparł. – Nie jestem jednym z Nich – dodał po chwili. Zaśmiał się znowu, wyczuwając zdumie-

i drżące, zachodzące na siebie i na pół rozdzielone. Chata! Nie był pewien swych oczu. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma wstrząs mózgu, lecz zapomniał o tym, gdy dostrzegł Göringa słabo oświetlonego dalekim zygzakiem błyskawicy. A raczej dwóch Göringów. Jeden towarzyszył drugiemu; ten lewy stawiał stopy na ziemi, prawy unosił się w powietrzu.

Obaj wznosili w górę ręce, jakby chcieli umyć je w deszczu. A kiedy odwrócili się i ruszyli ku niemu zrozumiał, że to właśnie próbowali zrobić. Krzyczeli po niemiecku (jednym głosem):

– Usuń krew z mych rąk! Zmyj ją, Boże!

Wznosząc maczugę Burton ruszył niepewnie ku Göringowi. Chciał go uderzyć, lecz tamten odwrócił się nagle i odbiegł. Burton pobiegł za nim tak szybko, jak tylko pozwalały mu siły. Zbiegł ze wzgórza, wspiął się na następne i znalazł się na równinie. Deszcz ustał, gromy ucichły i w ciągu pięciu minut, jak zwykle, chmury rozwiały się. Blada skóra Göringa błyszczała w świetle gwiazd jak widmo pomykające przed Burtonem. Zdawało się, że chce dotrzeć do Rzeki. Burton biegł za nim, choć sam nie wiedział, dlaczego to robi. Odzyskał już władzę w nogach i przestał widzieć podwójnie. Wreszcie dopadł Göringa. Skulony na brzegu wpatrywał się w odbite w falach gwiazdy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Burton.

Göring zadrżał. Zaczął wstawać, lecz zrezygnował. Jęcząc oparł głowę na kolanach.

– Wiedziałem co robię, ale nie wiedziałem dlaczego – powiedział tępo. – Karla mówiła, że rano się wyprowadzi, że nie może spać przy tym hałasie, jaki robię, kiedy męczą mnie koszmary. Zachowywałem się dziwnie. Błagałem ją, żeby została. Mówiłem, że ją kocham, że umrę, jeżeli mnie porzuci. Powiedziała, że mnie lubi, lubiła raczej, ale nie kocha. Nagle wydało mi się, że jeśli chcę ją zatrzymać, muszę ją zabić. Z krzykiem wybiegła z chaty. Resztę znasz.

– Miałem zamiar cię zabić – oświadczył Burton. – Widzę jednak, że jesteś szalony i nie odpowiadasz za swoje czyny. Lecz ludzie tutaj nie uznają tego wyjaśnienia. Wiesz, co z tobą zrobią: powieszą cię do góry nogami za kostki i zostawią, żebyś tak wisiał aż umrzesz.

– Nie rozumiem, co się stało! – załkał Göring. – Co się ze mną dzieje? Te koszmary! Uwierz mi, Burton, jeżeli zgrzeszyłem, zapłaciłem za to. Ale nie mogę przestać płacić! Moje noce są piekłem i wkrótce dni też takie się staną... Zabiję się! Ale to nie pomoże! Zbudzę się znowu... i znowu piekło!

– Nie ruszaj gumy snów – poradził Burton. – Musisz ją z siebie wyrzucić. Potrafisz przecież! Mówiłeś, że na Ziemi zerwałeś z morfiną.

Göring wstał i spojrzał Burtonowi w oczy.

– Właśnie o to chodzi! Nie tknąłem gumy odkąd się tu znalazłem!

– Co? Przysiągłbym...

– Uznałeś, że jej używam, bo tak się zachowuję! Ale nie, nie wziąłem do ust nawet kawałka gumy! Ale to nie ma znaczenia!

Burton, mimo odrazy jaką żywił do Göringa, poczuł litość.

– Otworzyłeś puszkę Pandory – powiedział – wygląda na to, że nie będziesz w stanie zatrzasnąć wieka. Nie wiem, jak to wszystko się skończy, ale nie chciałbym teraz być tobą. Choć trudno powiedzieć, żebyś na to nie zasłużył.

– Pokonam ich – oświadczył Göring cichym, pełnym determinacji głosem.

– Chcesz powiedzieć, że zwyciężysz sam siebie – odparł Burton. Odwrócił się chcąc odejść, lecz zatrzymał się, by zadać ostatnie pytanie: – Co teraz zrobisz?

Göring skinął ręką w stronę Rzeki.

– Utopię się. Zacznę od początku. Może w nowym miejscu pójdzie mi lepiej. W każdym razie nie chcę, żeby mnie powiesili jak kurczaka na wystawie u rzeźnika.

– Zatem *au revoir*. I powodzenia.

– Dzięki. Wiesz, nie jesteś taki zły. Pozwól, że dam ci radę.

– Jaką?

– Trzymaj się z daleka od gumy snów. Jak dotąd miałeś szczęście. Kiedyś jednak opanuje cię, tak jak mnie. Twoje demony będą inne od moich, ale równie straszne.

– Bzdura! – roześmiał się głośno Burton. – Nie mam przed sobą nic do ukrycia. Żułem ją dość często, żeby się o tym przekonać.

trzeciego dnia zapytał, czy może wstąpić na łono Kościoła. Musi jednak się wyspowiadać, by Collop zrozumiał, jakim człowiekiem był na Ziemi i tutaj.

Collop wysłuchał mieszaniny samoponiżenia i samowyniesienia, po czym oświadczył:

– Przyjacielu, nieważne, kim byłeś. Jedynie kim jesteś i kim się staniesz. Słucham cię tylko dlatego, że spowiedź pomaga duszy. Widzę, że jesteś głęboko rozdarty, że cierpisz ból i zgryzotę z powodu tego, co uczyniłeś, a jednak czujesz dumę, że kiedyś byłeś potężny wśród ludzi. Wielu rzeczy nie zrozumiałem, gdyż zbyt mało wiem o twych czasach. To bez znaczenia. Tylko dzień dzisiejszy i przyszły powinny nas interesować; tylko one są ważne.

Burtonowi wydało się, że Collop nie tyle nie dbał o to, co wyznał mu Göring, lecz zwyczajnie nie uwierzył w jego historię o ziemskiej chwale i pohańbieniu. Trafiało się tak wielu oszustów, że prawdziwi bohaterowie i przestępcy stracili na znaczeniu. Burton spotkał już trzech Jezusów Chrystusów, dwóch Abrahamów, czterech Ryszardów Lwie Serce, sześciu Attylów, z tuzin Judaszy (z których tylko jeden znał aramejski), George'a Washingtona, dwóch lordów Byronów, trzech Jesse Jamesów, ogromną liczbę Napoleonów, generała Custera (mówiącego z ciężkim akcentem Yorkshire), Finna McCoola (który nie znał staroirlandzkiego), Czakę (używającego nieprawidłowego dialektu Zulu) i masę innych, którzy mogli lecz nie musieli być tymi, za których się podawali.

Kimkolwiek człowiek był na Ziemi, tutaj musiał od nowa zdobywać pozycję. To nie było łatwe, gdyż warunki zmieniły się drastycznie. Wielkich i sławnych mieszkańców Ziemi nieustannie tu poniżano odmawiając im wiary i szansy wykazania swej tożsamości.

Dla Collopa poniżenie było błogosławieństwem. Powiedziałby pewnie, że najpierw poniżenie, później pokora. A potem, oczywiście, naturalną koleją rzeczy, człowieczeństwo.

Göringa zachwycił Wielki Plan – jak nazwał to Burton – ponieważ w jego naturze leżała przesada, zwłaszcza w użyciu narkotyków. Wiedział, że guma snów wyrywa ponure sprawy z otchłani jego podświadomości, wywleka je na światło dnia, że rozrywa go na części – a jednak nadal żuł tyle, ile tylko mógł zdobyć. Przez pewien czas, chwilowo uzdrowiony przez kolejne zmartwychwstanie, potrafił się powstrzymać. Poddał się jednak po kilku tygodniach i znowu rozdzierał ciszę nocy krzykiem „Nienawidzę cię, Hermannie Göringu!"

– Jeżeli to potrwa dłużej – powiedział Collopowi Burton – on zwariuje. Albo sam się zabije, albo po to, by uciec przed samym sobą zmusi kogoś, żeby go zabił. Lecz samobójstwo nic mu nie da i wszystko powtórzy się od nowa. Odpowiedz mi szczerze: czy to nie jest piekło?

– Raczej czyściec – odparł Collop. – Czyściec to piekło z nadzieją.

Rozdział 24

Minęły dwa miesiące. Burton zaznaczał mijające dni nacięciami na sosnowym kijku. Był czternasty dzień siódmego miesiąca 5 PZ, piątego roku Po Zmartwychwstaniu. Próbował prowadzić kalendarz, gdyż oprócz wielu innych rzeczy był także kronikarzem. Sprawa jednak nie była prosta. Czas niewiele znaczył nad Rzeką. Oś planety była prostopadła do płaszczyzny ekliptyki, nie zmieniały się pory roku, a gwiazdy przemieszczały tak, że rozpoznanie pojedynczych świateł lub ich konstelacji było prawie niemożliwe. Były tak liczne i jasne, że nawet południowe słońce stojąc w zenicie nie potrafiło całkowicie zaćmić światła największych. Wisiały na rozpalonym nieboskłonie jak duchy, które nie chcą się rozpłynąć w jasności dnia.

Człowiek jednak potrzebuje czasu jak ryby wody. Jeżeli go nie ma, musi go stworzyć. Tak więc dla Burtona był to 14 lipca 5 r. PZ.

Collop jednak, podobnie jak wielu innych, liczył czas tak, jakby płynął nieprzerwanie od dnia jego śmierci. Dla niego był teraz rok pański 1667. Nie mógł uwierzyć, że jego słodki Jezus zgorzkniał. Wolał raczej uważać Rzekę za rzekę Jordan, a dolinę – za dolinę poza mrokiem śmierci. Przyznawał, że życie pozagrobowe nie było takie, jakiego się spodziewał. Trafił za to w miejsce pod wieloma względami wspanialsze i uznał to za dowód wszechogarniającej miłości Boga dla Jego stworzeń. Dał On wszystkim ludziom, niegodnym takiej łaski, kolejną szansę. I jeśli ten świat nie był nowym Jeruzalem, to był miejscem przygotowanym do jego zbudowania. Cegły, jakimi była miłość Boga, i zaprawa – miłość do bliźnich, miały być uformowane w tym piecu i młynie – planecie Rzeki w Dolinie.

Burton naśmiewał się z tej koncepcji, lecz nie mógł nie pokochać tego drobnego mężczyzny. Collop był szczery; nie dokładał do paleniska swej dobroci kart ksiąg ani traktatów teologii. Jego zachowanie nie było wymuszone. Płonął ogniem, żywiącym się jego własną istotą, której esencją była miłość. Miłość nawet do tych, których nie można było kochać, najrzadszy i najtrudniejszy rodzaj uczucia.

Opowiedział Burtonowi o swym ziemskim życiu. Był lekarzem, rolnikiem, liberałem niezachwianie wierzącym w swą religię, a jednak pełnym wątpliwości wobec wiary i społeczeństwa swych czasów. Napisał apel o tolerancję religijną, budząc tym równocześnie podziw i przekleństwa. Był też poetą, znanym przez krótki czas, później zapomnianym.

Panie, niech przejrzy grzesznik zagubiony.
Niech się odrodzą cuda, co minęły.
Niech ślepiec przejrzy, niech trąd oczyszczony,
A martwy Twą mocą wskrzeszony.

– Moje wiersze zostały zapomniane, lecz żyje zawarta w nich prawda – powiedział Burtonowi. Zatoczył ręką koło wskazując wzgórza, Rzekę, góry i ludzi. – Sam możesz to zobaczyć, jeśli otworzysz oczy i przestaniesz upierać się przy tej bajce, że wszystko to jest dziełem ludzi takich jak my. Zresztą, jeśli nawet uznam twoje przesłanki, wciąż będę uważał, że ci Etycy są jedynie narzędziem Stwórcy.

– Bardziej podoba mi się inny twój wiersz – stwierdził Burton.

Dusza ulata;
Tyś nie z tej Ziemi jest. Więc dalej!
Niebiosa iskrę dały;
Do nich płomień powraca.

Collop był zadowolony, nie wiedząc, że Burton inaczej rozumie te strofy niż ich autor.

Płomień powraca.

Oznaczało to dotarcie jakimś sposobem do Mrocznej Wieży, odkrycie tajemnic Etyków i zwrócenie Ich urządzeń przeciwko Nim. Nie czuł wdzięczności za drugie życie, które mu dali. Był raczej oburzony, że dokonali tego bez jego zgody. Jeśli chcieli jego podziękowań, to dlaczego mu nie wyjaśnili, czemu otrzymał jeszcze jedną szansę? Jakie mieli powody, by ukrywać swoje motywy? Dowie się tego. Iskra, którą w nim rozniecili rozpali się w szalejący pożar, który Ich pochłonie.

Przeklinał los, który zesłał go w miejsce tak bliskie źródła Rzeki, a więc blisko Wieży, by już po kilku minutach porwać go stamtąd gdzieś w środek biegu Rzeki, miliony mil od celu. Jeśli jednak raz tam trafił, to może dotrzeć znowu. Nie łodzią, gdyż podróż zajęłaby co najmniej czterdzieści lat, a prawdopodobnie więcej. Mógł też być pewien, że po drodze tysiąc razy będzie schwytany i wtrącony w niewolę. A jeśli zginie, może się zdarzyć, że – wskrzeszony daleko od celu – będzie musiał zaczynać od nowa.

Z drugiej strony, przy losowym na pozór wyborze miejsc zmartwychwstania, może raz jeszcze znaleźć się u końca Rzeki. To skłaniało go do skorzystania znowu z Samobójczego Ekspresu. Choć wiedział, że śmierć jest tylko chwilowa, nie mógł się zmusić do zrobienia decydującego kroku. Umysł mówił, że to jedyna możliwość, lecz ciało buntowało się. Gwałtowne pragnienie życia, tkwiące gdzieś w komórkach organizmu, przezwyciężało wolę.

Przez pewien czas, jak sobie tłumaczył, zajmie się badaniem języka i zwyczajów prehistorycznego ludu, do którego trafił. Uczciwość jednak kazała mu przyznać, że szuka tylko pretekstu, by odwlec Straszny Moment. Mimo to nic robił nic.

Burton, Collop i Göring opuścili barak kawalerów i podjęli normalne życie obywateli małego państwa. Każdy z nich zamieszkał w osobnej chacie i w ciągu tygodnia znalazł sobie kobietę. Kościół Collopa nie wymagał celibatu. Jego wierni mogli przyjąć śluby czystości, jeżeli sami mieli na to ochotę. Kościół uznawał fakt, że mężczyźni i kobiety zostali wskrzeszeni zachowując w pełni cechy płciowe, jakie mieli na Ziemi (lub, jeśli ich nie mieli, otrzymali tutaj). Było oczywiste, że Sprawcy Zmartwychwstania życzyli sobie, by z tego korzystać. Było wiadomo, choć nie wszyscy to uznawali, że seks ma także inne funkcje niż reprodukcja. Dalej więc młodzi, tarzajcie się w trawie.

Innym rezultatem żelaznej logiki Kościoła (który, nawiasem mówiąc, odrzucał rozsądek jako rzecz niegodną zaufania) był ten, że dopuszczalny był każdy rodzaj miłości, jeżeli tylko uprawiany jest za zgodą zainteresowanych i nie wiąże się z okrucieństwem lub przymusem. Zakazane było wykorzystywanie dzieci. Ten problem sam zniknie po pewnym czasie; za kilka lat wszystkie dzieci będą dorosłe.

Collop nie chciał wybierać sobie towarzyszki tylko po to, by rozładować napięcie seksualne. Upierał się, że musi to być kobieta, którą kocha. Burton śmiał się, że ten warunek jest łatwy do spełnienia, zatem niewiele warty. Collop kocha całą ludzkość, powinien więc – teoretycznie – wziąć sobie pierwszą kobietę, która odpowie „tak".

– Szczerze mówiąc, przyjacielu – wyznał Collop – dokładnie tak się zdarzyło.

– Więc to tylko przypadek, że jest piękna, namiętna i inteligentna? – spytał Burton.

– Choć pragnę być czymś więcej, niż tylko człowiekiem, a raczej być w pełni człowiekiem, pełen jestem ludzkich wad – odparł tamten z uśmiechem. – Czy chciałbyś, bym świadomie uczynił się męczennikiem wybierając jakąś obrzydliwą sekutnicę?

– Uważałbym cię za durnia jeszcze bardziej niż teraz. Co do mnie, wymagam od kobiety tylko urody i uczucia. Jej umysł mnie nie obchodzi. I wolę blondynki. Jest we mnie jakaś struna, która odpowiada tylko na dotyk palców złotowłosej dziewczyny.

Z Göringiem zamieszkała Valkiria, osiemnastowieczna Szwedka, wysoka, o potężnym biuście i szerokich ramionach. Burton zastanawiał się, czy miała być namiastką pierwszej żony Göringa, szwagierki szwedzkiego podróżnika, hrabiego von Rosen. Sam Göring przyznawał, że jego wybranka przypomina Karin nie tylko wyglądem, ale nawet głosem. Wydawał się z nią bardzo szczęśliwy, podobnie jak ona przy nim.

Aż pewnej nocy, podczas stałego porannego deszczu, coś wyrwało Burtona z głębokiego snu.

Zdawało mu się, że dobiegł go krzyk, lecz kiedy oprzytomniał słyszał tylko huk gromu i trzask uderzających w pobliżu piorunów. Zamknął oczy, by po chwili znów się poderwać. Gdzieś blisko krzyczała kobieta.

Zerwał się, odepchnął bambusowe drzwi i wystawił głowę na zewnątrz. Zimny deszcz spływał mu po twarzy. Wszędzie było ciemno, jedynie błyskawice oświetlały góry na wschodzie. Bliskie uderzenie pioruna ogłuszyło go i oślepiło. Dostrzegł jednak dwie białe jak duchy postacie obok chaty Göringa. Niemiec zaciskał ręce na szyi kobiety, a ona trzymała go za nadgarstki i usiłowała odepchnąć od siebie.

Burton wybiegł na dwór, poślizgnął się na mokrej trawie i upadł. Gdy wstał, kolejny błysk ukazał mu kobietę na kolanach, odchyloną do tyłu, a nad nią wykrzywioną twarz Göringa. W tej samej chwili ze swojej chaty wybiegł Collop, zawiązując ręcznik wokół pasa. Burton poderwał się na nogi i pobiegł, wciąż milcząc. Göring jednak zniknął. Burton przyklęknął przy Karli i przyłożył jej rękę do piersi. Nie wyczuł uderzeń serca. W świetle błyskawicy zobaczył jej twarz, otwarte usta i wytrzeszczone oczy.

Wstał.

– Göring! Gdzie jesteś! – zwołał.

Coś uderzyło go w tył głowy. Upadł na twarz.

Oszołomiony, podniósł się na czworakach tylko po to, by paść pod kolejnym ciosem. Półprzytomny, zdołał jednak przetoczyć się na plecy, unosząc obronnym gestem ręce i nogi. Błyskawica oświetliła Göringa, stojącego nad nim z maczugą w dłoni. Jego twarz była twarzą szaleńca.

Znów zapadła ciemność. Coś białego i niewyraźnego skoczyło na Göringa od tyłu. Dwa blade ciała runęły na trawę obok Burtona i tarzały się wrzeszcząc jak koty. W kolejnym błysku zobaczył, że walczący próbują dosięgnąć zakrzywionymi palcami swych twarzy.

Burton wstał zataczając się i skoczył ku nim, lecz rzucony przez Göringa Collop zwalił go z nóg. Podniósł się znowu. Collop poderwał się i rzucił na Göringa. Burton usłyszał głośny trzask i tamten zwalił się bezwładnie. Próbował pobiec w stronę Niemca, lecz nogi nie chciały go słuchać; poniosły go na ukos, w bok od celu ataku. Wybuch światła i huku ukazał Göringa, jakby zatrzymanego na fotografii w chwili uderzenia Burtona maczugą.

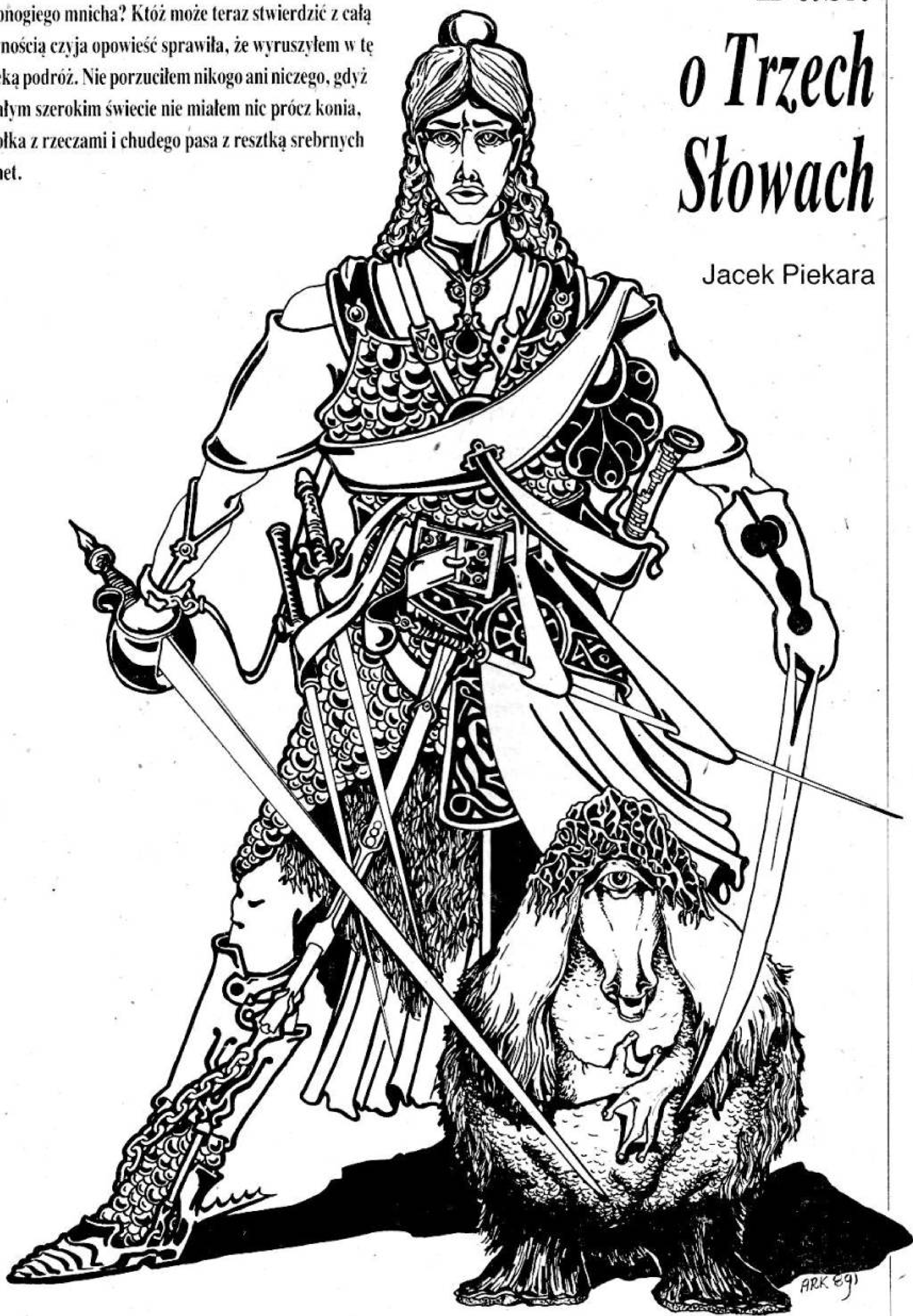
Burton poczuł, jak drętwieje mu ramię, na które spadł cios. Teraz nie tylko nogi, ale i lewa ręka odmawiały mu posłuszeństwa. Mimo to zacisnął prawą pięść i spróbował trafić Göringa. Znów rozległ się trzask – zdawało mu się, że coś wyrywa mu żebra i wgniata je do płuc. Stracił oddech i raz jeszcze znalazł się na zimnej, mokrej trawie.

Jakiś przedmiot upadł obok niego. Pochwycił go mimo bólu. Trzymał w dłoni maczugę; Göring musiał ją upuścić. Drżąc przy każdym oddechu zdołał przyklęknąć. Gdzie był ten wariat? Dwa cienie, rozmazane

Baśń o Trzech Słowach

Jacek Piekara

Od kogo usłyszałem o jaskini po raz pierwszy? Może od któregoś z wędrownych przekupniów, może od barbarzyńskiego najemnika, a może od ubogiego, bosonogiego mnicha? Któż może teraz stwierdzić z całą pewnością czyja opowieść sprawiła, że wyruszyłem w tę daleką podróż. Nie porzuciłem nikogo ani niczego, gdyż w całym szerokim świecie nie miałem nic prócz konia, tobołka z rzeczami i chudego pasa z resztką srebrnych monet.



Arkadiusz Matysiak

Od późnej jesieni aż do wczesnej wiosny przebywałem w gościnnych domostwach zubożałych rycerzy, których rodziny z radością witały przybysza z dalekich stron. Długimi wieczorami snułem opowieści o odległych krainach, a w zamian dzielono się jedzeniem ze mną i z moim koniem. Resztę roku spędzałem w podróży, samotnie bądź też najmując się do ochrony kupieckich karawan. Tak zeszły mi trzy lata. Trzy długie lata, nim dotarłem do podnóża gór Shiroo. Im dalej postępowałem na zachód, tym więcej mówiono o tajemnicy Trzech Słów.

Z biegiem dni coraz częściej spotykałem podobnych do mnie obieżyświatów, a im bliższy stawał się potężny górski masyw, tym bardziej rosła groza opowieści o Trzech Słowach.

U podnóża gór Shiroo znaleźliśmy się we trzech. Jednym z moich towarzyszy był mnich Herdfig z rycerskiego Zakonu Jałmużników. Drugim młodzieniec, a właściwie prawie jeszcze dziecko imieniem Afnel, ponoć trzeci syn baroneta z Erdangiru, lecz szczerze mówiąc bardziej wyglądał na potomka zamożnego mieszczanina niż na szlachcica.

Jechaliśmy jednak zgodnie. Nie wiem czy kiedy indziej byłaby możliwa tak ścisła komitywa dumnego zakonnika, ubogiego rycerza-obieżyświata i dużego dzieciaka. Przytłaczała nas tajemnica Trzech Słów, czuliśmy się związani niebezpieczeństwem, wspólnie dzielonym sekretem i wszechogarniającą ciekawością. Żaden z nas nie zwierzał się drugiemu ze swych planów, żaden nie napomknął nawet czy będzie miał ochotę zmierzyć się z Przeznaczeniem, czy też poprzestanie na roli obserwatora. Tak więc nie rozmawialiśmy o przyszłości, pozwalając sobie tylko na wspominki dawnych dziejów. Ja bawiłem towarzyszy opowieściami o krainach, które przewędrowałem, zakonnik barwnie opisywał życie Jałmużnika, chwalił się bitewnymi przewagami w czasie walk z poganami oraz mówił o cierpieniach, jakich przyszło mu zaznać w barbarzyńskiej niewoli. Afnel był stworzeniem małomównym, raczej chłonął z ufnością nasze opowieści (choć Bóg mi świadkiem, że często zdarzało nam się mijać z prawdą), niż sam brał udział w rozmowach.

Tak wędrowaliśmy do celu. Drogi nie musieliśmy długo szukać. Setki nóg i setki końskich kopyt wyraźnie znaczyły się na górskich halach. Wyżej, tam gdzie prowadziły już skalne przejścia i tak co rusz spotykaliśmy ślady poprzedników. A to pozostałości obozowisk, a to resztki ognisk lub kupki końskiego nawozu.

Wreszcie pewnego słonecznego ranka stanęliśmy na szczycie góry, u podnóża której kryła się tajemnica. Pierwszy wdrapał się Herdfig i czekał tam na nas z uśmiechem na wąskich ustach. Gdy zdyszani dotarliśmy do niego zatoczył ręką szeroki łuk.

– Patrzcie – powiedział.

Spojrzeliśmy i zdumieliśmy się. Pod nami kłębiły się setki ludzi, dziesiątki namiotów błyszczały w słońcu, wiele koni stało u brzegów jeziora, słychać było odległy pomruk rozmów.

– Aż tylu – szepnąłem.

– Aż tylu – powtórzył za mną jak echo Afnel.

– I żaden z nich nie zgadł – rzekłem zdumiony.

– Żaden nie próbował – roześmiał się zakonnik.

– Skąd ta pewność? – spytałem.

Spojrzał na mnie pobłażliwie.

– Wszyscy czekają na tego, co pierwszy wejdzie do groty. Czekają i nie mogą się doczekać.

Milczałem przez chwilę.

– A ty? – spytałem tak cicho, że prawie nie dosłyszałem własnego głosu.

– Ja, przyjacielu? Ja tam wejdę.

Zwiesiłem głowę. Dopiero teraz, w tej chwili zdałem sobie sprawę, że i ja przyjechałem w tym samym celu, co reszta. Nie po to, by wejść samemu, lecz by zobaczyć jak będzie wchodzić kto inny. Pojąłem, że nigdy nie zaryzykuję życia i zbawienia duszy, aby odgadnąć Trzy Słowa. Zrobiło mi się ciężko na sercu, zrozumiałem, że przez trzy lata zmierzałem ku celowi, którego nigdy nie będę potrafił osiągnąć.

– Ja też tam wejdę – przerwał moje rozmyślania twardy głos Afnela.

Herdfig zaśmiał się.

– Wejdę – powtórzył zdecydowanym tonem młodzieniec.

Zakonnik obrócił się w jego stronę i powiedział:

– Bóg z tobą, chłopcze, jeśli chcesz, możesz tam ruszyć przede mną. A wiesz dlaczego, mój mały? Dlatego, że ty nigdy nie odgadniesz Trzech Słów.

Afnel potrząsnął głową.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytał cicho.

Herdfig wzruszył ramionami i otarł pot z czoła.

– Zbyt dobrze znam ludzi i zbyt dobrze znam świat. Tobie jest jeszcze obce jedno i drugie.

Afnel spojrzał mu prosto w oczy.

– Muszę – rzekł z naciskiem.

– Cóż, musisz – powtórzył w zadumie Herdfig – jesteś młody, przyszłość może być dla ciebie łaskawa. Po co uciekać się do magii, po co ryzykować zbawieniem duszy?

– Nie przekonasz mnie! – krzyknął Afnel.

Na tym zakończyła się ta rozmowa. Herdfig zaczął wolno zjeżdżać po krętej, skalistej ścieżce, a my udaliśmy się za nim. Tłum ludzi rósł w naszych oczach. Wśród kilkunastu kolorowych, rycerskich namiotów, rozpoznawaliśmy mnichów, przekupniów i nierządne kobiety.

– Są wszyscy – rzekł jakby do siebie Herdfig. – Ci skuszeni samą tajemnicą, jak i ci, których przywiodła nadzieja zysku. Ciekaw jestem ile kosztuje tu bukłak wina – obrócił się z uśmiechem w naszą stronę – ręczę za to, iż jest w cenie złota.

– Jedzenia starczy nam na jakiś tydzień, potem trzeba będzie wracać – powiedziałem.

– Tydzień to aż nazbyt dużo czasu na wypowiedzenie Trzech Słów – zauważył Herdfig.

Złapałem się na myśli, że dopiero teraz naprawdę wierzę, że Herdfig wejdzie do groty i spróbuje odgadnąć tajemnicę. Niech Bóg ma go w swojej opiece – pomyślałem, mając nadzieję, że być może nam obu wspólnie uda się przekonać młodziutkiego Afnela, aby nie ryzykował zbawienia duszy w starciu z Przeznaczeniem.

Potem zacząłem zastanawiać się nad swą odpowiedzialnością za losy zakonnika. Czyż mam prawo pozwalać przyjacielowi i towarzyszowi wędrówki na beztroskie igranie z losem? Czy przypadkiem moją powinnością nie jest choćby siłą powstrzymać go od niebezpiecznego przedsięwzięcia? Ale w takim razie zatrzymując jego, jednocześnie skażę na śmierć kogoś, kto wejdzie do groty zamiast Herdfiga. I czyż ja w ogóle mogę mówić o czystym sumieniu? Ja, który dobrowolnie przybyłem, aby patrzeć jak na moich oczach jakiś nieszczęsny śmiertelnik będzie walczył z wyrokami losu?

Takie pytania bez odpowiedzi i ponure myśli kotłowały się w mojej głowie w chwilach, gdy zjeżdżaliśmy zboczem góry wprost w rozłożone w dolinie obozowisko. Herdfig, którego bystremu spojrzeniu nic nie umykało, poklepał mnie uspokajająco po ramieniu.

– Nic, co tu się stanie, nie będzie twoją winą – rzekł – każdy z nas ma daną od Boga wolną wolę i to jak z niej korzysta jest sprawą jego sumienia.

– A czyż nie powstrzymałbyś przyjaciela skaczącego w ogień? – spytałem.

– Któż to wie – odparł – nie można nikogo uszczęśliwiać na siłę. A skakać w ogień można z wielu powodów: aby ocalić kogoś innego, aby uwolnić się od bólu doczesności lub chociażby po to, aby wyrwać płomieniom wielki skarb.

– Czy mamy skarb większy od wiary, że nasze dusze zostaną zbawione?

Herdfig zatrzymał się. Przenikliwe spojrzenie jego zimnych, bladoniebieskich oczu przewierciło mnie na wylot.

– A jeśli ktoś już utracił prawo do tego skarbu? – spytał szeptem.

Potem odwrócił się gwałtownie i zostawiając mnie zdumionego tymi słowami popędził szybciej konia.

Z dołu musiano już wcześniej dostrzec charakterystyczny biały płaszcz Jałmużnika, bo na nasze powitanie wyszedł bogato ubrany rycerz.

– Witam cię panie – zwrócił się do zakonnika zupełnie lekceważąc obecność Afnela i moją – jestem Hamzin z Tergontu i rad będę gościć cię w naszej kompanii. Twoje przybycie jest znakiem, że i potężne zakony zaczyna zajmować tajemnica Trzech Słów.

– Nie przybywam jako wysłannik Zakonu – odparł Herdfig zsiadając z konia – i szczerze mówiąc, nie sądzę, aby takowy kiedykolwiek się tu zjawił.

Rycerz pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Cóż, polityka – mruknął – ale ostrzegam cię panie, że nieciekawe to miejsce. Ta hołota – machnął ręką w stronę obozu – nie śmie nawet zbliżyć się do groty.

Zakonnik posłał mi porozumiewawcze spojrzenie jakby chciał rzec „A nie mówiłem?"

– A ty panie? – spytałem uprzejmie Hamzina z Tergontu.

– Ja? – lodowaty wzrok rycerza spoczął na mnie – czyś oszalał człowieku?

– Zapewne długo już tu jesteś? – rzekł Herdfig starając się odwrócić ode mnie uwagę rycerza. Ten oderwał ode mnie zły wzrok.

– Prawie miesiąc – odparł wzdychając – i niedługo będę zbierał się z powrotem. Można zdechnąć na tym pustkowiu.

Afnel wysunął się do przodu.

– Pójdę już, jeśli pozwolisz – zwrócił się w stronę Herdfiga.

Mnich skinął głową po krótkim wahaniu.

– Afnelu! Nie! – krzyknąłem.

Młodzieniec uśmiechnął się smutno.

– Nie zatrzymuj mnie – ni to poprosił ni to rozkazał i stuknąwszy konia piętami w boki zaczął się od nas oddalać. Zdumiony Hamzin z Tergontu patrzył za nim w milczeniu aż w końcu wybuchnął.

– Cóż to ma znaczyć?!

– On jedzie tam, gdzie nikt z was się nie odważył – wyjaśnił spokojnie zakonnik.

– Każ zatrzymać tego szaleńca!

– Dlaczego? – spytał Herdfig – ja będę następny.

Hamzin z Tergontu opuścił bezradnie ręce.

– Ty też? – zwrócił się do mnie ochrypłym głosem.

W milczeniu potrząsnąłem głową przecząco.

– Dwa trupy to i tak wiele jak na jeden dzień – rzekłem cicho jakbym mówił do siebie, ale i Herdfig i Hamzin usłyszeli moje słowa.

Pierwszy uśmiechnął się lekceważąco, lecz drugi skinął z aprobatą głową.

Tymczasem bacznie obserwowaliśmy Afnela jadącego w stronę groty. Zrazu nikt poza nami nie interesował się nim, ale po chwili, gdy cel jego drogi stał się jasny, w obozowisku wszczął się niezwykły ruch. Wszyscy odrywali się od swoich zajęć, wybiegali z namiotów, pędzili od strony jeziora, koniecznie chcąc zobaczyć śmiałka, który jako pierwszy przekroczy próg Nieznanego.

– To największy dzień w jego życiu – usłyszałem cichy głos zakonnika – zawsze o tym marzył. Nieskalany, odważny do szaleństwa rycerz dążący na oczach tłumów w stronę wyzwania, które innych przejmuje grozą. Marzenia Afnela nie podążają dalej. Dla niego ta chwila jest najważniejsza i już ona stanowi wystarczające zadośćuczynienie za wszelkie koszta, jakie trzeba będzie ponieść i jakie już się poniosło.

Padłem na kolana i wzniosłem ręce do nieba.

– Boże ocal go! – zawołałem.

Herdfig smutno potrząsnął głową.

– Patrz i słuchaj – rozkazał.

Afnel tymczasem zatrzymał się przy samej grocie, zeskoczył z grzbietu wierzchowca, pieszczotliwie poklepał zwierzę po karku, przeżegnał się i wolnym krokiem przekroczył progi jaskini. Wiedziałem, że dzięki konfiguracji skalnych ścian każdy z ludzi w dolinie będzie słyszał słowa wypowiadane przez młodzieńca. Już teraz grzmiał huk jego kroków i dochodził naszych uszu krótki, urywany oddech Afnela.

To stanie się zaraz. Jakże bliska jest ta chwila, kiedy mogą zostać wypowiedziane Trzy Słowa. Trzy Słowa będące Filarami Życia, Trzy Słowa wytyczające bieg świata i określające jego sens. Czy Afnel je odgadł właściwie? Jeśli tak, co niech Bóg da, czeka go władza nad światem, władza nieskończenie wielka i niczym nie ograniczona. Jeżeli pomyli się choć raz, martwe ciało pozostanie już w grocie, a dusza nigdy nie trafi do Królestwa Bożego.

– Słuchaj pilnie – szeptał wprost w moje ucho Herdfig – pierwsze słowo będzie brzmieć: „Dobro".

– Dobro! – huknął z jaskini głos i rozniósł się echem po dolinie.

Tłum zebrany w bezpiecznej odległości od groty głośno westchnął.

– Drugie to „Miłość" – znów usłyszałem głos zakonnika.

– Miłość – jak grzmot zabrzmiał głos Afnela.

– A trzecie? – spytałem drżąc.

– Mądrość – odparł Herdfig.

– A potem? – znowu spytałem ledwo już poruszając wargami.

– Potem? – głos zakonnika był jednocześnie smutny i pełen bezgranicznej pogardy – dla niego nie będzie już potem.

Afnel zwlekał. Słychać było tylko jego nerwowy, przerywany oddech. Wiedziałem, że nie zastanawia się co powiedzieć, ponieważ plan musiał mieć gotowy od dawna, ale byłem pewien, że waha się chcąc przedłużyć chwile, które dzieliły go od wyroku.

– Mądrość – dosłyszeliśmy wreszcie ciszej wypowiedziane trzecie słowo.

Tłum zastygł w oczekiwaniu. Gdy zamarło echo wywołane głosem Afnela i gdy skały przestały powtarzać -ość, -ość, -ość, dobiegł naszych uszu, a raczej nie dobiegł, tylko wręcz w nie uderzył przeraźliwy krzyk śmiertelnie przestraszonego człowieka. Następnie był krótki jęk jakby ulgi, że cierpienie skończyło się tak szybko, a potem już tylko zła, dusząca cisza zapanowała w dolinie. I my, i cały tłum stał jak porażony piorunem aż wreszcie po długiej, nie kończącej się chwili ludzie zaczęli się wolno rozchodzić, uchwyceni w kleszcze sennego spowolnienia i odrętwienia. Nie słychać

Jacek PIEKARA

Urodził się 19.05.1965 r. w Krakowie. Student Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Wyróżniający się autor czwartej generacji, wodzony na pokuszenie przez filozofię punk i konwencje rozrywkowe. Dość sprawny warsztatowo Piekara szuka jeszcze swej drogi i sprawy w fantastyce, próbując SF klasycznej, fantasy, literatury awanturniczej. Najlepsze efekty osiąga flirtując literacko z osobowym Złem, o czym świadczy m.in. jego debiut w „Fantastyce" (nr 8/33) „Wszystkie twarze Szatana" i... drukowane obecnie opowiadanie.

Wydał trzy książki: „Labirynt" (Almapress-1986, powieść SF), „Imperium – Smoki Haldoru" (Iskry–1987, fragment powieści fantasy), „Zaklęte miasto" (Nasza Księgarnia–1989, opowiadania fantasy). W druku w katowickiej KAW: zbiór opowiadań socjologicznych „Witajcie w moim piekle" i powieść oparta na demonologii i mitologii pogańskiej słowiańszczyzny, „Czas klątwy".

(mp)

było gwaru głośnych rozmów, nieliczni porozumiewali się szeptem, jakby nie chcąc przerywać tej koszmarnej i druzgocącej ciszy, która zalegla po ostatnim jęku Afnela.

– Skąd wiedziałeś? – spytałem klęcząc stojącego obok zakonnika.

Ten wzruszył ramionami.

– Uczucia tkwiące w człowieku są jak zdanie w otwartej księdze. Lecz czytać może je tylko ten, kto pojął tajniki abecadła.

– A co ja bym powiedział?

Herdfig milczał przez chwilę.

– Sam tego nie wiesz – odparł w końcu – twój stosunek do świata jest mieszaniną miłości i nienawiści, pychy i pokory, nadziei i poczucia bezsensu. Nigdy nie zdobyłbyś się na to, aby określić sens świata trzema słowami.

– To prawda – skinąłem głową – i pewnie dlatego nigdy nie poszedłbym tam – dodałem spoglądając w stronę, gdzie spokojnie pasł się koń Afnela.

Stojący niedaleko nas Hamzin z Tergontu wzdrygnął się.

– Wracam – rzekł zachrypniętym głosem.

– Nie zaczekasz na drugą część widowiska, panie? – spytał uprzejmie Herdfig.

– Na co? – wyjąkał rycerz, nie zrozumiawszy.

– Na mnie – wyjaśnił spokojnie zakonnik.

Hamzin oblizał spieczone wargi.

– Wiele grzechów popełniłem w życiu, ale niech Bóg w swym nieskończonym miłosierdziu policzy mi w dniach Sądu, że próbowałem odwieść od tego czynu i tego młodzika, i teraz ciebie.

Rycerz rzucił okiem w stronę swego namiotu, potem spojrzał szybko na mnicha, ale ten odgadł jego zamiary.

– Nie wołaj swych ludzi, aby mnie powstrzymali – rozkazał spokojnym tonem – bo nie chcę, aby twa krew splamiła tę ziemię.

Później zwrócił się w moją stronę.

– Bądź zdrów, przyjacielu – powiedział serdecznie – i niezależnie od wyniku mej próby nie zapominaj przy codziennych modłach wspominać mnicha Herdfiga.

– Przysięgam ci to – rzekłem i uścisnąłem jego dłoń.

Odjeżdżał powoli, lekko wsparty o koński kark, a wiatr rozwiewał jego biały płaszcz, słońce błyszczało w wypolerowanym żelazie hełmu.

I takiego zapamiętałem go już do końca swych dni. Zawsze widzieć go będę w chłodzie wiosennego wiatru wydymającego białe płótno rozświetlone błyskiem słonecznych promieni.

– Nie zatrzymuj go – zwróciłem się w stronę wciąż wahającego się Hamzina z Tergontu – musiałbyś go zabić.

Rycerz opuścił głowę.

– Może ocaliłbym jego duszę – rzekł w zadumie.

Potrząsnąłem głową.

– Nie próbuj, a jeżeli boisz się, że spadnie na ciebie grzech, to nie lękaj się. Ja wezmę ten ciężar na swoje barki.

Potem milczeliśmy już do końca. A co było dalej? Herdfig dojechał spokojnie aż do groty, bo wszyscy myśleli, że zdąża po konia pozostawionego przez Afnela. Dopiero, gdy mnich zeskoczył z grzbietu wierzchowca, ludzie zrozumieli, że oto znalazł się następny śmiałek. Ale inaczej już zachowywał się ten tłum, który poprzednio rzucał się w stronę jaskini z żarłoczną ciekawością i żądzą wrażeń. Teraz już tylko w niektórych oczach jarzył się blask podniecenia. Twarze większości zastygły w bolesnym napięciu. Ludzie padali na kolana i wznosili modły do Boga, wielu odwróciło twarze, aby nie widzieć następnego nieszczęśnika wchodzącego do jaskini.

Herdfig przed przekroczeniem progu groty obrócił się ostatni raz i nasze spojrzenia spotkały się. Wydawało mi się nawet, że lekko skinął mi głową, po czym szybko odwrócił się i zdecydowanym krokiem wstąpił w czeluść.

Tłum zamarł w oczekiwaniu. Trzy słowa, które wypowiedział zakonnik zabrzmiały szybko po sobie, jedno za drugim tak, że grzmot skał i echo zlały je jakby w jeden wyraz. Ale wszystkie słyszeliśmy wyraźnie. A brzmiały one: Cierpienie, Nienawiść, Strach.

I wtedy, gdy umilkło już echo, góry zadrżały. Przez bezchmurne niebo przemknęła błyskawica, a potem czarna mgła zakryła słońce i zrobiło się ciemno jak w nocy. Przerażony tłum wyjąc i rycząc ze zgrozy runął tratując ludzi i namioty byle dalej od strasznego miejsca. W powietrzu huczał przerażający i wciąż potężniejący łoskot. Ja sam wręcz cudem zdołałem wskoczyć na grzbiet konia, a oszalałe ze strachu zwierzę samo odnajdywało wśród skał drogę powrotu.

W chwilę potem straciłem przytomność.

Ocknąłem się daleko od przeklętej doliny. Leżałem na ziemi, a mój koń spokojnie pasł się nie opodal. Jeszcze tego samego dnia, gdy przeglądałem się w lustrze wody dostrzegłem, że straszne chwile zostawiły mi na wieczną pamiątkę szron siwizny na głowie.

Wracałem tą samą drogą, którą przebyliśmy wraz z Afnelem i Herdfigiem. Odpoczywałem przy gościnnych ogniskach tych samych ludzi, którzy gościli jeszcze nas trzech. Niektórzy wiedzieli już o tym co się przydarzyło w Górach Shiroo, innym opowiadałem w chłodne wieczory o Tajemnicy Trzech Słów i o jej zatrważającym rozstrzygnięciu. Rychło jednak stało się jasne, że opowieści o wydarzeniu poprzedziły moje przybycie, a wtedy zdarzało się, że drzwi domostw pozostawały dla mnie zamknięte. Im dalej docierałem na wschód, tym częściej słyszałem o bandach grasantów rabujących okolice; w miasteczkach widziałem pozamykane kramy i ludzi powtarzających sobie złowrogie historie. Nie dziwię się ich przerażeniu, gdyż Nieznane i Niewiadome zawsze budzi lękliwe drżenie serca. Ale ja, który jeszcze trzy niedziele temu na własne oczy oglądałem jaskinię gdzie zginął Afnel, pozostawałem spokojny.

Pozostawałem spokojny mimo że do dziś nie wiem czy drżenie gór i nagła noc, która spadła w środku dnia, oznaczały gniew Stwórcy, że ktoś śmiał tak pojmować jego świat, czy też poprzedzały te wydarzenia oddanie władzy w ręce Herdfiga. Jeśli zakonnik odgadł właściwie Trzy Słowa, już niedługo dowie się o nim cały świat, gdyż pewien jestem, że człowiek ten nie zawaha się przed wykorzystaniem danej mu mocy.

Czasem natrętna myśl kołacze się po mojej głowie. Jeśli to właśnie Cierpienie, Nienawiść i Strach królują nad naszym światem, to czyż jego Stworzycielem mógł być Bóg, którego wyznaję – łagodny i miłosierny Odkupiciel ludzkości? Czy kreatorem takiego porządku nie byłby właśnie Upadły Anioł? Możliwe też, że to jednak Bóg stworzył świat, a Tajemnica Trzech Słów to wymyślona przez Szatana pułapka mająca budzić zwątpienie w ludziach małego ducha i wodzić ich na ścieżki bluźnierczych rozważań.

Któż więc naprawdę wygrał z jaskinią – Afnel czy Herdfig?

Zawsze gdy o tym myślę, pocieszam się wspomnieniem tłumów, jakie żegnały odchodzącego zakonnika. Ich zachowanie pozostawia nadzieję, że nie tylko Strach, Nienawiść i Cierpienie panują nad światem, ale że istnieją też Litość i Miłość. Z tą właśnie myślą co dzień rano i wieczór odmawiam gorące modlitwy w intencji zbawienia mego nieszczęsnego przyjaciela, Afnela. Bo przecież, na Boga, któż zaręczy, że wszystko co się wydarzyło, było ostatecznym rozstrzygnięciem, a nie tylko epizodem w walce Dobra i Zła o jego nieśmiertelną duszę? W walce, której wyników nie znamy.

Warszawa, wrzesień 1988 r.

Jacek Piekara

Peter Jones – OBCY



Mirosław Malinowski

Technicy z klubu „FUTURA"

– Tu program Futura". Słuchacie programu „Futura". Nadajemy dziś kolejny odcinek przygód waszych milusińskich...



Krzysztof Gawronkiewicz

Dwa snopy światła złapały w kleszcze mównicę wyniesioną przed wielotysięcznym audytorium. Pomruk tłumu ucichł.

Czekali. Miliony oczu w tysiącach domostw wpatrywały się niecierpliwie w mikrofony błyszczące bladożółtym blaskiem i stojącą obok kryształową karafkę. Pojedyncze szepty zlały się w jednostajny szelest ciemnego amfiteatru. Wreszcie oczekiwana postać stanęła przed pulpitem.

Zawrzało. Ryk tysiecy gardeł zakołysał zasłonami w lożach. Człowiek na trybunie uniósł ręce w górę.

– Dziękuję – powiedział do mikrofonów.

– Dziękuję – zacharczały głośniki w salach i w korytarzach amfiteatru.

– Dziękuję – powtórzyły przekaźniki stacji odbiorczych.

Z wolna twarz poczciwca wyjrzała z tysięcy ekranów.

– Jestem niezmiernie rad – powiedział szeroko uśmiechnięty mężczyzna – że gdziekolwiek się pojawię, wzbudzam tyle sympatii.

Feeria barw ogarnęła mroczną salę.

– Pierdu, pierdu – mruknął technik obrazu – Niagara, dolej mi kawy!

– Cieszę się również – ciągnął mówca – że moje ostatnie decyzje, dotyczące zmian w rządzie, zostały przyjęte z należytym zrozumieniem.

Nastąpiła krótka pauza; mówca powiódł słodkim wzrokiem po cieniach zgromadzonych, a monter-konserwator automatów do kawy wypełnił filiżankę pierwszego technika obrazu.

– Duży rośnij – rzekł technik i postawił kawę na desce potencjometrów.

Przez chwilę myślał o swej zbuntowanej żonie i o jej mydłkowatym fagasie. Właściwie nie znał go; nigdy o nim nie słyszał, ale wszystko wskazywało na to, że ostatnio ktoś taki pojawił się w ich życiu.

– Gównojad – chrząknął pod nosem, po czym wcisnął słuchawki i pstryknął na technika dźwięku, wskazując zielony suwak na konsolecie.

– ...nie może zaistnieć i nie będzie dla nich pobłażania – słyszał przyłapując się na tym, że próbuje sobie wyobrazić kochanka żony. To było silniejsze od. Silniejsze od?...

– ...wiemy nie od dziś – ciągnął mówca – że wiele czynników składa się na potrzebę utrzymywania przyjaznych stosunków z naszym sąsiadem.

Technik wypluł kawę ze wstrętem.

– Jest to naszą historyczną koniecznością– sadził tamten.

– Co to jest?! – krzyknął technik krzywiąc usta.

Zamiast odpowiedzi zobaczył, że kilku innych facetów w studiu podobnie parska i wykrzywia usta, a monter-konserwator automatów do kawy okłada kopniakami jednego ze swych podopiecznych.

Przemówienie trwało:

– Chciałbym również podziękować za siłę, jaką wykazuje naród w obliczu agresji, której dopuścili się...

– Laufer na C-5 – szepnął drugi technik obrazu pochylony nad małą szachownicą.

– ...gdyż prowadzimy nierówną, aczkolwiek sprawiedliwą walkę...

– Koniem palanta, koniem! – podpowiadał ktoś z boku.

– ... choć z bólem serca przychodzi nam wysyłać na front naszych najlepszych synów, nie cofniemy się...

– Cofnij królówkę, bo ci ją zerżnie, hy, hy, hy!

Mówca kolejny raz uniósł ramiona, by powstrzymać burzę oklasków:

– Dlatego stojąc twardo na gruncie...

– Byłem z pewną cizią z sześćdziesiątej trzeciej kondygnacji – zwierzał się rekwizytor w rogu studia.

– ... patrząc trzeźwo w przyszłość...

– Najpierw mnie upiła czymś przypominającym klej do tapet i źle się poczułem...

– ...nie pozwolimy na szarganie odwiecznych wartości...

– Kochanie, mówię, chciałbym już iść.

– ...na gwałcenie zasad suwerenności...

– Stary, wstyd się przyznać; zostałem zwyczajnie zgwałcony.

Burza braw i owacji ogarnęła salę. Mówca zniknął równie szybko, jak się pojawił. W ciemnościach przeszedł kilkanaście metrów dzielących go od wejścia za kulisy. Tam usłużne ręce podały mu płaszcz obszyty epoletami; zbliżył się ktoś z ochrony.

– Słyszysz te owacje? – zapytał przywódca.

Goryl przytaknął.

– Kochają mnie – westchnął wódz narodu.

– Śmigłowiec czeka – ponaglił goryl.

Pierwszy technik obrazu wstał z wysiłkiem spoza pulpitu wizyjnego.

– To palant... – stęknął, myśląc o fagasie żony.

Wódz wsłuchujący się z lubością w odległe owacje i jego ochroniarz wchodzili do windy mającej ich wynieść na dach amfiteatru.

Kochała mnie, myślał pierwszy technik obrazu idąc korytarzem wiodącym do auli. Zbliżające się echo owacji i oklasków zagłuszyło warkot oddalającego się helikoptera. Obsługa wchodziła już do sali.

– Dobra, chłopcy, zwijamy majdan! – krzyknął pierwszy technik obrazu klepiąc w plecy zgwałconego rekwizytora. Zerknął na sekundnik, podniósł do góry rękę, a na ten znak technik dźwięku przesunął zielony suwak do pozycji „zero".

Owacje ucichły. Amfiteatr ogarnęła martwa cisza. Wiatr trzaskał z łoskotem nie domkniętą okiennicą wywołując niesamowite echo potęgujące pustkę.

– Migiem, chłopaki! – ponaglał pierwszy technik obrazu. – Jutro orędzie w Kirke Thull.

Technicy uwijali się jak w ukropie. Nikt nie musiał ich popędzać, robili to tyle razy... Najpierw zwinęli kable łączy wizyjnych. Po nich zdemontowali głośniki i mikrofony. Opróżniono cztery skrajne sektory, zastukały puste krzesła w lożach, zniknęły wreszcie ostatnie manekiny z czterech sektorów środkowych. I gdy cały ten majdan wraz z widownią znalazł się w wielkich przenośnych kontenerach, zgasły nastrojowe światła reflektorów eksponujących mównicę.

– Witajcie w klubie „Futura". Jest dziś poniedziałek, dwudziesty pierwszy lipca. Słońce wzeszło, ale państwo to pewnie przespaliście. Nasza gwiazda również zajdzie; nastąpi to o godzinie dziewiętnastej czterdzieści cztery, ale za to nie biorę już odpowiedzialności.

– Sto dziewięćdziesiąt sześć lat temu dzielny selenonauta Armstrong postawił po raz pierwszy nogę na Księżycu. Zrobił to nieufnie, bo bał się w coś wdepnąć... Udało się: Neil wcześnie posiwiał, ale został bohaterem.

– Siedemdziesiąt dwa lata temu skonstruowano prototyp pierwszej biobateryjki. Ważyła ponad siedem kilogramów.

– Trzydzieści pięć lat temu nie zdołał uniknąć nieszczęśliwego wypadku prezydent Ivo Shekter. Od tego czasu politolodzy coraz odważniej głoszą, że Shekter był „fuj i bzidal".

– Imieniny obchodzą dziś Lutia i... o, rany! Moja żona! Co za dzień... Nie znoszę poniedziałków...

– A teraz boska, naga Sue i chwila reklamy:

– Jeśli nie wiesz co zrobić ze swoim wolnym czasem, jeśli umierasz z pragnienia albo czujesz się jak strawiony przez wóz utylizacyjny, udaj się natychmiast do najbliższego punktu regeneracyjnego i zadbaj o świeżość swoich mocy witalnych ładując...

– Dosyć Sue! Twoja reklama jest nudna. Wszyscy wiedzą, że w podrzędnym punkcie regeneracyjnym można narazić się na zakażenie VIRH.

– Przepraszam, że jestem dziś taki rozdrażniony, ale moja prateściowa jest w siódmym miesiącu ciąży, co wcale nie znaczy, że jest w siódmym niebie.

– Ale teraz już nadamy kolejny odcinek perypetii waszych milusińskich.

– Trzy... dwa... jeden...

– Start! Obraz jeden – trzy. Niagara! Zostaw ten cholerny statyw! Co?! Ty mnie też możesz, podmyłem się!

– O, rany, co tu jeszcze robi sprzątaczka?! Jakie znów rachunki? Niech to szlag! Co za dzień!

Gdy na mównicy anonimowa dłoń ustawiła szklankę i karafkę z wodą, widownia zapadła w grobową ciszę. Ale już po chwili fala urzędowych oklasków powitała urzędowo uśmiechniętego przywódcę.

– Wysoki parlamencie – zaczął mówca – dostojni senatorowie, panie i panowie, obywatele!

Ponownie rozległy się oklaski, a technik obrazu ziewnął przeciągle i zaciągnął się głęboko papierosem. Poprzedniego wieczora postanowił rozmówić się z żoną w sposób zdecydowany, ale zaczął chyba zbyt zdecydowanie, bo skończyło się wrzaskiem, trzaśnięciem drzwi i zamglonym widokiem dna wysuszonej butelki po kiepskim ginie marki „Dry Batery Special".

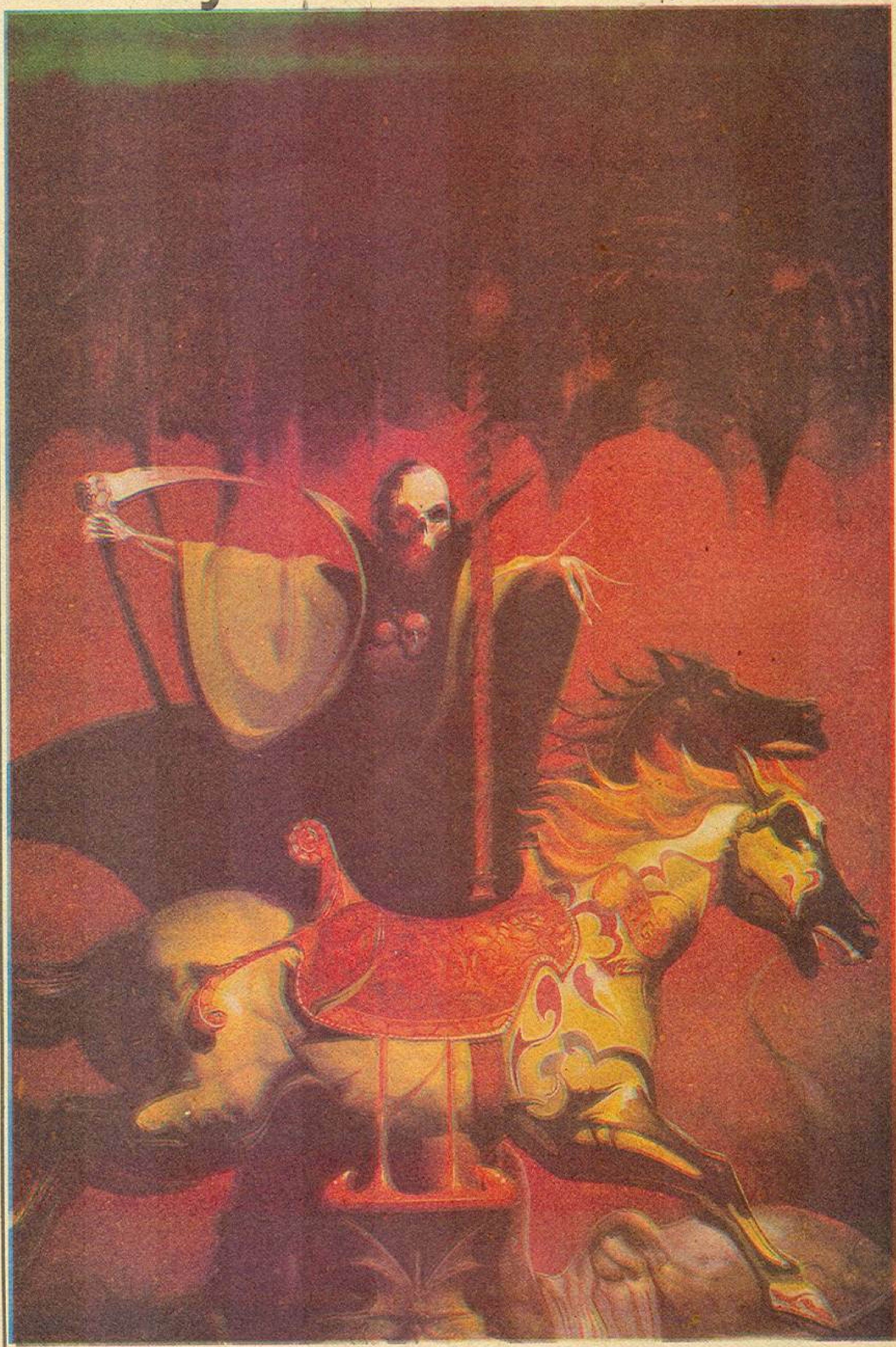
– Czy nie uważasz, że nasz dyktator ma grzywkę zbyt na karku...? – zapytał ktoś, próbując przekrzyczeć płaczące dziecko wychodzącej sprzątaczki.

– Uważam, że (jak wszyscy) ma białe oczy! – wykrzyknął monter-konserwator roznoszący kawę (lub cokolwiek takiego).

– Białe, bo wszyscy mają białe, cholera – sapnął monter potykając się o kabel. – Oprócz tego, że wszyscy mają zielone, niebieskie, piwne, kaprawe (gdy coś wypiją), szklane też (po wypadku), zamknięte (gdy śpią lub są martwi), szlachetne (często tylko na oko), rozmarzone. – Tu wskazał technika, który wspominał właśnie swoje narzeczeństwo.

☞

Peter Jones – OBCY



– Odwal się! – warknął technik obrazu.
– ...wszyscy mają białe. O, tu. – Dokończył pośpiesznie monter i wywalił demonstracyjnie swoje bielma.
Kamery śledziły łapczywie entuzjazm w środkowych sektorach, ukazując w przebitkach prezydenta błyskającego chytrze białkami.
– Rzeczywiście! – odkrył akustyk.
– A jeżeli ktoś ma zapalenie spojówek? – zapytał inny technik.
Monter zasępił się.
– No, Niagara hy, hy, co wtedy?! – krzyknął ktoś inny.
Niagara machnął ręką:
– Wtedy idzie do okulisty, no nie? – rzekł spokojnie i oddalił się w pobliże ekspresów.
Wszyscy popadli w zamyślenie.
– Ty, Niagara, czy to prawda, że byłeś kiedyś bokserem?
Monter-konserwator kiwnął smutno głową.
– Podobno niezłym?
– Do czasu. Każdy kiedyś próbuje wejść wyżej swego Everestu. Ja właśnie wtedy...
– Jak to było?
– Byłem mistrzem terenów Kirke i Apro w wadze średniej. Moja forma wciąż zwyżkowała, ale żona nie chciała, żebym dalej walczył. Łykała wciąż tabletki, bo bała się, żeby dziecko nie miało ojca dogorywającego w ośrodku psychiatrycznym. Ląduje tam wielu bokserów.
U szczytu formy i sławy zrezygnowałem z treningów. Gdy moja mała zaszła w ciążę zobaczyłem, w telebridge'u, jak jakiś gnojek z wagi piórkowej wygraża się, że potrafi znokautować nawet Cezara Groma. Z czasem było o nim coraz głośniej i ciągle wygrażał się, że załatwi Cezara Groma. Cezar grom, to byłem ja.
Któregoś dnia usłyszałem wyzwanie: – Cezarze Gromie, pokaż się, nie tchórz! Przyjdź do mnie, do piórkowej, to cię zabiję!
I rzeczywiście poszedłem do nich obejrzeć trening. Ten mały był faktycznie niezły.
Sam nie wiem, jak to się stało, że zacząłem zrzucać wagę i trenować. Moja mała domyśliła się o co chodzi. Zagroziła, że (jeśli stanę do walki) zabije nasze nie narodzone dziecko i odejdzie. Doradzała jej to matka, zawsze ją tyranizowała.
Ale ja byłem już na wojennej ścieżce. Wcale nie wiedziałem, czy wygram. Wiedziałem tylko, że jest szansa powalczyć i... no nie wiem; ten mały całkiem mnie otumanił. Wygrażał się po każdym turnieju.
Tydzień przed zawodami żona uciekła do matki. Nie wzruszyło mnie to. W dniu otwartych walk stanąłem na „wstępną" wagę. Byłem za ciężki o siedem gramów, ale przyszło mi coś do głowy i sędzia wagowy zgodził się poczekać godzinę. Natychmiast wezwałem z kliniki mojego dentystę i kazałem mu wyrwać kilka najmasywniejszych zębów. Wyczuł, że zgłupiałem i skasował mnie, jak chciał. Wyrwał mi cztery trzonowe ze złotymi koronkami.
Po zabiegu waga się zgadzała. Sprawdzili mnie tylko na prochy i stanąłem do walki.
Publiczność wariowała ze szczęścia; pamiętali mnie, ale tamten szczeniak był już bardziej w modzie.
W pierwszej rundzie straciłem słuch, w drugiej ten gówniarz zniwelował mi nos; połamał go na trzy części. Trzeciej rundy nie pamiętam. Podobno ktoś z publiki w przypływie szału podpieprzył mojemu trenerowi ręczniki, podczas gdy ja uparcie stałem na nogach. Nic na to nie poradzę, że noszę buty numer dwanaście i mam silne nogi...
Niagara przerwał opowieść. Wydobył z wewnętrznej kieszeni podręczną piersiówkę i pociągnął z niej pokaźny łyk.
– A co z twoją małą? – spytał akustyk.
– Pytasz chyba o moją byłą żonę? – Monter beknął nieapetycznie. Dotrzymała słowa. W czasie walki jej matka zawiozła ją do jakiegoś sterylisty-faszysty, który pozbawił nas dziecka. Nigdy później jej nie spotkałem i nie ciekawi mnie jak się ten żałosny głuptas miewa.
– A co z tamtym bokserem?
– Przyszedł po walce do szpitala. Pytał, dlaczego się nie poddałem. Powiedziałem mu, że jestem na coś takiego za słaby.
– Co się z nim później stało?
– Po trzech latach został mistrzem świata. Później ożenił się i zrobił dwójkę dzieci, a kiedy zaczął przegrywać, jego żona zabrała dzieciaki i odeszła do innego faceta. Dziś jest pijakiem, pracuje w knajpie, jako szatniarz, a ja...
Niagara strzelił palcami i uniósł do góry piersiówkę:
– Piję za to, żeby ludzie zaczęli się zwyczajnie kochać. Za rozpad wszystkich małżeństw.
Technicy siedzieli zamyśleni, a przemawiający dyktator był w siódmym niebie, czyli cholera wie gdzie, ale przede wszystkim na mównicy:
– Naród zdaje sobie sprawę, że znajdujemy się w niezwykle trudnym momencie naszej historii – oświadczył pokreślając dwukropek przed następnym akapitem chwilowo jeszcze nie znanego mu tekstu.
– Czy nie uważasz, że... – zajęczał ktoś w studio nieśmiało.
– Uważam, że traktujesz to zbyt głęboko. Bo życie jest, jak... – nie dokończył akustyk.
– Jak płytkie jezioro gówna! – krzyknął Niagara.
– Zamknij się, Niagara.
– Uważam, że...
– A ja uważam na samochody, kiedy przechodzę przez ulicę – oświadczył monter.
– Życie nauczyło mnie tego...
– A mnie mamusia – wtrącił znów Niagara.
– Dosyć, panowie, hy, hy, hy... Dajmy temu spokój! – rzucił hasło akustyk. – Niech lepiej Niagara opowie jakiś dowcip.
Monter zawstydził się, co było wyraźnym znakiem, że zamierza zasunąć którąś ze swych oryginalnych historyjek.
– No, Niagara, nie daj się prosić! – nawoływał akustyk uciszając pozostałych techników.
– Dokąd sięgam moją... – zdążył powiedzieć i natychmiast wyciszono podsłuch w studiu.
– Wyobraźcie sobie faceta z prowincji – zaczął Niagara, jakby zapomniał, że wygląda, jak facet z prowincji. – Pomogę wam: Ubrany w pikowany kombinezon i ocieplane ftolem wodołazy; ma czerwoną, okrągłą twarz – Niagara miał taką twarz – ... i duży, bordowy nos, którym wciąż pociąga. – To był nos Niagary.
Kilku facetów zaczęło podrygiwać i wyginać się na zajmowanych miejscach. Marni pisarze nazywają takie czynności „z trudem powstrzymywanym śmiechem".
– Otóż ten śmieszny facet – ciągnął monter – idzie przez zabłocone podwórze dźwigając dwie ciężkie konwie. Słyszy z dala orgiastyczne pochrząkiwania tuzina tuczników (znaczy świń). Gdy zjawia się w polu ich widzenia, którym jest plac względnie udeptanego gówna, podnosi się nagła wrzawa. Świnie pędzą na zbite ryje do kraty, pod którą stoi koryto, eech... – Tu Niagara pociągnął nosem.
– Dalej! – ponaglał akustyk.
– Dalej facet ładuje w koryto całą zawartość konwi; aplauz, radość, szaleństwo, no, w ogóle aprobata; świnie w spazmach.
Facet odstawia konwie i przygląda się przez chwilę. On też się cieszy; jest nawet trochę zażenowany. Wreszcie rusza, brnie przez podwórze do chałupy, ściąga tam kurtkę i buty (lub nie), włącza radio (z braku żony), wchodzi do łazienki (a jakże!) i myje ręce.
W końcu dostrzega w lustrze swoją wieśniaczą twarz, przeciąga po niej dłonią, zasępia się i pyta: „C o o n e w e m n i e w i d z ą ?"
Pierwszy technik obrazu spadł z krzesełka przed konsoletą.
– Akker, zastąp mnie – wyrechotał i pognał do ubikacji.
Wszyscy pękali ze śmiechu (albo raczej sprawiali wrażenie, jakby niewiele im brakowało, by popękać).
– Niagara, hy, hy, hy – akustyk klepnął w plecy montera. – Jesteś wielki!
Technik obrazu stał nad pisuarem, a jego oblicze pochmurniało.
Dwanaście lat temu ujął ją zblazowanym lecz przyjemnym wyrazem gęby, a po jakimś czasie kupił najwyższą stawkę wynagrodzenia, jaką można wydusić w jego fachu.
Dziś wyraz zblazowania ustąpił stałemu grymasowi zgorzknienia, przez co twarz nie wyglądała przyjemnie. Jego wypłaty należą do średnich, a żona jest ciągle piękna. Jeszcze tydzień temu cieszyłby się z tego, ale dziś...?
– Muszę do niej zadzwonić – szepnął. Splunął na różowy kafelek z pośpiesznie skreślonym słowem „pipka", po czym zakołysał biodrami, wciągnął brzuch, zapiął rozporek i wyszedł, mijając w przejściu ponurego Niagarę.
Technik obrazu nie wiedział, że jedno z żeber grzejnika w sypialni jego domu pękło, przez co cienka strużka wody zalewała od kilku godzin jego ukochany włochacz. Żona technika postanowiła wezwać fachowca. Przybyły fachowiec, który wyglądał jak tresowany niedźwiedź zażądał przed naprawą mocnej kawy. Kawy w domu technika przypadkiem zabrakło. Żona udała się na poszukiwania.
Fachowiec od grzejników rozparty wygodnie w fotelu przyglądał się ze znudzoną miną cienkiej strużce cieknącej na dywan. Właśnie wówczas zadzwonił telefon. Fachowiec przypominający tresowanego niedźwiedzia westchnął niechętnie, bo zdążył polubić delikatny szept wody; z wyraźnym oporem, wolnym, leniwym gestem lewej, górnej kończyny sięgnął do aparatu.
– Słucham – oznajmił znudzony.
– Mówi mąż twojej kochanki, bydlaku!
Fachowiec pozostał niewzruszony:
– Nie sądzę – powiedział i nie słysząc odpowiedzi dodał: – Moja jedyna kochanka jest od pewnego czasu moją żoną i nie sądzę... ęęęęę – ziewnął przeciągle – żeby była jednocześnie twoja.

– Czy to 22-31467 Bulwar Bateryjny 33? – upewnił się technik obrazu.
Fachowiec podobny do tresowanego niedźwiedzia spojrzał na numer obok tarczy aparatu i oznajmił:
– Oooøybawiam się, że tak.
– To posłuchaj, smutny gnoju! Za minutę będę dzwonił jeszcze raz i chciałbym, żeby to moja żona (!) podniosła słuchawkę.
Tresowany niedźwiedź (fachowiec od grzejników) usłyszał zgrzyt zamka w wejściowych drzwiach. – Załatwione – zapewnił i dodał łaskawie – możesz zadzwonić. – Ziewnął i odłożył słuchawkę.
– Niepotrzebnie się denerwuję – tłumaczył sobie technik obrazu. – Muszę się uspokoić. – Odwrócił się twarzą do wnętrza studia.
Spoza zasłony z papierosowego dymu, z dwunastu ekranów tablicy podglądowej uśmiechało się do niego dwanaście jowialnych twarzy przemawiającego dyktatora. Technik obrazu pokazał im język, na co one odpowiedziały chórem:
– ...jest to ważnym czynnikiem utrzymania stabilizacji. – Po burzy oklasków twarze dodały:
– Dzień jutrzejszy jest świętem wyzwolenia Apuk Thull. Udaję się tam, by udzielić poparcia wysiłkom zmierzającym...
Technik obrazu odmierzył w pamięci trzydzieści sekund sprawdzając błąd na zegarze ściennym. Pomyłka wyniosła trzy sekundy.
– Do zobaczenia w Apuk – powiedziało dwanaście szklanych postaci i pomachało rękami znudzonym technikom i urzędowo klaszczącym ludziom w amfiteatrze Kirke Thull.
– Akker, obraz 1-3, zdejmuj tylko pierwsze rzędy! – krzyknął technik. – Tylko spokojnie – mruknął do siebie i jeszcze raz sięgnął po słuchawkę.
W studiu zawrzało. Technicy zabrali się do swych rutynowych czynności.
– Słucham. – Technik obrazu niemal poczuł w uchu ciepły oddech swojej żony.
– Co za facet poprzednio odbierał telefon?
– Ach, to ty! – usłyszał skonsternowany głosik.
– Nie chce mi się gnać do lustra. – Technik sięgnął wyżyn ironii. – Umówmy się, że to ja.
W tym momencie do studia wszedł rozpromieniony dyktator.
– Witajcie chłopcy! – wyszczerzył aktorsko zęby. – Jak leci?!
Chłopcom leciało sprawnie.
– Więc kim był ten facet? – upierał się technik obrazu usiłując przekrzyczeć dyktatora.
– Jaki facet? Ach, zaczekaj... – ledwie dosłyszał słowa żony.
– Jutro w Apuk będzie bombowy! – rozkoszował się dyktator.
– Niagara, zamknij go! – wrzasnął technik obrazu w głąb studia.
– Już jestem – usłyszał technik w słuchawce. Ktoś obok dorzucił, że Niagara utonął chyba w sraczu.
– To był fachowiec – powiedziała żona, podczas gdy dyktator kwilił o patriotyzmie.
– Kto?! – krzyknął technik.
– Wezwałam fachowca, pękł grzejnik – tłumaczyła żona.
– Oto właściwy człowiek na właściwym miejscu! – indyczył się dyktator waląc po plecach zajętego zwojem kabli akustyka.
– Zamknijcie mu mordę! – wrzasnął technik obrazu i dorzucił w słuchawkę: – To był twój fagas!!!
– Ach, jutro w Apuk! – radował się dyktator.
– Słyszysz? – krzyknęła żona technika.
– Co miałem słyszeć?
– Zazdrość wyżera ci mózg!
– Jesteś bezczelną dziwką! – odgryzł się technik.
– Oni mnie naprawdę kochają! – Dyktator chwiał się ze szczęścia.
– Nie łudź się, że zastaniesz mnie w domu... – oświadczyła żona technika, czego on dokładnie już nie usłyszał.
– Zaczekaj chwilę – rzucił, odłożył słuchawkę i podbiegł do rozpromienionego dyktatora. Jednym szarpnięciem oderwał mu wszystkie guziki admiralskiej marynarki.
– Odpowiesz mi za to, psie! – wrzasnął oburzony monarcha, ale już po sekundzie technik obrazu wyszarpał mu biobateryjkę z gniazda klatki piersiowej. Dyktator opadł bezwładnie na posadzkę, a technik obrazu wrócił do telefonu.
– Czy ty jeszcze do mnie cokolwiek czujesz? – rzucił z goryczą i stwierdził, że połączenie zostało przerwane.
– Cholera – jęknął i jak stał, tak usiadł na posadzce ze słuchawką przy uchu.
– Stary dziś wściekły. Lepiej nie wchodzić mu w drogę – zauważył bystro jeden z młodszych techników obrazu.

– Witajcie! Oto budzi Was kolejny ranek, a wraz z nim nieśmiertelna, zawsze czuwająca audycja „Futura"... Mówi Wasz ulubiony redaktorek, który ma dziś fenomenalnego kaca. Powiedziałbym Wam na dobry początek dzisiejszą datę i dzień tygodnia; dorzuciłbym coś niecoś o pogodzie, ale na te tematy wciąż jeszcze trwają w naszym studiu burzliwe dyskusje... Zacznijmy więc od tego, co jest pewne, a pewny jest mój ból głowy i (jak zwykle odgrzewane) wiadomości z ostatniej chwili:
– Max, wchodzisz!
– Dzień dobry państwu! Krajowa Agencja Informacyjna doniosła o kolejnych postępach w przygotowaniach do obrad trójkątnej ławy. Przypominam, że udział w nich wezmą niemal wszyscy reprezentanci społeczeństwa wraz z Chrześcijańsko-Marksistowskim Kościołem Zreformowanym. Wyklucza się jedynie obecność przedstawicieli opozycyjnej partii „Tekstylny Kwiat".
– Źródła zbliżone do Związku Stolarzy, Ślusarzy, Elektryków i Dętych Szklarzy podały, że dobiegają końca prace konserwacyjno-montażowe przy symbolicznej trójkątnej ławie. Gotowe są również trójkątne krzesła i odpowiednia ilość trójkątnych popielniczek.
Powracając do partii „Tekstylny Kwiat", zobowiązany zostałem do przekazania państwu odezwy-komunikatu zredagowanego przez jej przywódców. Oto on:
„Obywatele!
Zabrakło nam miejsca na stawianie nowych szaletów, a te, które już są, zostały przez nas wypełnione do sufitów. Teraz załatwiamy się wszędzie, gdzie udaje się nam wetknąć nasze dupy.
Choć nie zdążyliśmy nauczyć się eksploatowania kosmosu, to być może już w niedalekiej przyszłości ktoś z kosmosu zechce eksploatować NAS. Ziemia stanie się wówczas kopalnią nawozu, a będzie to nawóz najwyższej jakości (złożony z tego, co potrafi strawić człowiek)! Jednak najlepszy z najlepszych okaże się nawóz pozostały po naszych trupach, które (jak dowodzą dawne obyczaje niektórych ludów i robaków) również nadają się do spożycia. I co wy na to?!
Obywatele!
Partia „Teksylny Kwiat" żąda zrozumienia i realizacji swoich słusznych postulatów. Oczekujemy waszego poparcia. Tylko wy możecie sprawić, że „Tekstylny Kwiat" zasiądzie przy trójkątnej ławie".
– Wracamy do wiadomości:
– Dzień dzisiejszy jest świętem wyzwolenia Apuk Thull. Organizowana jest okolicznościowa akademia, podczas której głos zabierze wódz naczelny. Oczekuje się, iż przedstawione zostanie stanowisko władz wobec postulatów partii „Tekstylny Kwiat". Transmisję z akademii rozpoczniemy o godzinie 17.05 czasu Kirke.
– Wiadomości przedstawił Mas Bowshet. Dziękuję państwu.
– A teraz boska, naga Sue i chwila reklamy:
– Punkty regeneracyjne są twoimi słabymi punktami...Musisz to koniecznie zmienić!

Godzina 17.10.
– Niagara, co to za pomyje?! – rzucił w głąb studia technik obrazu.
– To tutejsza „mała czarna".
– Raczej „mała ruda" – wtrącił akustyk zerkając na kolorowe ekrany. Na kolorowej estradzie kolorowej sali kongresowej, w kolorowym tego dnia Apuk Thull, podskakiwało kilkadziesiąt kolorowych dziewczynek z kolorowymi wstążkami w rączkach.
Niagara zbadał przejrzystość płynu.
– Przykryjcie filiżanki, może naciągnie – poradził rezolutnie.
– A są podstawki?
Niagara wzruszył bezradnie ramionami:
– Wyszli.
– Monter, jesteś dziś do dupy! – zawyrokował technik obrazu i zerknął na szklaną filiżankę. – Może by i naciągnęła?
– Na pewno – zapewnił akustyk z boku. – Odwróć ją do góry dnem; tylko ostrożnie, hy, hy, hy...
– Ale śmieszne!
Sala kongresowa w Apuk Thull wypełniona była po brzegi. Tylko w półkolistych cieniach najwyższych loży stali uzbrojeni po zęby żołnierze gwardii narodowej. W sumie było ich trzydziestu ośmiu, a każdy z nich (niewidzialny dla kamer i zebranych poniżej) ściskał w rękach gotowy do strzału karabin automatyczny. Byli to starzy wyjadacze; uczestnicy wielu batalii i sprawcy niejednej rzezi. Ich spocone palce drżały z podniecenia maskując pieszczotliwie chłodną stal. Nie pierwszy raz odczuwali to coś nie nazwanego, co obiecywało z głębi ich zimnych serc, że lada chwila mogą być potrzebni.
Technik obrazu poczuł mdłości. Kiedy rozpoczęło się przemówienie naczelnego wodza, postanowił wybrać się do ubikacji.
– Akker, przypilnuj jedynki! – rzucił polecenie akustykowi.
Dyktator rozpoczynał właśnie kolejny akapit:
– Pragnę podkreślić...
– Ale ma banalne pragnienia! – stwierdził technik obrazu ustępując miejsca Akkerowi.
Nagle, gdzieś w głębi kongresowej rozległ się huk pojedynczego wystrzału.
– Zaczekaj!

Technik obrazu zatrzymał się przed szklanymi drzwiami z napisem APUK RADIO LTD. Blady jak papier wrócił do konsolety.

Akker wskazał osuwającego się z mównicy, martwego prezydenta.

– Chyba się zaczęło.

Panika ogarnęła uczestników akademii. Tylko świnie z opowieści Niagary mogłyby przekwiczeć ten zgiełk. Po chwili opanowany szorstki głos wychrypiał przez megafon:

– Tu dowódca gwardii, zarządzam spokój! – Lecz, gdy nie odniosło to żadnego skutku głos rozkazał: – Wszyscy położyć się twarzami do podłogi!

Padły pierwsze, ostrzegawcze strzały.

– Akker – odezwał się zieleniejący nagle technik obrazu – podawaj na przemian trójkę i piątkę. Od czasu do czasu pokaż jedynką pustą trybunę.

– Ale zabawa! – zachwycał się Akker.

– Nudno – zauważył Niagara.

– Trzymajcie się, chłopcy! – zabulgotał technik obrazu zaciskając dłonią usta i po sekundzie pchnął szklane drzwi wyjściowe.

Pociski wystrzeliwane przez żołnierzy gwardii narodowej były w rzeczywistości malutkimi, kąśliwymi walcami o przekroju podłużnym zbliżonym do elipsy. Każdy z nich (otoczony mosiężnym płaszczem) był w środku prawie całkiem pusty. Prawie, bo czyjaś przemyślna ręka wpuściła do jego środka niesforną, pięciomilimetrową kuleczkę rtęci.

W momencie oddania strzału, w wyniku działających sił, rtęć przytulała się do tylnej ścianki pocisku i oczekiwała niecierpliwie „co dalej?". Trwała tak przez całą podróż pocisku (do trzech kilometrów); wreszcie, gdy pocisk zaczepiał o przeszkodę (na przykład drewniany pień, drzwi samochodu, czyjś tyłek lub kość czołową czaszki prezydenta) rtęć rozpoczynała swój szalony taniec w ciasnym wnętrzu pocisku. Pocisk tracił orientację dokąd chce lecieć i również rozpoczynał opętańczy taniec (na przykład w ciasnej głowie prezydenta). Kręcił się wściekle za własną dupą, aż w końcu znudzony tymi pląsami opuszczał niegościnne pomieszczenie (na przykład przez wyrwanie pokaźnej dziury w prezydenckim gardle).

W ten sposób leżący za mównicą prezydent wyglądał jak człowiek po źle wykonanej tracheotomii.

W ciągu minionej nocy żołądek technika obrazu wypełnił się sporą porcją koniaku i ostryg, wina i nadziewanych czekoladek, jagnięcej pieczeni i mocnej wódki. Składniki te po połączeniu dały mieszaninę wybuchową, przez co żołądek technika obrazu przeistoczył się w groźną, odbezpieczoną bombę.

Kiedy pierwsze pociski gwardzistów zaczęły pląsać po ciałach zebranych w sali kongresowej, technik obrazu eksplodował w ubikacji. Trwało to z przerwami około minuty i gdy technikowi wydało się, że jest już po wszystkim, przeszedł do umywalki. Był to błąd. Technik wrócił szybko do klozetu. Tam znów eksplodował, po czym przeszedł do umywalki, gdzie ponownie przekonał się, że nie wyczuł chwili. Kręcił się po toalecie tak jak kręciły się rtęciowe pociski po ciałach zgromadzonych w sali kongresowej.

Tłum kwiczał z bólu i bezsilności. Przezorni żołnierze gwardii zablokowali wszystkie wyjścia, a ich figlarne pociski, wyspecjalizowane w pląsach, wyskakiwały z jednych ciał, by za chwilę znaleźć zabawę wewnątrz sąsiednich.

Krew siusiała, jak woda z popękanych grzejników.

– Nudno – mruknął Niagara i postawił na konsolecie filiżankę kawy z cytryną.

– Dzięki – uśmiechnął się Akker i wyciągnął rękę.

Monter klepnął go po plecach:

– Nie dla ciebie, smutasie.

– To ma być show?! – narzekał jeden z techników rozparty leniwie w fotelu.

– Ciesz się, żeś nie fizyczny – powiedział Niagara

– To jest burdel, nie show! – ciągnął tamten. – Moja babcia miała burdel; to było show! Hy, hy, hy!

Na sali kongresowej padały ostatnie, pojedyncze strzały. Wszystko zmierzało ku końcowi. Także dla chwiejącego się nad umywalką szefa techników. Kiedy po przepłukaniu ust zmierzał miękko do studia, dowódca gwardzistów zarządzał właśnie przerwanie ognia i rutynową kontrolę dokumentów osób leżących na sali.

Technik obrazu pchnął energicznie szklane drzwi z napisem, który (czytany od tyłu) brzmiał: DTL OIDAR KUPA.

– Akker, pilnowałeś?

– Sie wie, szefie...

– Zuch jesteś – pochwalił technik obrazu i sięgnął po stojącą na konsolecie filiżankę z kawą.

– Ale ich chłopaki tłukli! – fascynował się Akker przełykając zazdrośnie ślinę.

Technik obrazu spojrzał na monitory. Żołnierze pląsali między ciałami tak jak przedtem ich pociski (z tą różnicą, że robili to wolniej).

– Luuudzie! – wrzasnęła nagle w jednym z wejść jakaś objuczona zakupami kobieta. – Luuudzie!!! – wbiegła już na salę. – Bateryjki rzucili! Dwunastki! – Kobieta była krańcowo wyczerpana.

– Gdzie?! – nie dowierzał dowódca gwardii.

– Co jest, szefie? – zdumiał się Akker.

– Wrzuć reklamę.

– Bateryjki, market numer cztery... – wyrzęziła kobieta na pierwszym monitorze i znikła.

– A teraz boska, naga Sue i chwila reklamy...

– O, Jezu! – złapał się za głowę Niagara.

Na sali kongresowej w Apuk zagotowało się. Dopiero teraz wyglądało to jak apokalipsa. Zakrwawieni ludzie rzucili się do wyjść. Prezydent oszpecony krwawą dziurą w gardle zbiegł z trybuny z obłędem w oczach; zrzucił swój obszyty epoletami płaszcz i zmieszał z tłumem. Słychać było pierwsze jęki tratowanych.

– Chwila muzyki – rzucił do mikrofonu skonsternowany akustyk.

Dowódca gwardii rzucił o podłogę mapnikiem i z nadzieją krzyknął na żołnierzy, by bagnetami utorowali mu drogę. Gwardziści trzasnęli o podłogę karabinkami i wnet każdy z nich zaczął działać na własną rękę. Ich karność i wysokie morale prysnęło jak mydlany balonik.

Akker rozłożył bezsilnie ręce:

– Szefie, co robić?

– To, co zwykle – rzekł jeden z techników. – Drapać się po pupie, hy, hy, hy...

Pierwszy technik obrazu wtulił twarz w dłonie:

– Jakiś debil zalał czymś mój włochacz...

Akker był zdumiony reakcją przełożonego.

– Chwila reklamy! – wytrajkotał do mikrofonu.

– Jakiś gnojek rozpieprzył moje małżeństwo – biadolił technik obrazu. Jakaś baba rozpieprzyła moją audycję... – Załkał. – Jestem skończony...

Do studia wbiegła sprzątaczka:

– Bateryjki! – krzyknęła. Dwunastowoltowe; dwie ulice stąd! – piszczała gestykulując jak szalona.

W mgnieniu oka technicy znaleźli się przy wyjściu. Pierwszy technik obrazu z wyrazem szczęścia na bladej twarzy naciskał łokciami na plecy Akkera, by już za chwilę zniknąć za szklanymi drzwiami z napisem APUK RADIO LTD...

Kiedy studio opustoszało, Niagara podszedł spokojnie do jednego z automatów. Zerwał tabliczkę z napisem „Nieczynny" i napełnił czystą filiżankę.

Cześć! Jestem bateryjka BIO-TL 505 V12 Super. Jako najnowszy szczyt wszechkosmicznej techniki mogę usypiać Twoje dziecko, powodować, że nie będzie mu nic smakowało albo cofnąć Twoją żonę w rozwoju umysłowym. Potrafię zabić złego, a dobremu ofiarować nieśmiertelność. (Potrafię też odwrotnie, a Ty nazwiesz to niesprawiedliwym zrządzeniem losu.) Opiekuję się tym, co przed wiekami głupi uczeni mędrcy określali nic nie znaczącym słowem „Chaos". Rządzę początkiem i końcem wszystkiego, co nie mieści się w żadnym czasie. Bo tak naprawdę czasu nie ma. Jestem tylko ja i prawdopodobnie jesteś też Ty.

Mirosław MALINOWSKI

Urodził się 29.07.1964 r. w Koszalinie. Wykształcenie zawodowe, obecnie po wojsku kontynuuje naukę w technikum. Debiut w lokalnym miesięczniku „Pobrzeże" (maj-79) opowiadaniem częściowo fantastycznym „Ty też, czyli historia Onanii w pigułce". Zaczynał od poezji, ale wybiera prozę. Otrzymał w tym roku drugą nagrodę w konkursie Kołobrzeskiego Ośrodka Kultury za opowiadanie „Apteka", równie szalone jak „Technicy z klubu Futura".

(mp)

10 lat wcześniej!

19 lipca 1989 roku mija czwarty rok od śmierci Janusza A. Zajdla (1938-1985), najwybitniejszego przedstawiciela polskiej SF socjologicznej, w ostatnich latach życia niekwestionowanego lidera polskich autorów i czytelników SF. Półtora miesiąca temu, 4 czerwca 1989, wypadła inna okrągła rocznica – dziesięć lat od momentu, w którym Zajdel złożył w „Iskrach" konspekt swej najlepszej powieści „Limes inferior", załączając jako warsztatową próbkę nowelę „Dzień liftera".

Lektura tego konspektu ukazuje sposób, w jaki Zajdel porozumiewał się z wydawcami i częściowo ich zwodził. Autor prezentuje zamierzoną powieść rzeczowo, ale ostrożnie, przezornie nie dopowiadając, że w istocie będzie ona alegorycznym obrazem gospodarczych, politycznych i społecznych wypaczeń oraz ich przyczyny w Polsce schyłku lat siedemdziesiątych. Widać w konspekcie duży stopień autorskiej samoświadomości, choć porównanie książki z konspektem ukazuje, że w przypadku prozy nie sposób wszystkiego dokładnie zaplanować; powieść jest jak las, nawet autorom ukazuje swą prawdę dopiero wtedy, gdy zanurzą się w pisaniu na dobre. Z kolei motyw „różka, czułka albo antenki"... wydaje się dziś anachroniczny. Zajdel zamarkował to zakończenie, sięgając po pierwszy lepszy „konwencjonalny motyw" jaki wszedł mu pod rękę, dopiero w trakcie pisania napotkał w swoim powieściowym świecie cudotwórczynię, Alicję... Tak więc ten konspekt czytany uważnie, to bardzo ciekawy list z innej epoki, w której jednak rodzi się już nasz czas. Widać w owym liście ostateczne krystalizowanie się literackiego powołania Zajdla, widać ciekawy proces wyłaniania się pomysłu na skończoną modelową, nowoczesną polityczną powieść science fiction z tradycyjnego kształtu gatunku. (mp)

4 czerwca 1979

Konspekt powieści fantastyczno-naukowej pod roboczym tytułem

LIMES INFERIOR

(przewidywana objętość tekstu do 12 ark. autorskich)

Powieść przedstawia świat uporządkowany i ustabilizowany, w którym zrealizowano – w granicach praktycznych możliwości – wiele spośród odwiecznych dążeń i ideałów społecznych. Pociąga to za sobą szereg efektów ubocznych, których teoretycy nie byli w stanie przewidzieć, lecz efekty te są nieodłącznym składnikiem zrealizowanego systemu i działają w jego ramach, tolerowane przezeń, jak w każdym innym systemie z konieczności toleruje się przeróżne wykwity cywilizacji. Takim produktem ubocznym świata tej powieści jest l i f t e r (nie tylko on zresztą), bohater powieści. Ludzie jemu podobni stanowią margines tego społeczeństwa, tym jednak różny od marginesu w znanym nam współcześnie sensie, że nie jest on uciążliwy dla reszty obywateli. To nie pasożyt, lecz raczej konsymbiota społeczny. Jak dziś np. waluciarz, potępiany przez prawo, nie budzi zdecydowanie negatywnych uczuć u poszczególnych obywateli, którzy dobrze wiedzą, że w życiowej okoliczności mogą być zmuszeni do korzystania z jego usług – tak lifter w tamtym społeczeństwie też niejednemu, uczciwemu w z a s a d z i e obywatelowi przydać się może...

By zrozumieć kim jest lifter, trzeba znać zasady funkcjonowania omawianej społeczności. Otóż, w myśl idei likwidacji społecznych różnic, wszyscy obywatele posiadają z założenia jednakowy poziom wykształcenia – powszechne wykształcenie zwane wyższym (owa „wyższość", jak wszystko we wszechświecie, jest względna i dostosowana do realnych możliwości realizacji założenia wyjściowego...). Tym samym, znika dawne kryterium oceny społecznej przydatności, jakim był ongiś poziom wykształcenia. Z drugiej jednakże strony, niezbędne są w praktyce pewne kryteria różnicujące, choćby dlatego, że w omawianym społeczeństwie nie wszyscy muszą pracować, a istniejące stanowiska pracy wymagają ludzi o najwyższych walorach umysłowych. Kryterium staje się zatem potencjał intelektualny: ludzie są klasyfikowani według możliwości umysłowych, a nie według posiadanej wiedzy. Jest to racjonalne wyjście, bo już w czasach nam współczesnych programy nauczania nie nadążają za potrzebami życia i absolwenci przystępujący do pracy muszą właściwie uczyć się większości rzeczy na nowo, podczas pracy... A więc liczy się potencjalna możliwość przyswajania wiedzy i praktycznych umiejętności i według tej możliwości, drogą testów, segreguje się ludzi na siedem klas intelektualnych. Najinteligentniejsi – to „zerowcy". Szóstak jest najsłabszy umysłowo i w zasadzie, podobnie jak niewiele lepszy od niego piątak, nie ma szans podjęcia pracy w tym nowoczesnym, wysoce zautomatyzowanym świecie. Nie znaczy to, by ktokolwiek pozostawał bez środków do życia. Każdy dostaje zupełnie niezłe zaopatrzenie, nie jakiś tam nędzny zasiłek. Ten nowoczesny świat, ta technika i nauka, wykorzystane racjonalnie, pozwalają utrzymać wszystkich na dobrym poziomie życia. Tak więc, można jako szóstak, żyć sobie spokojnie. Co nie każdemu jednak wystarcza i niektórym chce się osiągać – w drodze doskonalenia lub inaczej – wyższe klasy intelektualne. Jest to społecznie korzystne, nawet stymulowane przez społeczeństwo: za wyższą klasę dostaje się dodatkowe premie. A ci z wyższych klas, aby nie czuli się ukarani za swój intelekt (bo oni m u s z ą pracować), dostają jeszcze dodatkowo premie według realnie wykonanej pracy.

Lifter – to taki spec, co pomaga (zwykle poprzez sprytne oszustwo) osiągnąć wyższy stopień klasyfikacyjny. Klient płaci, a lifter umożliwia oszustwo, służąc swym wysokim intelektem. Aby być lifterem, trzeba samemu mieć wysoką klasę, lecz nie można jej oficjalnie ujawniać – bo wtedy trzeba by się wziąć do uczciwej pracy, dającej, mimo wszystko, mniej korzyści materialnych i zabierającej więcej czasu... Najlepiej dla liftera, gdy ma czwórkę oficjalnie, a naprawdę – zero. (Szczegółowiej o tym w załączonym szkicu jednego z rozdziałów powieści. Zaznaczam, że tekst nie jest ostatecznie literacko i trzeba go traktować jako szkic).

Lifter – bohater powieści – jest najprawdziwszym zerowcem. Swój proceder uprawia z zamiłowania, ale też i dla niebagatelnych korzyści materialnych. Zawsze znajdzie się ktoś z pieniędzmi (występującymi w świecie powieści w zmodyfikowanej formie, lecz wszechobecnymi), czyje ambicje sięgają wyżej niż umysłowe możliwości. A o pieniądze nieraz łatwiej niż o rozum, więc lifter prosperuje znakomicie. Oczywiście, jako przestępca wobec prawa, balansuje na krawędzi

wpadki. Wprawdzie ludzie traktują liftera z pobłażaniem, choć nie bez zazdrości (te dochody!), lecz generalnie w skali społecznej proceder jest ścigany. Pojedynczy obywatel traktuje liftera jako adwokata-obrońcę pojedynczego członka społeczeństwa przed machiną społeczną. A adwokatowi – w imię dobra klienta – wolno wyrównać szanse klienta wobec machiny, nawet drogą wybiegów...

Nasz lifter wpada wreszcie. Spodziewa się najgorszego, lecz spotyka go dziwna niespodzianka: zamiast kary, zostaje przekwalifikowany na zerowca, zgodnie z poziomem umysłowym, otrzymuje związane z tym przywileje, lecz... skierowany zostaje do pracy jako laborant w jakimś instytucie, gdzie mógłby pracować zwykły czwartak. Co więcej, wobec współpracowników – trzeciaków, dwojaków i pierwszaków, ma uchodzić nadal za czwartaka! Jest zatem utajnionym zerowcem wśród ludzi o faktycznie niższej klasie niż on. Ma za zadanie udawać głupszego niż jest, a równocześnie czuwać nad pracą całego instytutu, kierować nim niemal. Wkrótce stwierdza, że dyrektor placówki – de nomine zerowiec, musiał chyba uzyskać tę klasę w drodze liftingu... O cóż więc tu chodzi?

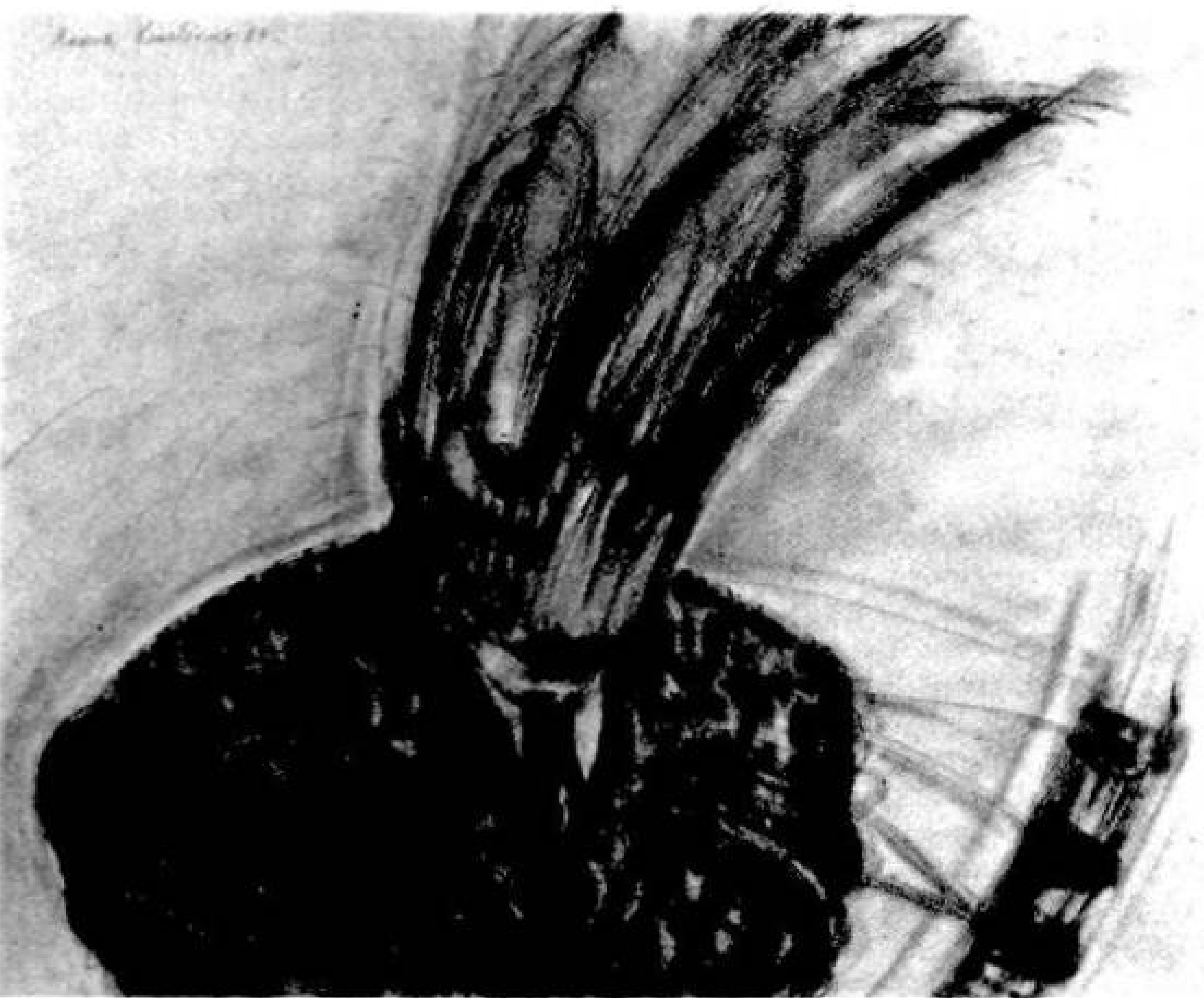
Nasz były lifter zaczyna poznawać nowe oblicze świata, który jak sądził, znał tak dobrze. Znał, lecz... z punktu widzenia czwartaka. A teraz widzi, że zerowcy – to jedyni liczący się intelektualnie członkowie tej społeczności. To na ich głowie spoczywa troska o funkcjonowanie tej całej machiny. To, co robią pierwszacy, dwojacy itd., to tylko kamuflaż dla utrzymania pewnych pozorów ich przydatności, a cała klasyfikacja od jedynki do szóstki ma na celu stymulowanie rozwoju umysłowego jedynie jako sztuka dla sztuki, bo tych mądralów nie tak znowu wielu potrzeba, a poza tym, na dole i tak nie będą nigdy zerowcami, chyba że przez lift. Oni sami oczywiście wierzą święcie w celowość i mądrość tego co robią. Zadaniem naszego bohatera i wielu innych utajnionych zerowców jest aby w to wierzyli. Podpowiada im zatem – metodą głupich uwag i pytań przygłupiego laboranta – problemy naukowe i ich rozwiązania, by utrzymać pracowników instytutu w przeświadczeniu o ich genialności – dla psychicznego zdrowia ogółu.

A tymczasem prawdziwe życie umysłowe, prawdziwa nauka – to domena wyłącznie zerowców. I nie jest wcale tak, jak wydaje się tym z niższych klas, co wzdychają tęsknie: „ach, być zerowcem!". Życie zerowca nie jest takie proste. Zerowiec bowiem zerowcowi nie równy: można być zerowcem ośmiokątnym, dziesięciokątnym, a można też być zaledwie czworokątnym czy zgoła trójkątnym. Zero okrągłe jest tylko nieosiągalnym ideałem, absolutem, abstrakcją, jak granica matematyczna ciągu wielokątów foremnych o coraz większej liczbie kątów... To nie takie proste, jak w niższych klasach. Tu liczba stopni klasyfikacyjnych jest nieskończona, ile byś nie osiągnął, zawsze ktoś może cię przeskoczyć, jeśli spoczniesz na laurach. Istnienie zerowca okrągłego jest problemem należącym do kategorii rozważań filozoficznych...

Nasz były lifter, tak świetnie radzący sobie w umownym społeczeństwie na niby, teraz zmuszony jest do największego wysiłku umysłowego, by utrzymać się i piąć w górę. Ale jest autentycznie zdolny i sprytny. Talentem i sprytem wgryza się w tę nową dla niego sytuację i dochodzi do znaczących pozycji wśród innych zerowców (a doświadczenia z liftingu przydają mu się, bo i tutaj nie zawsze gra się fair...). Jest z natury hazardzistą i to stanowi jego motywację. Zaczyna badać własności układu, w którym przyszło mu działać. Czy jest możliwy absolutny zerowiec? Obsesja okrągłego zera prześladuje go, jak wielu innych zerowców. Czy osiągnięcie szczytu zerowości – to właśnie owo sokratejskie „wiem, że nic nie wiem"?

Nasz bohater bliski jest szczytu intelektualnego, lecz wciąż daleki od rozwiązania zagadki bytu... Jest wśród najmądrzejszych, pracuje w tajnej Radzie Zerowców, która praktycznie reżyseruje całą ziemską cywilizację, rozstrzyga o najważniejszych posunięciach i przedsięwzięciach ludzkości.

Pewnego dnia, wychodząc z tajnego Sztabu Rady, zwraca uwagę na starego portiera, który od lat pełni służbę u drzwi wejściowych. Ten poczciwy stary dwojak, śmiesznawy mędrek i „chłopski filozof" bawi każdego zerowca, który wda się z nim w rozmowę, różnymi naiwnymi, niedowarzonymi pomysłami w sprawie naprawiania świata. Któż nie ma recept na naprawę świata! Ale ten portier jest zabawny i w tym co mówi, bywa czasem coś inspirującego do przemyśleń. Wszyscy zerowcy z Rady lubią go i rozmawiają z nim chętnie. Dziś jednak nasz bohater – stary już zerowiec – wychodząc z budynku zauważa, że portierowi spod przekrzywionej służbowej czapki wystaje coś jakby róg, czy może czułek albo antenka... Słaby wzrok nie pozwala dostrzec tego dokładnie z daleka, a nim się zbliżył, portier poprawił czapkę i znów wygląda normalnie, uśmiecha się uprzejmie...



Marzena Kowalewicz

*

Konspekt powyższy szkicuje jedynie główną linię fabuły. O sposobie potraktowania tematu można dowiedzieć się z załączonej próbki tekstu – będzie on utrzymany w konwencji sensacyjnej, a wymienione w konspekcie problemy serio – będą zawarte w nienachalnych podtekstach, by czytelnika nie znudzić wykładem.

Całość – wedle mojego pomysłu, wydaje mi się być konceptem oryginalnym i nie mającym żadnych „przodków" (jako całość, bo w szczegółach nie sposób ominąć pewnych konwencjonalnych motywów).

Termin złożenia tekstu – około 1 roku od podpisania umowy.

Janusz A. Zajdel

Ekranizacja „Limes inferior"

Na zamówienie Telewizji Polskiej powstał scenariusz filmu na podstawie książki „Limes inferior" Janusza Zajdla. Jego autorami są Jacek Janczarski i Waldemar Szarek. Telewizja planuje realizację trzech godzinnych odcinków. Równocześnie powstawać będzie wersja kinowa. Scenariusz zachowuje idee autora książki, ale wprowadzono tam nowe sytuacje, nowe postacie, bardziej dostosowując treść do wymogów kina i świadomości dzisiejszego widza. Autorzy scenariusza mają nadzieję, że produkcja rozpocznie się pod koniec 1989 r.

(D.M)

Pierwsze pięćdziesiąt lat (3)

Peter Nicholls

Lata „dobrego smaku"

W dekadzie lat 1938-1948 powstało niewiele radykalnych lub naprawdę oryginalnych filmów fantasy. Trwał boom horroru (podsycany horrorem wojny), lecz i ten gatunek reprezentowały przede wszystkim kiepskie kontynuacje znacznie lepszych pierwowzorów. Nowy był jedynie stopień komplikacji znacznie lepszych efektów specjalnych, staranność wykonania, przejście (w większości wypadków) na kolor i położenie największego nacisku (socjologia owego trendu nie może być bliżej wyjaśniona w ramach niniejszego tekstu) na kwestie dobrego smaku. Przeznaczenie zastąpił zwykły niepokój, duchy nabrały zwyczaju dyskretnego pojawiania się osobom pochodzącym najczęściej z wyższych sfer, diabeł stał się bardziej przewrotny niż zły, fantastyka naukowa zniknęła prawie całkowicie, wilkołaki dawały się polubić, a król torturowanych dusz i nowego horroru przybrał postać kluchowatego i smutnookiego Lona Chaney Jr. Właściwym stosunkiem do spraw nadnaturalnych stał się wyjątkowo „skomplikowany" dowcipas (jak w „Ożeniłem się z czarownicą", I Married a Witch, 1942). Najczęściej zaś brakowało po prostu idei fantastyki jako czegoś w rodzaju projekcji naszych wewnętrznych strachów i obaw. Być może sam świat oferował nazbyt wiele zwykłego, zewnętrznego strachu. Co więcej, ciemna strona życia (w wersji Hollywood) objawiła się wówczas raczej w tak zwanym czarnym filmie niż w dziełach czystej fantazji, to znaczy w filmie klasy B o policjantach, gangsterach, przeklętej miłości i zemście.

Oz i Arabia

Z drugiej strony fantasy ciągle jeszcze miała do odegrania poważną rolę dzięki filmom, które pokazywały wspaniale egzotyczną stronę życia. Udowodniła to stwarzając dwa fantastyczne światy w „Czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu" (The Wizard of Oz, 1939) i „Złodzieju z Bagdadu" (The Thief of Bagdad, 1940).

„Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu" nie jest arcydziełem, lecz jest z pewnością zabawny i słusznie uważany bywa za klasyczny, choć w swoim czasie odniósł tylko połowiczny sukces, zwracając swe wyjątkowo wysokie koszty produkcji (2,77 miliona dolarów) przez dwadzieścia lat. Jego scenariusz to, prawdę mówiąc, dzieło zespołu (pracowało nad nim co najmniej ośmiu scenarzystów), rezultatem była jednak całkiem prawdziwa, czasami nawet groźna a często groteskowa wizja świata, stworzonego przez L. Franka Bauma w 1900 roku.

Prawdziwymi gwiazdami filmu są wywodzący się z wodewilu Jack Haley, Ray Bolger i Bert Lahr, którzy grają Blaszanego Drwala, Stracha na Wróbie i Tchórzliwego Lwa; zwłaszcza Bert Lahr. Jego gra, wydoskonalona latami spędzonymi na scenie, wydobywała całą komiczną wagę każdej sylaby scenariusza. Judy Garland jako Dorothy nie odznaczyła się szczególnie – już wówczas grała smutek bardziej przekonywająco niż radość, a w dodatku była nieco za stara na tę rolę. Zamiast niej do statusu gwiazdy pretendować może A. Arnold Gillespie, przez wiele lat szef zespołu odpowiedzialnego za efekty specjalne w MGM. Efekty te – od tornada w Kansas po latającego małpoluda i dziś wydają się wspaniałe. Manczikowie (według jednego ze źródeł ponad dwustu karzełków) są odpowiednio fantastyczną przygrywką do Oz, a terrier występujący w roli Toto jest w pełni profesjonalny (choć zarobił dla swego właściciela zaledwie 125 dolarów). Niektóre z piosenek są również fantastyczne. „Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu" to rzadki przypadek filmu, który stał się klasyczny przede wszystkim dzięki stałemu powtarzaniu w telewizji.

Remake „Złodzieja z Bagdadu" z 1940 roku to kolejny w tym czasie popis ekstrawagancji efektów specjalnych. W przypadku tego filmu muzyka (niektóre piosenki są straszne!) była bardziej przeszkodą niż pomocą w odbiorze, lecz wszystko to usprawiedliwione jest dziecięcym poczuciem cudowności, które jakimś cudem „Złodziej" zdołał zachować. (Jego produkcja, w której przeszkadzały kłótnie w rodzinie Kordów, bezustanne zmiany reżyserów i konieczność przeniesienia po wybuchu wojny zdjęć z Anglii do Hollywood była nieprawdopodobnie złożona i trudna). W nowej wersji starego filmu romantyczny bohater nie jest już złodziejem lecz księciem. Rolę tę zagrał młody hinduski aktor Sabu o bardzo zaraźliwym uśmiechu – jemu to właśnie przydarza się większość przygód. Efekty specjalne dostały zasłużonego Oscara i to one (plus soczysta, baśniowa scenografia) dały temu filmowi jego wesołą, bardzo kolorową atmosferę fantasy. Na szczególną uwagę zasługują: mechaniczny latający koń, wielki dżin, monstrualny pająk, z którym walczy Sabu i latający dywan. Wszystko razem składa się na uduchowioną, eskapistyczną całość, którą ludzie tak bardzo chcieli oglądać w latach wojny. Conrad Veidt był doskonałym złym czarnoksiężnikiem.

„Dr Cyclops" (Dr Cyklop, 1940) filmowany także w technikolorze, który wówczas ciągle był nowością, to jeden z niewielu filmów fantastyczno-naukowych lat czterdziestych. Obecna w nim pseudonauka jest jednak tylko pretekstem do opowiedzenia historii wyrastającej korzeniami z tradycji gotyckiej. Szalony naukowiec w małych okularach (Albert Dekker, wyglądający podejrzanie japońsko w chwili, w której Amerykanie zaczęli obawiać się Żółtego Niebezpieczeństwa) pracuje w dżungli, jest bardzo gwałtowny i umie zmniejszać ludzi, używając do tego celu „promieni", których źródłem jest rad (!). Używa ich najchętniej na swych kolegach, większość filmu poświęcona jest pokazywaniu, jak ci nieszczęśni lilipuci unikają kotów i kur, i jak spiskują, by pozbyć się doktora, który jest już dla nich gigantem. Wszystko to z chwalebną powagą wyreżyserował Ernest Schoedsack (twórca „King-Konga") przy pomocy Hansa Dreiera i Earla Hedricka, twórców gigantycznych dekoracji mających pomniejszyć protagonistów filmu. O tym „dziele" prawie się już nie pamięta, a jest ono przecież, jeżeli chodzi o pokazanie pomniejszonych ludzi, niemal tak dobre jak „The Devil-Doll" (Diabelska lalka, 1936). Nic oczywiście nie może zepchnąć „Człowieka, który się nieprawdopodobnie zmniejsza" (The Incredible Shrinking Man, 1957) z pierwszego miejsca, jeśli chodzi o ukazanie „paranoi niewielkiego wzrostu", ale o tym później.

Gładka powierzchnia

„All That Money Can Buy" (Wszystko, co można kupić, 1941) to dobry przykład dowcipnego cudactwa, czyli hollywoodzkiego podejścia do tematyki ponadnaturalnej. Film ten oparty jest na popularnym opowiadaniu Stephena Vincenta Beneta „Diabeł i Daniel Webster", opowiadającym o młodym farmerze z Nowej Anglii, który sprzedaje swą duszę panu Scratch (Diabłu) w zamian za siedem lat powodzenia. Kiedy nadchodzi pora, by oddać dług, farmer odmawia i rozpoczyna się proces, w którym wzięty prawnik, Daniel Webster (Edward Arnold) broni swego klienta przed ławą przysięgłych składającą się z duchów wielkich amerykańskich zdrajców. Walter Huston jako Diabeł bywa w nader pogodny sposób zarozumiały, film zaś jest bardzo wyszukany i całkiem zabawny, lecz na jego gładkiej powierzchni nie ma nawet zmarszczki zwiastującej istnienie pod nią głębi nieznanego. Stało się to hollywoodzkim wzorem dla wielu skomplikowanych fantazji z lat wojny i późniejszych, czego przykładem „Uninvited" (Niezaproszeni, 1944), o którym niektóre historie filmu mówią jako o pierwszym hollywoodzkim wysiłku stworzenia prawdziwej historii o duchach.

Rozpowszechnione jest dziś przekonanie, że współczesne horrory cierpią na to, że są zbyt dosłownie „straszne" (wszędzie te flaki we krwi!) i że kiedyś robiono to lepiej, że kiedyś przerażenie rodziło się z subtelności, że szkicowano je tylko delikatnie i że pozwalano działać rodzącej strach wyobraźni widza, mogącej połączyć w jedno zaledwie sugerowane straszne kształty.

Słabość takich twierdzeń ujawniają wyraźnie „Niezaproszeni", którzy mają wyłącznie atmosferę, brak im zaś treści. Akcja, jak przystało na tani romans, umieszczona jest w sercu krainy „Rebeki": Ray Milland i Ruth Hussey grają brata i siostrę, którzy wprowadzają się do nawiedzonego domu na wybrzeżach Kornwalii. Dom zawiera pokój pełen grozy, w którym wszys-

cy źle się czują, groźny, znikający i znów się pojawiający zapach mimozy, dziwne nocne szlochy i nie jednego, lecz jak się okazuje, dwa duchy (dobrego i złego). W pełnej napięcia scenie końcowej oglądamy nawet pojawienie się upiora w postaci ektoplazmy nieco podobnej do strzępków wełny, zaś wyjaśnienie całej tajemnicy (nieszczęśliwe żony i rodzinne sekrety) nie przekracza poziomu magazynu dla kobiet. Soczyście romantyczna muzyka Victora Younga służyć może tylko umocnieniu przekonania, że film jest przegadany, a cała jego gładkość i pozorna komplikacja treści tyle ma z prawdziwego życia, co powieści Barbary Cartland. Hollywoodzka fantasy tego okresu jest tylko banalna i milutka. Zamiast cudu, dostojności i (czasami) prawdziwego strachu charakteryzującego to, co w fantasy najlepsze, Hollywood oferował ersatz, substytuty, które nie zmuszały do zastanowienia i nie bawiły.

Oswojenie potworów

Wszystko to, co powiedzieliśmy wcześniej, dotyczy także horroru lat czterdziestych, kiedy to Amerykanie zaczęli już traktować Draculę, potwora Frankensteina i Mumię jako bohaterów ludowych, zaangażowanych w coraz to nowe zagadki stawiane im przez wytwórnię Universal. Do tej listy dołączył także Wilkołak. Gra Lona Chaneya Jr., aktora o oczach spaniela, w „The Wolfman" (Wilkołak, 1941) zredukowała status tej nieszczęsnej istoty z gotyckiego potwora do domowego zwierzątka. Najdobitniej wyraził się w tym duch Hollywood, udomawiający siły zza grobu lub spoza sfery rzeczywistości i sprowadzający je do roli znanych i lubianych przyjaciół. Mimo to (lub z tego powodu) film był wielkim sukcesem i mocno przyczynił się do stworzenia tych szczegółów legendy wilkołaka, które niewiele zawdzięczały wyobraźni ludowej, a mnóstwo niemieckiemu pisarzowi Carlowi Siodmakowi, czyli współscenarzyście filmu. Najsłynniejszym jest oczywiście cygański częstochowski wierszyk recytowany przez Marię Ouspenską: „Even the man who is pure in heart/ And says his prayer by night/ May became a wolf when the wolfbane blooms/ And the autumn moon is bright" /nawet mężczyzna o czystym sercu modlący się co noc/ może stać się wilkołakiem gdy kwitnie tojad/ i jesienny księżyc lśni/.

Prawdopodobnie słabością historii o wilkołaku jest jej fatalistyczna konkluzja mówiąca, iż z gruntu dobry człowiek może zmienić się w bestię i niewiele da się poradzić na tę kosmiczną niesprawiedliwość. Pomysł na bestię wewnątrz każdego z nas jest zrealizowany znacznie lepiej w „Ludziach-kotach" (Cat People, 1942) (o czym później), choć jeden z krytyków, R.H. Dillard w „Horror Films" (1976) twierdzi inaczej. *Ten film powtarza historię Upadku* – pisze o „Wilkołaku", ale główny z przytoczonych przez niego dowodów wygląda raczej słabo (bohater, Larry Talbot, w dzieciństwie kradł jabłka). W każdym razie intelektualny podtekst nie ujawnia się, jeżeli sam tekst jest zbyt ubogi. Film zaś jest sztuczny i niemal kładzie go nieudana charakteryzacja Jacka Pierce'a, dzięki której Lon Chaney Jr. wygląda nie jak wilkołak, lecz jak rosyjski chłop z wełnianą czapą na głowie i zaniedbanymi zębami.

Coraz więcej duchów

Najkosztowniejsza fantasy w dziejach Hollywood lat czterdziestych pominęła potwory zachowując zainteresowanie duchami. „Portrait of Jennie" (Portret Jennie, 1948) jest lepszy od „Niezaproszonych", a jego romantyzm trafia głębiej. Film ten opowiada naprawdę niesamowitą historię artysty (Joseph Cotten), głęboko zainteresowanego młodą dziewczyną (Jennifer Jones), którą często spotyka samotną w parku, gdy wokół niej nie ma nikogo. Dopiero po kilku spotkaniach orientuje się, że dziewczyna dorasta z nienaturalną szybkością. Najpierw jest nastolatką, a w kilka miesięcy później już piękną kobietą. Rodzi się miłość. Dziewczyna, oczywiście, jest duchem, jej niektóre odezwania świadczą, iż wyobraża sobie, że żyje w czasach, które dla Cottena są daleką przeszłością. Dowiedziawszy się, że prawdziwa Jennie utonęła w katastrofie przy Cape Cod, Cotten szaleńczo próbuje



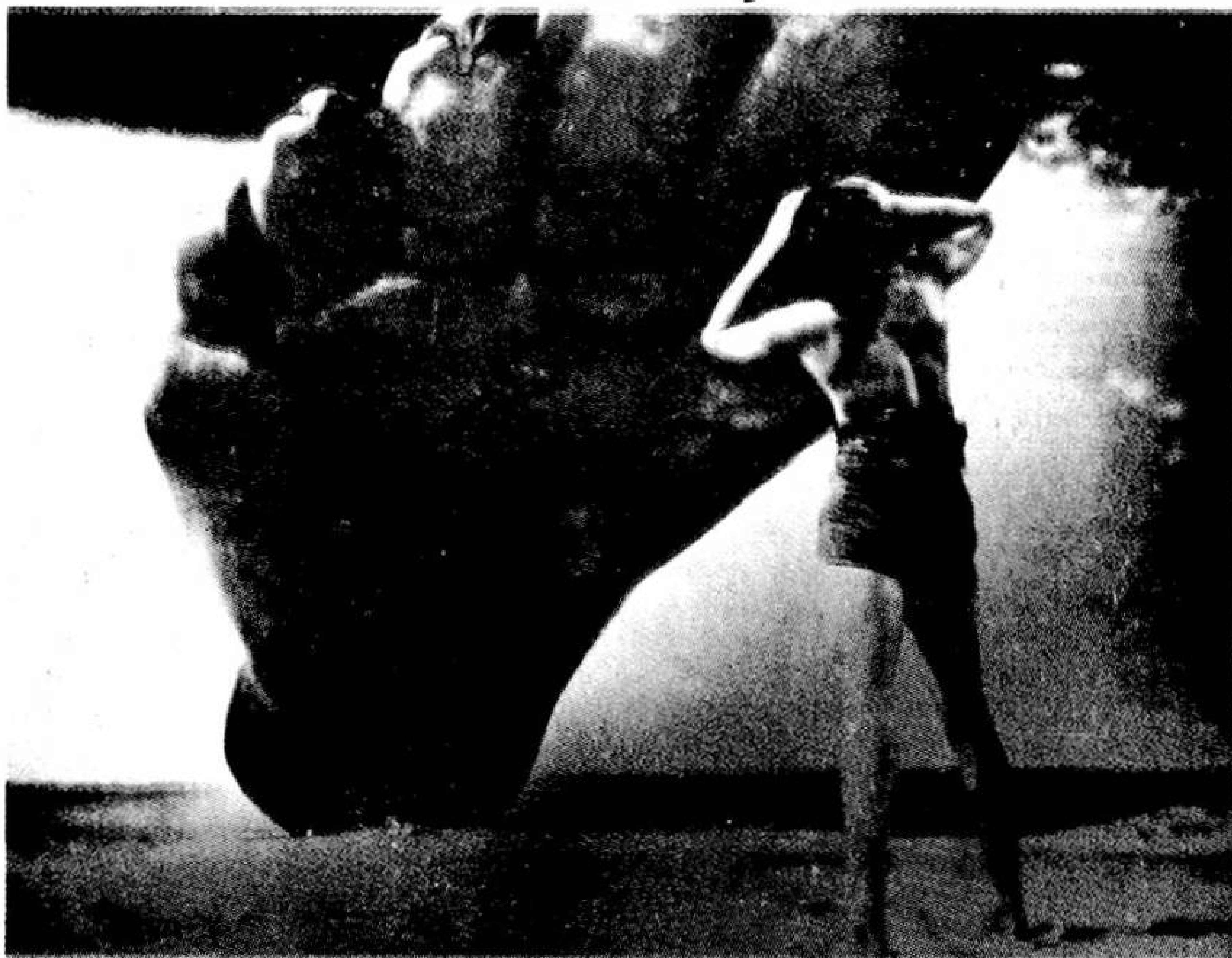
„Czarnoksiężnik ze Szmaragdowego Grodu", 1939

zapobiec jej dawno zaszłej śmierci w potężnym huraganie, który w oryginalnym, czarno-białym filmie zabarwiony był najpierw na zielono, a kończył się pełnym technikolorem. Jego wysiłki zmierzające do oszukania losu kończą się klęską.

Reżyserem filmu był William Dieterle, twórca „Wszystkiego, co można kupić". Siła tego dzieła bierze się z intensywności uczuć, emanujących z głównych postaci (nieziemski, delikatny i nerwowy wdzięk Jennifer Jones ma tu oczywiście największe znaczenie) oraz i z potęgi samego tematu opowieści mówiącej przede wszystkim o tym, że powrót do świata dziecięcej niewinności jest niemożliwy. Rozpaczliwe wysiłki Cottena, pragnącego pozostać z Jennie, są wysiłkami kogoś, kto próbuje ominąć aniołów z płonącymi mieczami i powrócić do raju. Pełny prawdziwych emocji film dociera do naszego serca z kilku doskonale wypracowanych powodów. Najważniejszym z nich jest oczywiście ten, że Jennie nie wie, iż sama jest duchem, ważną wydaje się także artystyczna niedoskonałość Cottena, romantycznego i wtórnego, którego jedno tylko dzieło, portret Jennie, ma w sobie jakąś siłę. Film zdobył Oscara za efekty specjalne, nie stał się jednak wielkim komercyjnym sukcesem z tego być może powodu, że jest raczej europejską w swym duchu opowieścią o nieszczęściu i zawiedzionych nadziejach. Zrobiony z uczuciem, wywierający nieodparte wrażenie, w ciągu wielu lat zdobył sobie jednak status pomniejszego klasyku fantasy.

To samo zdarzyło się również angielskiej wprawce w dobrze wykształconym, prawdziwym filmie o duchach – „U progu tajemnicy" (Dead of Night, 1945). Film ten składa się z sześciu krótkich nadnaturalnych opowieści połączonych dziwną historią koszmaru pewnego architekta, który to koszmar na samym końcu (często nie oglądanym, ponieważ na ekranie pojawiają się już napisy) okazuje się, być może, prawdą. Dwie najlepsze z nowelek reżyserował Cavalcanti. „Świąteczne przyjęcie" to opowieść o dziewczynce, opiekującej się dzieckiem w pokoju, obok którego toczy się zabawa i odkrywającej, że chłopczyk został zamordowany przez swoją siostrę wiele lat temu. „Lalka brzuchomówcy" zaś (najsłynniejszy z epizodów) jest opowieścią o brzuchomówcy granym przez Michaela Redgrave'a, którego ogarnia szaleństwo, podczas gdy jego lalka ożywa. Na zakończenie mówi on i działa ze wszystkimi manieryzmami lalki, która nim owładnęła. Najsilniej jednak działa na widza „Nawiedzone lustro" w reżyserii Roberta Hamera – historia współczesnego, mieszkającego na przedmieściu, typowego małżeństwa, dostającego się pod wpływ starego lustra, w którym odbija się potężna i groźna atmosfera XIX wieku. W końcu lustro wybucha płomieniem, niszcząc jednocześnie duszę nudnego, młodego, współczesnego męża.

Film ten jest niesłychanie wstrzemięźliwy, choć bardzo nastrojowo pokazuje strachy, przede wszystkim te ogarniające górną warstwę średniej klasy. W Zjednoczonym Królestwie w latach 1937-1959 horrory podlegały ścisłemu nadzorowi cenzury (klasyfikowano je pod literą „H" oznaczającą, że mogą je oglądać ludzie powyżej 16 roku życia) lub zakazywano ich rozpowszechniania. Wszystkich filmów oznaczonych literą „H" nie wolno było wyświetlać pomiędzy 1942 a 1945 rokiem. Wyprodukowanie „U progu tajemnicy" w 1942 roku było więc aktem odwagi, nic dziwnego też, że niektóre



„Złodziej z Bagdadu", 1940

jego części wydają się dziś tak „taktowne", że niemal pruderyjne. Wysiłki twórców uwieńczone zostały sukcesem, cenzor opatrzył ten niewątpliwie dobry film znakiem „A" dopuszczając do oglądania go przez młodszych widzów pod opieką dorosłych.

Val Lewton

Do tej pory interesowały nas dobre, lecz całkiem konwencjonalne produkcje komercyjnego kina fantastycznego w latach czterdziestych. W środku pustyni przeciętności tkwiła jednak niezwykła oaza w postaci niskobudżetowych horrorów produkowanych przez Vala Lewtona dla RKO Radio w latach 1942-1945. Filmy te były dziełem małej, do pewnego stopnia niezależnej grupy, oszczędzającej na kosztach produkcji gdzie tylko się dało przez wykorzystywanie usług mniej znanych, kontraktowych aktorów i istniejących już dekoracji. Lewton pracował z trzema reżyserami: Jacquesem Tourneurem – „Ludzie koty" (Cat People, 1942), „I Walked with a Zombie" (Spacerowałem z Zombie, 1943), „The Leopard Man" (Człowiek-lampart, 1943); Markiem Robsonem – „The Seventh Victim" (Siódma ofiara, 1943), „The Ghost Ship" (Statek duchów, 1943), „Isle of the Dead" (Wyspa śmierci, 1945), „Bedlam" (Szpital wariatów, 1946) oraz z Robertem Wise – „The Curse of Cat People" (Przekleństwo ludzi kotów, 1944), „The Body Snatcher" (Porywacze ciał, 1945). Chociaż wszystkie te filmy mają momenty niesamowite, cztery z nich („Leopard Man", „Ghost Ship", „Body Snatcher", „Bedlam") nie należą w ogóle do kina fantastycznego. Zajmę się tutaj dziełami Jacquesa Tourneura, który – zgodnie z sugestiami krytyki – odniósł największy sukces w utrwaleniu swej osobowości w filmach produkowanych w istocie przez inteligentny zespół.

Pierwsza uwaga odnosi się do wszystkich dziewięciu produkcji Lewtona, włączając w to reżyserowane przez Tourneura – pozostają one w zgodzie z opisanym już schematem Hollywood lat czterdziestych: dobry smak, powściągliwość, pewna sceniczność (wyjątkiem były potwory Universalu – „Wilkołak" podawał niemal wprost swe wątpliwe, straszne walory). Mimo wszystkich pochwał, jakich doczekał się Lewton z racji swego taktu, nie za ten fakt się go pamięta, ważniejsza wydaje się duszna, klaustrofobiczna, ciemna jakość jego produkcji – poczucie beznadziejności w obliczu niezdefiniowanego zagrożenia, które może być najzupełniej subiektywne, zdolne jest jednak stworzyć neurotyczne lecz gwałtowne napięcia, a w ostateczności nawet przerażenie.

„Ludzie koty", fotografowany jak większość najlepszych produkcji Lewtona w wysmakowanym stylu chiaroscuro (mnóstwo cieni i światło z góry) przez Nicholasa Musuraca, opowiada o projektantce mody (Simone Simon) pochodzącej z Serbii i obawiającej się, że może być „kotołakiem". Zakochuje się ona i wychodzi za mąż, ale nie żyje z mężem z obawy, że orgazm mógłby spowodować jej przekształcenie w bestię, w stwór przypominający panterę; element seksu jest jednak raczej sugerowany niż dokładnie opisywany. Żona odwiedza psychiatrę, który najwyraźniej rozumie naturę jej problemu. W międzyczasie mąż poznaje inną kobietę, prześladowaną (choć nie atakowaną) przez niewidoczną panterę. Psychiatra, próbując zgwałcić żonę, pada ofiarą podobnego do kota stworzenia, rani je ukrytą w lasce szpadą i umiera z powodu odniesionych ran. Film kończy się, gdy Irena (żona) uwalnia z klatki w zoo panterę (niemal natychmiast przejechaną przez samochód), po czym umiera.

Oczywiście jest to historia w typie upiornego romantyzmu tak lubianego przez magazyny typu „Weird Tales". Włożono jednak wiele wysiłku (użycie obrazu Goyi i poematu Johna Donne), by uczynić ją bardziej „artystyczną". Siła filmu leży w ukazaniu seksu skrępowanego, choć elementy freudowskie są trochę zbyt nachalne – symbole falliczne (laski z szablą w środku lub klucze) pojawiają się przypadkowo wszędzie tam, gdzie pojawia się także Irena. Tourneur jest jednak mistrzem w tworzeniu atmosfery, co łatwo dostrzec choćby w scenie, w której Alice (ta druga) kąpie się samotnie w krytym basenie i nagle czuje obecność czegoś groźnego (jej ubranie zostaje podarte na strzępy, najwyraźniej przez pazury) oraz w scenie, w której wędruje przez park i nagle czuje się śledzona. Troskliwie budowane napięcie rozładowuje się w czymś, co może być sykiem atakującego, wściekłego kota a jest tylko dźwiękiem, który wydają pneumatyczne hamulce autobusu, w którym kobiecie udaje się uciec.

Tak jak „Ludzie koty", „Spacerowałam z Zombie" implikuje nadnaturalne wyjaśnienie zdarzeń, dopuszcza jednak także interpretację psychologiczną (celem zainteresowania chodzących do kina racjonalistów). Film nosi jeden ze zwodniczych krzykliwych tytułów, narzuconych Lewtonowi przez RKO (odnosił on olśniewające zwycięstwa wyszukując eleganckie wyjś-

cia z sytuacji, w jakiej stawiały go tak gruboskórne propozycje). W rzeczywistości „Spacerowałam z Zombie" jest delikatny, niemal bezcielesny w sposobie, w jaki tworzy uczucie nierealności. Fabuła, świadomie modelowana na wzór „Jane Eyre" Charlotty Brontë opowiada o pielęgniarce zatrudnionej przez właściciela plantacji na Haiti do opieki nad jego somnambuliczną żoną. Czarni wyspiarze wierzą, że kobieta owa jest Zombie, „żywą umarłą". Wspaniałe w swej atmosferze sceny filmu pokazują pielęgniarkę idącą wraz z żoną nocą przez pola szeleszczącej trzciny cukrowej. Kobiety mijają zwisające symbole kultu voodoo i szukają pomocy szamana, który nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, okazuje się teściową żony! Teściową, która świadomie podsyca zabobony tubylców celem skłonienia ich do korzystania z ortodoksyjnych sposobów leczenia.

Film czyni użytek z wielu czarnych aktorów i robi to z godnością w owych czasach niespotykaną. Darby Jones jest wspaniały jako wysoki, poważny zombie – istota, której z pewnością nie trzeba współczuć, kiedy wyłania się przed ubranymi na biało, wędrującymi przez pola trzciny kobietami. Obserwuje też ciało żony plantatora niesione do morza, gdy na końcu filmu zostaje ona zabita przez swego pijanego i zakochanego w niej szwagra. Wydaje się, że jest on nieruchomym symbolem tego sposobu życia, na który nie miało żadnego wpływu melodramatyczne pojawienie się „białego" świata, świata, który tylko na krótko zetknął się z jego światem. Film nie wyjaśnia, czy żona rzeczywiście padła ofiarą kultu voodoo, czy też jest po prostu szalona. Zapewne ważniejszy jest podtekst filmu; z jego konfliktowych obrazów wynika wyraźnie starcie między eteryczną, podobną do śmierci „białością" i seksualną pruderią a pulsującym rytmem bębnów voodoo, symbolizującym najwyraźniej seksualne ciepło.

Filmy Lewtona wywarły pewien wpływ na technikę kina fantastycznego pokazując, w jaki sposób można tworzyć tanio nierealną atmosferę. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że dokonał on więcej łącząc mitologie fantasy z opierającą się (prawdopodobnie) na podobnych przesądach ikonografią postfreudyzmu. Przedstawione w nich ciemne tajemnice, pojawiające się gdzieś, na granicach tego, co dostrzegamy na co dzień, symbolizują zamieszanie panujące w umyśle współczesnego człowieka.

Tymczasem w Europie...

Może się to wydać dość zaskakujące, ale w Niemczech lata wojny stworzyły zapotrzebowanie na lekką fantastykę, podobnie jak stało się to w Ameryce – czego dowodem działalność Hollywood. Dwudziestopięciolecie słynnej wytwórni Ufa wypadało w 1945 roku, a „Przygody barona Münchhausena" (Baron Münchhausen, 1943) miały być drogim i spektakularnym sposobem uświetnienia tej rocznicy.

Stworzona przez Rudolfa Ericha Raspe postać ekscentrycznego barona była niezwykle popularna wszędzie tam, gdzie używano języka niemieckiego (i nie tylko tam). Jej filmowe wersje, poczynając od francuskiej z 1909 roku, pojawiały się często, lecz najlepszymi z nich są najprawdopodobniej właśnie ta z 1943 roku i czeska, częściowo animowana a częściowo aktorska, z 1961 roku. Reżyser filmu niemieckiego, Węgier Josef von Baky, użył wspaniale melancholijnych, pastelowych kolorów filmu Agfa w tej gorzkiej, pełnej erotyzmu fantasy dla dorosłych. Film rozpoczyna się kostiumowym balem w XX wieku; jeden z gości, baron Münchhausen, okazuje się wyjątkowo stary (choć na oko jest młody i przystojny). Sekret wiecznego życia ofiarował mu czarnoksiężnik Cagliostro w zamian za wyświadczoną niegdyś przysługę. Film cofa się w retrospekcjach do wydarzeń z czasów młodości barona – wydarzeń zabawnych i wcale niekoniecznie fantastycznych. A kiedy już zdarza się coś nadnaturalnego, pokazane jest to z przyjemną dla oka rzeczowością jak lot na armatniej kuli do tureckiego frontu, biegacz biegnący z Turcji do Wiednia i powracający do Turcji w ciągu godziny, podróż na Księżyc, gdzie głowy żyją osobno a ciała osobno, róg myśliwski, którego dźwięk zamarza i rozlega się dopiero przy kominku, obraz zaczynający żyć. Walka szermiercza w Wenecji odbywa się przy pomocy świetlistych szabel, znacznie lepszych od tych, które widzieliśmy w „Gwiezdnych Wojnach". Münchhausen odnosi o wiele więcej sukcesów miłosnych niż grubawy i starzejący się Casanova i bardzo dobrze radzi sobie z Katarzyną Wielką, Elżbietą d Este z Wenecji i wieloma innymi słynnymi damami. Elegancki, stylowy i może nieco zimnokrwisty film wydaje się być antynazistowski, choć zawarte w nim odniesienia do polityki (wspomnienie o rewolucji w Meksyku) są bardzo głęboko ukryte.

W tym samym okresie Francuzi mieli pewne kłopoty z robieniem filmów pod okupacją niemiecką. Krytycy, obejrzawszy niektóre z tych dzieł już po wojnie, dostrzegli we francuskim kinie tego okresu ucieczkę w świat fantazji, bez nadziei na przyszłość – jak napisał Richard Griffith w „The Film Till Now" (1960). O „L'Eternal Retour" (Wieczny powrót, 1943) Jeana Dellanoy, powstałym według scenariusza dramaturga i artysty Jeana Cocteau, powtórzeniu we współczesnych realiach historii Tristana i Izoldy, krytyk Richard Winnington napisał: *Wszechobecny nastrój klęski sublimujący się w śmierci... danie pozwolenia na tę produkcję musiało sprawić nazistom prawdziwą przyjemność... kupa żałosnych tricków... często wspaniale pięknych w realizacji, lecz zgniłych.* Cóż, napisano to w okresie socrealizmu, w którym to, co fantastyczne, traktowano często jako nieprzyzwoity eskapizm.

Ta opowieść o skazanej na zagładę miłości ożywiona jest pojawiającymi się często fantastycznymi obrazami: czarną szarfą wywianą z łodzi, powiewającymi, jasnymi włosami kochanków (które krytycy traktowali jako jeszcze jeden znak nazizmu – w rzeczywistości Izoldę grała Madeleine Sologne, której mąż ukrywał się jako Żyd).

„L Eternal Retour" wydaje się dziś palcówką, którą Cocteau ćwiczył przygotowując się do dwóch swych wielkich filmów fantastycznych: „Piękna i Bestia" (La Belle et La Bête, 1946) i „Orfeusz" (Orpheus, 1950). Oba filmy odniosły sukces, choć nie były w żaden sposób komercyjne, lecz bardzo świadomie artystyczne. „Piękna i Bestia" zaczyna się od sceny przypominającej do złudzenia flamandzki obraz. Następnie przeistacza się szybko w groźny świat baśni, kiedy ojciec, a po nim córka, bohaterka filmu, wkraczają do niesamowitego zamku Bestii. Bohaterka pragnie złożyć ofiarę z samej siebie, zastępując w ten sposób swego ojca. Zamek jest przedziwnym, nawiedzonym miejscem, w którym trzymane przez ludzkie ręce kandelabry wskazują drogę w głąb korytarza, nie brak także żywych posągów. Bestia wcale nie jest tak okropna, jak twierdzą to stare baśnie – jej lwia głowa ma w sobie pewien majestat; jest ona też wystarczająco łagodna, by uczynić jej końcową transformację w księcia mniej zaskakującą niż mogłaby być. W zakończeniu filmu, we wspaniałej scenie z wielkiego romansu, frunie ona wraz z Piękną do nieba, do istniejącego gdzieś raju uświęconej miłości. Jak na ćwiczenie w romantycznej symbolice, film nie jest specjalnie erotyczny – Cocteau miał zdecydowanie wyidealizowaną, dekoracyjną i nie z tego świata wizję kobiet, a sam pełnię szczęścia znajdował w ramionach mężczyzn – książę – Bestia grany jest przez jego wieloletniego kochanka Jeana Marais. Dopełnia to jednak alegorycznej, spójności jego dzieła – wystylizowanego, często spokojnego, czasami makabrycznego, zawsze żywego i twórczego.

„Piękna i Bestia" to film w całości poświęcony stworzeniu przekonywającego, fantastycznego świata. „Orfeusz" jest jednocześnie bardziej świadomie „literacki" i związany z codziennym życiem. Wydaje się zbyt spójny, by pamiętać go tylko za wkład, jaki wniósł do kina fantastycznego, za czarnych motocyklistów, jeźdźców Śmierci, lustro, którego płaszczyzna znika otwierając przejście w próżnię krainy martwych, piekielny wiatr poruszający ludzi w zwolnionym tempie snu, samochodowe radio nadające fragmenty wierszy (Apollinaire'a) jako kierowane z innego świata wiadomości dla Orfeusza. Fabuła powtarza znany mit współczesnymi słowami i sprawia czasami wrażenie silenia się na głębię i znaczenie. Poeta, kochany przez swą żonę Eurydykę i przez Śmierć, grany przez Jeana Marais, jest nieco zbyt drewniany, by przekonywająco wyjaśnić głębię miłości, którą budzi. Lecz jako próba wyjaśnienia jedności Widzialnego i Niewidzialnego (w ten sposób tłumaczył to sam Cocteau) film ten pozostaje doskonały, a „strefa" poza lustrem to osiągnięcie niezwykłe. W niczym nie przypomina ona obrazu Piekła, który mógł mieć widz, pozostaje jednak w jakiś sposób piekielna. Za swe scenograficzne osiągnięcia będzie Cocteau pamiętany dłużej niż za zbyt pompatyczne i zbyt „literackie" wyobrażenie miłości i śmierci, będące czymś w rodzaju romantyzmu z wygodnego fotela, którego symbole (lustra, róże) wydają się tak rzeczywiste jak to, co symbolizują.

W roku, w którym powstał „Orfeusz" (1950) pojawiły się skromne początki innego rodzaju fantastycznego kina. Powojenny świat postępu, techniki i bomby „A" stworzył własną, zupełnie odmienną mitologię.

Przełożyli:
Krzysztof Sokołowski
Paweł Ziemkiewicz

Skąd się bierze dobro?

Odwieczny to temat na „długie, nocne rodaków rozmowy”: czy lepiej żyć na kolanach, czy umrzeć stojąc? Sławić Stanisława Augusta Poniatowskiego za obiady czwartkowe i za budowę warszawskich Łazienek, czy chylić czoła przed szaleńczymi zrywami powstańczego bohaterstwa? Pisarz, żyjący pod naszą szerokością geograficzną i traktujący swe powołanie poważnie, nie uniknie podjęcia tego dylematu, przy którym hamletowskie „być albo nie być?” zakrawa na wydumane rozterki umysłu zgnuśniałego w dobrobycie. Uchylenie się, nabranie wody w usta, stanowi odpowiedź najbardziej chyba dobitną z możliwych.

Nie taję, iż wypowiedzi rozmaitych literatów z mianowania, na które natykam się ostatnio w prasie i telewizji, napawają mnie niejaką odrazą. Przytłaczająca większość krajowej literatury dała w ostatnim dziesięcioleciu plamę, po której nie pozostało jej nic innego, jak – excusez le mot – stulić pysk i zejść ludziom z oczu. Najuważniejszy czytelnik „głównego nurtu” nie znajdzie w nim śladu bezsennych nocy, desperackich porywów nadziei ani totalnego skołowania umysłów, nie mówiąc już o podjęciu pytań, które większość Polaków wymierzała w tym czasie otaczającemu ich światu (nie liczę tu oczywiście pisaniny polegającej na dorabianiu fabułek do propagandowych wstępniaków). Urzędowe „sumienia narodu” oddawały się pustym gierkom słownym i bujaniu w oparach wysokoartystycznych abstrakcji, i nie przebaczaj im Panie, bo dobrze wiedzieli co czynią i za ile. Można było inaczej – dowodzi tego kilka książek, które dopiero teraz doczekały się oficjalnych wydań.

Pozostaje ogromną zasługą polskiej fantastyki, że oparła się kuszącym finansowo ofertom didulenia o niczym i podjęła sprawy, które najboleśniejszym cieniem kładły się na sercu. Czytelnicy nagrodzili ją za to uznaniem i poczytnością, literaccy uzurpatorzy – wzgardliwym milczeniem lub niechętnymi pomrukami o „doraźnej publicystyce” albo „znikomym skutku artystycznym”. Żałosne to i nie warte gadania.

Edmund Wnuk-Lipiński należy do tych właśnie pisarzy, którzy mieli odwagę nie czekać *aż się przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytuń uleży*. Debiutancka powieść „Wir pamięci”, acz wydana tylko raz i w mizernym nakładzie, zapewniła mu mocną pozycję w panteonie polskiej SF. Na druk drugiej części rozpoczętego tą powieścią cyklu czekał sześć długich lat. Nie sposób ustalić, czy zawinił tu li tylko nasz powszedni, wydawniczy bardak, czy też dołożyło się do niego czyjeś kunktatorstwo. Dostaliśmy „Rozpad połowiczny” późno – nie powiem „za późno”, bo nie stracił on na wartości, choć brzmi dziś inaczej niż w gorących czasach swych narodzin. Osłabła pokusa dopatrywania się w fabule nazbyt dosłownych odniesień do konkretnych osób i wydarzeń. Łatwiej teraz odebrać ten tekst tak, jak przystoi odbierać fantastykę socjologiczną: jako metaforę, w której daje się świadectwo prawdzie nie przez przemycanie niecenzuralnych chwilowo szczegółów, ale przez uchwycenie prawidłowości i ogólnych zasad rządzących społeczeństwem, które wydało autora.

Zacznijmy od tego, od czego zawsze powinno się zaczynać rozmowę o książce: jest ona napisana z wielką biegłością i czyta się na jednym oddechu. Oczywiście wartka fabuła i dobrze zbudowane zdania to jeszcze za mało, by niesklonny do rozdawania laurek recenzent wchodził z miejsca na najwyższy ton. „Rozpad połowiczny” jest powieścią, w której spora część czytelników znajdzie siebie, swoje chowane głęboko emocje i pytania, które musieli sobie swego czasu zadawać. Co właśnie z kolei sprawia, że czyta się ją na jednym oddechu – przy okazji udało mi się wreszcie wyartykułować, na czym moim zdaniem polega naprawdę dobra literatura.

Fabularnie kontynuuje „Rozpad” wątki z „Wiru pamięci”. Długi i Karden, twardziele wywijający się służbom specjalnym Apostezjonu, w poprzedniej powieści wpadli w końcu w łapy przeciwników. Teraz lądują w ośrodku resocjalizacyjnym, jednym z kilku w państwie-wyspie o najdoskonalszym z możliwych ustrojów. Tam, przy pomocy „humanistycznych metod” – to znaczy pięścią, gumą i elektrowstrząsami, dozowanymi według naukowych recept – przerabia się podobne im elementy wywrotowe na lojalnych i w pełni pogodzonych z systemem obywateli. Metoda „leczenia” nieprzystosowanych, nieodparcie kojarząca się z tomami wspomnień drukowanych bardzo drobną czcionką, zakłada przede wszystkim zniszczenie psychiki ofiary i załamanie jej systemu wartości. Potem, na gruzach dawnej osobowości pacjenta mogą psychosyntetycy wznosić przepisowe gmachy obłudy i wiernopoddaństwa.

Na pobyt w ośrodku Długiego i Kardena patrzymy także oczami jego pracowników, wreszcie – kierownika ośrodka, jednego z głównych „zarządców” Apostezjonu. Ten z kolei, uczestnicząc aktywnie w posiedzeniach Rady Ekspertów, pozwala czytelnikowi wniknąć w drugi z fundamentalnych dla powieści wątków: otóż doskonale dotąd funkcjonujący system zaczyna się chwiać. Dochodzi do niezrozumiałych dla Ekspertów zamieszek, w końcu na kawałku wybrzeża powstaje Strefa: miejsce, gdzie w oplocie zasieków i czujnie nastroszonych luf kilka tysięcy desperatów pobiera lekcje zapomnianego już dawno „normalnego” życia. Zawzięci starcy władający Apostezjonem znają oczywiście stosowne lekarstwo. Nazywa się ono Czarnym Batalionem i morduje wszystko, co się rusza. Pytanie tylko, kiedy go użyją, i czy uciekający do Strefy bohaterowie zdołają osiągnąć brzeg morza, zanim zryją go traki wozów pancernych.

Znakomicie udało się autorowi spleść w fabularny węzeł losy kilku wyrazistych, szarpanych rozterkami postaci, naszkicowanych z dużym znawstwem tajników ludzkiej duszy. To jeden z zysków puszczenia się na wieloksiąg. Odpadała nam główna zmora social fiction w postaci bohaterasnuja, który mozolnie dowiaduje się, że go okłamano i poznaje prawdę o swoim świecie. Przerobiliśmy to w poprzedniej powieści, teraz możemy skupić się nad współtwórcami i ofiarami systemu. To zresztą roboczy i upraszczający podział, bo w tego typu najdoskonalszych urządzeniach społecznych większość ludzi jest w różnych proporcjach zarazem jednym i drugim. W powieści najdobitniejszym tego przykładem są pracownicy ośrodka, wśród których nie brak tegoż ośrodka, jeśli można to tak nazwać, absolwentów. Mistrzowsko oddał Wnuk-Lipiński tę duchową akrobację warstw wyższych, na której oparły się fundamenty dwudziestowiecznych totalitaryzmów. Sama przemoc do funkcjonowania ustawionego na głowie społeczeństwa nie wystarcza. Potrzeba jeszcze efektownej ideologii i łgarstwa na wielką skalę. Ale i one niewiele by dały, gdyby nie wychodziła im naprzeciw zagnieżdżona w człowieku dążność do samookłamywania się, do wrastania całą duszą w dwójmyślenie. Oto jest smarowidło, dzięki któremu społeczny obłęd może trwać.

Ów umysłowy taniec na linie z przywdziewaniem coraz to nowych masek, w którym doskonale potrafią obywatele Apostezjonu pogodzić wiedzę szeptaną i wysłuchaną w dywersyjnych rozgłośniach z oficjalną zewnętrznością, ukazuje Wnuk-Lipiński bardzo ciekawie. Śmiem twierdzić, że ciekawiej niż inni autorzy, wliczając w to samego Orwella, bo analiza ta dotyczy nie jednej zmiażdżonej osobowości, ale całych grup społecznych. To nic, że miłość do Wielkiego Brata nie jest zbyt szczera, grunt że wystarcza – ostatnie odruchy uczciwości można skanalizować dzięki ucieczkom w narkotyczne orgie. Rozwikłanie łamigłówki tłumu, który czynnie popiera władców, szepcząc przy tym o ich świństwach, tego cisnącego się nad historycznymi opracowaniami pytania „jak to w ogóle było możliwe?” jest bodaj czy nie największym osiągnięciem pokolenia literackiego, które stworzyło fantastykę socjologiczną (bo Wnuk-Lipiński nie jest jedynym, który ten temat podjął). Następne pokolenie już nie byłoby w stanie tego objaśnić. Świat „czwartej generacji” był już inny, bardziej brutalny, ale i znacznie prostszy.

Mnie osobiście bardziej chwyciło inne pytanie, równie silnie wpisane w powieść: jak to się dzieje, że tak doskonały system zniewolenia jednak się rozpada, choć, na razie, tylko połowicznie? Skąd wzięła się Strefa, dlaczego lojalni, pokorni obywatele nagle zaczynają łamać prawa, które wrosły im w mózgi, jak obroża w psią szyję? Oni sami, przesłuchiwani przez służby specjalne, nie potrafią tego sensownie wyjaśnić. Nie rozumie tego też żaden z Ekspertów, nie pojmuje nawet własnego postępowania najstarszy z nich, profesor Nemeczek. To w ogóle jeden z najznakomitszych bohaterów, jakiego kiedykolwiek powołała do życia SF: oto jak w najdoskonalszym nawet ogniwie systemu odżywa ni stąd, ni zowąd istota ludzka, pod wpływem kilku niejasnych zdań i wspomnień, które jeszcze parę lat wcześniej odsyłał z rechotem na śmietnisko historii. Teraz włóczy się po dawnych świątyniach, przerobionych na ogromne kopulatoria i rozpaczliwie stara się opóźnić ostateczną zagładę Strefy.

Może to i dobry objaw, że rozbabrawszy ciemne strony ludzkiej duszy zaczynamy zastanawiać się i nad tym, jakim cudem potrafi się uchować w wypranym do czysta mózgu owa irracjonalna chęć do powstania z klęczek, choćby przyszło zapłacić za to głową. Jeden z pracowników ośrodka pozostaje w Strefie, ku której suną już kolumny Czarnego Batalionu. W młodym entuzjaście reżimu budzi się nagle coś, czego nie pojmuje, a co chrześcijanie nazwali sumieniem. Skąd? Nie ma logicznego wyjaśnienia. Rozum, który wszystkie racje włożył w ręce władców skundlonego społeczeństwa, tutaj zawodzi. Fabuła „Rozpadu połowicznego” każe szukać odpowiedzi w samych ludziach. Kto ich tam wreszcie do końca zrozumie – najmniej oni sami.

Więcej jest w tej powieści takich pytań – pozostawmy je czytelnikom do samodzielnego wyłuskania. W każdym razie odbieram tę powieść jako między innymi obronę tezy, że walka dobra ze złem nigdy nie zostanie ostatecznie rozstrzygnięta, bo jedno może rodzić się z drugiego, podli ojcowie miewają szlachetnych synów i odwrotnie.

Dobrze pamiętać, że kiedyś zapadną nad nami jak wieko krypty pytania o czasy, w których żyliśmy i o to, gdzie wtedy był każdy z nas. Warto zastanowić się nad nimi już dzisiaj, a „Rozpad połowiczny” daje do takich rozważań niesamowitego kopa w mózg – jeszcze przez parę godzin od odłożenia książki nie byłem w stanie skupić myśli na niczym innym. Jeżeli taki właśnie dynamit chciał zawrzeć Wnuk-Lipiński w wartkiej, przyjemnej w czytaniu fabule – a sądzę że tak – nie sposób nie przyznać, że udało mu się to znakomicie.

Rafał A. Ziemkiewicz

Edmund Wnuk-Lipiński: *Rozpad połowiczny*. Czytelnik, Warszawa 1988. Cena 600 zł.

Kawałek Polski

Całkiem niedawno w serii Lestera Del Reya wyszła interesująca powieść Leo Frankowskiego, amerykańskiego projektanta, wynalazcy i biznesmena w jednej osobie, polskiego pochodzenia. I nie o pochodzenie tutaj chodzi, bowiem spośród całej plejady twórców SF w Stanach Zjednoczonych wielu jest takich, których rodowód można wywieść ze Starego Kraju.

To, co przykuwa uwagę nie tylko wyłącznie moją, ale i czytelnika amerykańskiego – skoro książce, bądź co bądź nieznanego autora, recenzenci renomowanych magazynów SF poświęcają tyle uwagi – to umieszczenie akcji w naszych realiach historycznych i kulturowych.

Pierwszy z czterech zapowiadanych tomów o przygodach Conrada Stargarda daje nam przedsmak przyszłej potęgi Polski. Potęgi przeplecionej naszymi przywarami i to w tak umiejętny sposób, iż śmiem podejrzewać, że dla amerykańskiego czytelnika jest to w ogóle niezauważalne.

Skłonność do ironizowania i doskonała znajomość naszych realiów nie przeszkadza jednak Frankowskiemu pisać o Polsce i jej mieszkańcach z szacunkiem, a nawet wręcz z umiłowaniem.

Książka zachwyciła mnie nie tylko nie spotykaną nigdzie dotąd kombinacją wisielczego humoru anglosaskiego z autoironicznym poczuciem humoru typowym dla naszych rodaków, ale i wartką akcją, do złudzenia przypominającą peregrynacje bohaterów Sienkiewicza.

Conrad Schwartz, inżynier z Katowic i absolwent słynnego amerykańskiego MIT wybiera się w góry, gdzie poznaje rudowłosą Annę (tylko my wiemy, że jest agentką służby czasowej), ale nie wychodzi mu randka i z rozpaczy się upija. Gdy nad ranem przychodzi do siebie, załatwia swe najpilniejsze potrzeby w piwnicy, gdzie jak mu się zdawało zasnął i gdzie mogą być jacyś ludzie. Zawstydzony, czmycha stamtąd co sił w nogach i zgubiwszy się po drodze przeżywa pomroki kaca. *Pogoda przybrała postać zimna i szarości. Potem na dodatek napatoczył mi się po drodze jakiś zwariowany miłośnik średniowiecza.* Dopiero po ucieczce przed rozsierdzonym wariatem i spotkaniu z franciszkaninem, ojcem Ignacym Sierpińskim, odkrywa, iż w niezrozumiały dla niego sposób przeniósł się w czasie do średniowiecznej Polski, zaledwie na dziesięć lat przed najazdem tatarskim. Dochodzi do niego również fakt, że cudem uszedł z życiem, gdy pozwolił sobie wyzwać domniemanego wariata, a który – jak się teraz zaczął orientować – był rozsierdzonym rycerzem krzyżackim. Prędko zamienia nazwisko Schwartz na Conrad Stargard i zabiera się do poszukiwania pracy. Nie wiedzie mu się praca kopisty w klasztorze, wynajmuje się więc za radą światłego braciszka na przeciąg roku u mistrza Nowaczka, kupca, jako jego ochrona osobista, co czyni zresztą bez trudu, dzięki podrzuconym mu przez służbę czasową inteligentnemu rumakowi i mieczowi, tnącemu stal niczym masło. Wkrótce zostaje wasalem Henryka Brodatego... I na tym pierwszy tom się kończy, ale projekty okładek następnych trzech tomów wskazują na to, że uda mu się wyposażyć niezwyciężoną armię polską w pistolety maszynowe, radiotelefony i rusznice. Notka z tyłu książki obiecuje ponadto, iż Polska stanie się najpotężniejszym krajem na świecie. Pomimo tak szokujących zapowiedzi, nie należy się zrażać! Wszystko tutaj trzyma się kupy, co zauważył i B. Searles, stały recenzent książek w „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine", pisząc w lipcu 1986 roku: *Powieść o podróży w przeszłość należy do trudnego podgatunku fantastyki naukowej, stawia autorom zarówno wymagania nabycia wiedzy historycznej po to, by mogli stworzyć przekonujące tło, jak i wymóg posiadania talentu na wyspekulowanie fantastyczno-naukowego układu między przeszłością a teraźniejszością. Frankowski radzi sobie świetnie w obu przypadkach. Wie dużo o trzynastowiecznej Polsce, a jeśli nawet nie wie, to przynajmniej udało mu się mnie przekonać, że wie.*

Z kolei Tom Easton zwrócił uwagę w „Analogu" (numer wrześniowy z roku 1986) na zjawisko promocji Polski w oczach czytelnika amerykańskiego: *Jest to bardzo dobra opowiastka, nawet pomimo tytułu, jaki sobie wybrał Leo Frankowski „The Cross-Time Engineer", której bohaterem czyni polskiego inżyniera, jak gdyby na przekór tym wszystkim kawałom o Polakach.*

Eastonowi udało się d o s t r z e c to, czego my w swoim pędzie do powiedzenia tego, co nas boli, do wykrzyczenia się na głos, zdajemy się nie dostrzegać... Że i fantastyka potrzebna jest do pokrzepienia serc naszych. I że tak samo jak wszystko, co robimy, rzutuje na opinię Tamtych o Nas. A Frankowskiemu udało się napisać o nas, o naszych przywarach i wspaniałych cechach ciepło i przyjaźnie... Jak nikomu dotąd.

Ryszard P. Jasiński

Leo Frankowski: *The Cross-Time Engineer*. A Del Rey Book. Ballentine Books. New York 1986.

Sielanka i rzeczywistość

Humanistyczny optymizm, tak chyba najcelniej można określić radziecką SF. Jak mało która na świecie posiada wyraźny, indywidualny, choć zaściankowy charakter: optymizm – programowy – bo przecież komunizm miał zapanować powszechnie, a jako najlepsza z form organizacji państwa, miał ostatecznie rozwiązać problemy ludzkości; humanizm – j.w. – w centrum uwagi miał stanąć człowiek, wszystko miało służyć jego samorealizacji.

Oczywiście krzycząco niesprawiedliwa byłaby sugestia, jakoby radziecka SF zajmowała się jedynie tworzeniem sielankowych utopii „ku pokrzepieniu ducha", dodajmy, nieco nadwątlonego.

Przypomnijmy, że to właśnie radziecki pisarz – Zamiatin – napisawszy znakomitą antyutopię „My" stał się prekursorem dla Huxleya i Orwella! A że ta (napisana około 1921 roku) książka ukazała się drukiem w ZSRR przeszło sześćdziesiąt lat później... to już zupełnie inna historia, która nie ma nic wspólnego z tą recenzją.

Odcina się również, choć nie kontrastowo, od zaściankowego tła twórczość braci Strugackich – przynajmniej ostatni jej okres – oscylując zdecydowanie w stronę filozofii. Z kolei w stronę ciepłego humoru, o wręcz gogolowskich inspiracjach, skłania się pisarstwo, równie dobrze znanego w Polsce, Kira Bułyczowa (czyli Igora Możejki).

Nie było moim celem spostponowanie *a priori* radzieckiej SF. Nie zawsze „zaprogramowanie" literatury musi wychodzić jej na złe. Zresztą sam Lem od dawna postulował, aby SF zajęła się człowiekiem bardziej niż nowymi typami miotaczy czy ścigaczy gwiezdnych.

Jak w całej literaturze, w antologii „Bion" pojawiają się teksty lepsze i gorsze; od ckliwej grafomanii po naprawdę wartościowe. Przyjrzyjmy się bliżej kilku opowiadaniom. Na początek „Ucieczka" Ilji Warszawskiego.

To przejmujące opowiadanie ukazuje wycinek świata, świata totalitaryzmu, rasizmu i wojny. Między potężne tryby policji i wojska zostaje wkręcony bohater – typowy szary człowiek. Okazuje się, że nie ma dla niego możliwości wyrwania się z rąk „sprawiedliwości". Nawet ucieczka z więzienia była spreparowana. Zza fałszywej sielanki wygląda przerażająca rzeczywistość – więźniowie poddani elektrohipnozie (aby ulegli złudzeniu wolności) – pracują w dwójnasób, skazani na rychłą śmierć. Opowiadanie jest znakomicie skonstruowane – kameralne, wykorzystuje zaledwie kilka postaci i sytuacji. Jednak wystarcza to do stworzenia nastroju całkowitej beznadziejności. Jest swoistym *pars pro toto* – bezlitosny system zostaje zdemaskowany poprzez ukazanie jednego z przejawów jego represyjnego działania.

Z innego typu refleksją spotykamy się w opowiadaniu Kira Bułyczowa „Ja pierwszy was odnalazłem" – tu zanegowany zostaje ethos pioniera – człowieka poświęcającego często nawet życie w imię tzw. wyższych racji. Cały trud, ba, nawet tragedie i dramaty załogi statku galaktycznego okazują się niepotrzebne – w czasie ich podróży kosmos stał się powszechnie dostępny dzięki nowym typom rakiet; planety, które badali z narażeniem życia stały się celem... niedzielnych wycieczek. Ich odkrycia zdewaluowały się – zbadano wszystko dokładniej, precyzyjniejszymi instrumentami. Ich największe dokonanie – odkrycie śladów obcej cywilizacji – okazuje się fałszywe. Ślady pozostawiła ziemska ekspedycja...

Zwróćmy też uwagę na kolejne opowiadanie Warszawskiego: „Napad odbędzie się o północy". Jest to pełna humoru opowieść o „wyścigu komputerowym" między policją a gangsterami. Konstrukcja opowiadania przypomina znaną sytuację: czy on wie, że ja wiem, że on wie, że ja wiem – do n-tej potęgi. Cała rzecz jest znakomicie spuentowana – ten wyścig zostaje wygrany przez... (nie psujmy przyjemności lektury!)

Jest w antologii sporo opowiadań – nie sposób omówić wszystkich. Wspomnijmy jeszcze „Planetę wesołków" Jurija Tupicyna – autor wyraźnie dystansuje się wobec antropocentryzmu w pojmowaniu zjawisk kosmosu. Na uwagę zasługuje także „Winowajca" Wiaczesława Nazarowa. Jednak twórczością tego interesującego, niestety zmarłego przed kilku laty, autora będzie okazja zająć się później – KAW w Katowicach przygotowuje do druku tomik jego opowiadań.

Podsumowując – „Bion" to interesujący i na miarę szczupłej objętości, reprezentatywny wybór radzieckiej SF. Przypomnijmy jeszcze tylko, że Piotr Fast został w 1988 r. uhonorowany wyróżnieniem przyznanym przez jury złożone z wydawców fantastyki za wybór i przekład opowiadań zawartych w tym tomie.

Piotr Stoły

Bion. Opowiadania. Wybór i przekład: Piotr Fast. Śląsk, Katowice 1988. Cena 440 zł.

Szklarski Alfred

(ur. 1912)

Literat

Urodził się 21 stycznia 1912 r. w Chicago. Ukończył Wydział Dyplomatyczno-Konsularny Akademii Nauk Politycznych w Warszawie. W Polsce przebywa od 1926 r. Podczas okupacji był pracownikiem umysłowym. Żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego. Debiutował w 1946 r. pod pseudonimem Alfreda Bronowskiego. Autor popularnej serii przygodowej o podróżach Tomka Wilmowskiego oraz powieści: „Gorący ślad" (1946), „Trzy siostry" (1946), „Błędne ognie" (1947), „Nie czekaj na mnie" (1947). W 1963 r. ukazała się jego książka **„Sobowtór profesora Rawy"** (Wyd. Śląsk). Powieść opowiada o losach robota, sobowtóra uczonego, który wraz z młodocianymi bohaterami staje na straży domu nie dopuszczając do wykradzenia tajnej dokumentacji wynalazku. Książka w przystępny sposób popularyzuje osiągnięcia cybernetyki i posiada istotne wartości wychowawcze łącząc perypetie przygodowe z technicznym tłem wydarzeń.

Sztyrmer Ludwik

(1809-1886)

Powieściopisarz, krytyk literacki

Urodził się 30 kwietnia 1809 r. w Płońsku. Syn Jakuba Stürmera, lekarza wojskowego i Julianny z Linkowskich. W latach 1821-1825 uczył się w Korpusie Kadetów w Kaliszu, a następnie w Szkole Wojskowej Aplikacyjnej w Warszawie. W 1829 r. otrzymał stopień podporucznika artylerii pieszej. W powstaniu listopadowym walczył pod Grochowem, dostał się do niewoli, jako jeniec został zesłany do Wiatki. W 1834 r. wstąpił do akademii wojskowej w Petersburgu. Debiutował jako prozaik w 1842 r., był współpracownikiem „Tygodnika Petersburskiego". W 1843 r. otrzymał stopień pułkownika sztabu generalnego, został naczelnikiem wydziału w departamencie osad wojennych. Zmarł 4 czerwca 1886 r. w Wilnie.

Historią psychologiczną nawiązującą do motywacji pseudonaukowej jest **„Frenofagiusz i Frenolesty. Powieść wyjęta z papierów nieboszczyka Pantofla przez Eleonorę Sztyrmer"** /fragm. ogłosił „Athenaeum" w 1842/t. 4: „Biblioteka Warszawa 1842/t. 3; „Tygodnik Petersburski" 1842/94-95; Całość z podtytułem: **„Powieść nieboszczyka Pantofla wydana przez jego kuzynkę"**, Petersburg 1843; wyd. powojenne – WP, Poznań 1959/.

Akcja książki rozgrywa się w szpitalu dla nerwowo chorych – autor ukazuje różnorodność ludzkich postaw, przeżyć, sposobów patrzenia na świat stwarzając logiczne wytłumaczenie obłędu, odstępstw od „normalnego" stanu klinicznego. Powieść jest pod wieloma względami bliska urealnionej fantastyce Stefana Grabińskiego, który w swoich, znacznie późniejszych utworach, wykorzystywał doświadczenia nauk medycznych zwłaszcza psychiatrii.

Szkic o Sztyrmerze pióra Stefanii Beylin, a także fragment jego powieści „Frenofagiusz i Frenolesty" zamieściliśmy w „Fantastyce" nr 4/88.

Recenzje wybrane

– H. (Rzewuski?) Lwowianin 1842/ z. 2,
– M. Gr (Grabowski) Tygodnik Petersburski 1843/37,
– J. J. Kraszewski (w:) Tygodnik Petersburski 1843/33,
– (K. Witte) Biblioteka Warszawska 1844 /tom 4,
– K.B. (Bartoszyński) „Posłowie" do „Pantofel Frenofagiusz i Frenolesty", Poznań 1959.

Szulkin Piotr

(ur. 1950)

Plastyk, reżyser, scenarzysta

Urodził się 26 kwietnia 1950 r. w Gdańsku. W latach 1970-1975 studiował na Wydziale Reżyserskim łódzkiej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Debiutował w 1975 r., w rok później zrealizował pierwszy film fabularny „Dziewcę z ciortom", następnie (m.in.): „Oczy uroczne" (1977), „Kobiety pracujące" (1978). Reżyser filmów fantastyczno-naukowych: **„Golem"** (1979; nagrody: m.in. Brązowe Lwy Gdańskie za debiut na VII FPFF w Gdańsku 1980; Grand Prix oraz nagroda za scenariusz i wyróżnienie FIPRESCI na MFF w Madrycie 1981), **„Wojna światów. Następne stulecie"** (1981; nagrody: m.in. Grand Prix oraz nagrody za scenariusz i reżyserię na MFF w Madrycie 1982; nagroda specjalna jury na MFF w Trieście (1982), **„O bi, O ba"** (1986). W 1984 r. ukazał się wybór scenariuszy Piotra Szulkina **„O bi, O ba i inne prawdziwe nowele filmowe"** (Wyd. Alfa; Zawartość: Wojna światów – następne stulecie, O bi, O ba, Ucięta głowa czarownicy, Golem). Wybór obejmuje scenariusze fantastyczno-naukowych filmów Piotra Szulkina wywodzące się z katastroficznych prognoz cywilizacyjnych ostatniego dziesięciolecia. W chaosie, rozpadzie wartości, w narastaniu totalitarnych systemów władzy, które z całą bezwzględnością opanowują środki masowego przekazu – upatruje Szulkin przyczyny regresu kulturalnego, zdławienia indywidualności człowieka.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Znany radziecki astronom Igor Nowikow w swojej książeczce „Jak wybuchł Wszechświat" (Biblioteczka „Kwant", Moskwa 1988) przedstawia pewien ciekawy schemat poglądowy. Na rysunku widzimy dwie poziome, prostokątne płyty, jedna nad drugą. Górna wyobraża przestrzeń „naszego", dolna – przestrzeń „innego" Wszechświata. W górnej płycie jest otwór, który za pomocą lejkowatego przewodu łączy się z takim samym otworem w dolnej płycie. Górny otwór symbolizuje „czarną dziurę", a dolny – „białą dziurę". Na rysunku pokazano też u góry „statek kosmiczny wlatujący w czarną dziurę", a u dołu „statek kosmiczny wylatujący z białej dziury". Zapamiętajmy jeszcze podpis pod tą ilustracją: *Schemat wyjaśniający połączenie czarnej dziury w „naszym" Wszechświecie z białą dziurą w „innym" Wszechświecie.*

Tekst w pobliżu tego rysunku w cytowanej książeczce nie jest jednak zbyt optymistyczny: *...okazało się, że białe dziury i kratery* (rurowate zakrzywienia przestrzeni – A.M.) *wiodące z czarnych dziur do białych są obiektami skrajnie nietrwałymi i dlatego nie mogą istnieć w przyrodzie. A szkoda! Gdyby istniały, to obserwator wskoczywszy w czarną dziurę i wynurzywszy się następnie z białej, przeniósłby się w daleką przeszłość „naszego" Wszechświata! Byłoby to urzeczywistnienie poruszającego się w przeszłości „wehikułu czasu" Wellsa. Ale jeszcze raz podkreślamy, że okazało się to niemożliwe.*

Brak perspektyw przy podróżowaniu, jeśli myśli się „naszymi" kategoriami, jest zrozumiały. Czarna dziura, jak wiemy, potrafi tylko brać wszystko co popadnie i dlatego jest nadzwyczaj trwała, a biała dziura, która tylko oddaje swą materię, kończy błyskawicznie swój żywot – otaczające ją środowisko dusi wypływ materii i doprowadza do tego, że przechodzi ona niezwłocznie w czarną.

Przypomnijmy sobie teraz artykuł z „Fantastyki" nr 3/88, gdzie postawiłem hipotezę równoległego istnienia dwu światów: naszego – o czasie dodatnim, drugiego – o czasie ujemnym. Skoro w pierwszym trwała jest czarna dziura, to w drugim trwałe jest jej przeciwieństwo – ów lekkomyślny utracjusz, a więc biała dziura. Tak mówi logika, a amerykański astronom, John Wheeler stwierdził kiedyś, że *logika to przedfizyka*. Jeżeli więc kiedyś okaże się, że wspomniana hipoteza jest prawdziwa i postaramy się o to, aby oba obiekty pokazane u Nowikowa znalazły się blisko siebie (lub nawet w tym samym miejscu), to powstanie stabilny „tunel" o jednokierunkowym ruchu do szybkiej podróży do drugiego Wszechświata.

Przejście graniczne nr 1

Andrzej Machalski

Podróż taka nie będzie jednak przebiegać bez komplikacji. Otóż każde ciało zbliżające się do czarnej dziury w pewnej chwili zostaje poddane tzw. siłom pływowym (nazwa pochodzi od sił wywołujących przypływy i odpływy morza, spowodowane przez przyciąganie Księżyca). Można tu dodać, że siłom pływowym podlega każdy z nas na co dzień, bo gdy stoimy, to przyspieszenie ziemskie działające na nogi (które są bliżej środka Ziemi) jest o cztery milionowe większe od przyspieszenia działającego na głowę (która jest dalej). Naturalnie nikt z nas tego nie spostrzega. W przypadku czarnej dziury zaś, różnice sił spowodowałyby prawdopodobnie rozerwanie ciała człowieka. Określenie „prawdopodobnie" wprowadzam celowo, albowiem teoretycy przypuszczają, że być może w pobliżu lub wewnątrz tego na razie zagadkowego ciała niebieskiego czasoprzestrzeń doznaje takich przeobrażeń, że znane nam prawa fizyki stracą ważność... i astronauta będzie uratowany. Czy cała wyprawa zakończy się szczęśliwie – nie wiadomo, gdyż podczas jazdy „tunelem" podróżników też mogą spotkać niespodzianki, niekoniecznie przyjemne.

Hipoteza istnienia świata o czasie ujemnym ma w pewnym sensie swego sprzymierzeńca w teorii zaproponowanej w 1988 r. przez angielskiego astronoma Johna Gribbina i kanadyjskiego fizyka Paula Wessona. Nawiązali oni do wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat. Otóż po ogłoszeniu teorii względności przez Einsteina, niemiecki fizyk Theodor Kaluza (wym. Kaluca, choć jego przodkiem był zapewne nasz rodak Kałuża) w 1921 r. chciał zunifikować (to jest ująć jednym opisem matematycznym) dwie fundamentalne siły przyrody, które były wtedy znane – grawitację Einsteina i elektromagnetyzm Maxwella. W tym celu do czterech wymiarów czasoprzestrzeni dodał jeszcze jeden wymiar przestrzenny. Ten „ekstra" wymiar miał być połączony z siłami elektromagnetycznymi. Później (w 1926 r.) szwedzki fizyk Oskar Klein przetłumaczył tę koncepcję na język mechaniki kwantowej. Kaluza i Klein osiągnęli pewne sukcesy teoretyczne. Jednak później sprawa straciła aktualność, bo w latach trzydziestych odkryto dwie dalsze siły przyrody – słabe i silne oddziaływania w świecie cząstek elementarnych; pięciowymiarowa teoria obu fizyków poszła w zapomnienie. Szczególnie zaszkodziło jej przyjęcie fikcyjnego czwartego wymiaru przestrzennego.

Sytuacja zmieniła się w latach siedemdziesiątych, gdy pojawiły się pierwsze teorie unifikujące siły fundamentalne. Twórcy tych teorii oparli się na metodzie postępowania Kaluzy i Kleina polegającej na opisywaniu zjawisk przy użyciu równań wielowymiarowych. Wysiłki te doprowadziły w latach sześćdziesiątych do tak sławnych rezultatów, jak teoria supergrawitacji (11 wymiarów) i teoria superstrun (10 wymiarów). Te ostatnie są popularnie zwane Teoriami Wszystkiego, gdyż opisują wszystkie cztery siły. W każdej z teorii jest jeden wymiar czasu, pozostałe dotyczą przestrzeni. Fizycy jakoś przyzwyczaili się do tego, że dodatkowe spośród wymiarów przestrzennych są „zrolowane" w pętelki o wielkości zbliżonej do 10^{-33} cm...

Właśnie ten „teoretyczny boom" sprawił, że Gribbin i Wesson wystąpili ze swą pięciowymiarową teorią względności, w której piątym wymiarem powinna być m a s a. Niektóre konsekwencje nowej teorii brzmią rewolucyjnie:

1. Masa spoczynkowa cząstki elementarnej zmienia się z upływem czasu; w chwili, którą powszechnie obecnie uznana teoria Wielkiego Wybuchu nazywa początkiem Wszechświata („czas zero"), masa była równa zeru, potem rosła w jednostajnym tempie. Jeżeli wiek Wszechświata wynosi na przykład 15 mld lat, to co roku masa protonu zwiększa się o jedną piętnastomiliardową (takiego przyrostu nie jesteśmy w stanie wykryć dostępnymi metodami laboratoryjnymi). A więc w myśl nowej teorii w ciągu drugiego roku istnienia Wszechświata masa protonu podwoiła się.

2. Wszechświat nie zaczął się od Wielkiego Wybuchu, lecz istniał wcześniej. Wtedy czas był ujemny i masa była ujemna. Takie podejście wydaje się bardziej przemawiać do przekonania, gdyż pozwala ono uniknąć tych twierdzeń teorii Wielkiego Wybuchu, które trudno zaakceptować, na przykład, że Wszechświat rozpoczął się w stanie nieskończonej gęstości mając objętość zerową. Pozwala też uniknąć bardzo kłopotliwego pytania, jak mógł on samoistnie wyjść z tego stanu?

Rozpatrzmy teraz kwestię łącznej masy Wszechświata. W chwili, w której teoria Wielkiego Wybuchu może dopiero coś o nim powiedzieć, to znaczy po upływie $t = 3 \cdot 10^{-44}$ sekundy, miał on średnicę $r = 10^{-33}$ centymetra i gęstość 10^{94} g/cm^3. Przeliczenie wykazuje, że masa Wszechświata wynosiła wtedy jedną stutysięczną część grama, zaiste mało różniącą się od zera! Według teorii Wielkiego Wybuchu dzisiejsza ogromna masa Wszechświata (którą ocenia się na $5{,}7 \cdot 10^{56}$ gramów) wytworzyła się błyskawicznie w początkowym okresie jego istnienia z niczego. Wielu ludziom sugestia, że masa cząstek elementarnych powoli rośnie z upływem czasu może wydawać się absurdalna, ale przecież wytłumaczenie, że masa dzisiejszego Wszechświata wzięła się z niczego, w istocie jest równie fantastyczne.

W sprawie pięciowymiarowej teorii względności Gribbina-Wessona będzie można wydać kompetentne orzeczenie chyba po 1000 lat obserwacji laboratoryjnych, bo przyrost masy równy jednej piętnastomilionowej niewątpliwie da się stwierdzić aparaturą naukową.

Na razie zwolennicy podróży do innych światów niech nie tracą nadziei. Nawet jeśli okaże się, że „przejście graniczne nr 1" opisane na wstępie źle funkcjonuje, to z pewnością zostaną odkryte zupełnie nowe siły fundamentalne przyrody, o których teraz jeszcze nie mamy pojęcia. Starożytny filozof grecki Heraklit powiedział bowiem: *Jeżeli nie oczekujecie znalezienia czegoś nieoczekiwanego, to tego nie znajdziecie.*

Wspomniane siły będą wytwarzane w specjalnie zbudowanych maszynach do przechodzenia z jednego świata do drugiego, to znaczy urządzeniach zbudowanych ręką człowieka, nie jakichś tam czarnych i białych dziurach pochodzenia naturalnego... „Przejście graniczne nr 1" będzie wówczas znane zapewne tylko z podręczników szkolnych jako bardzo tradycyjne rozwiązanie, jeśli nie zgoła przestarzałe.

Nikłość masy Wszechświata na początku jego istnienia skłoniła dwu amerykańskich fizyków do rozpatrzenia możliwości... wytworzenia go w laboratorium. Nie chodzi tu o coś w rodzaju modelu czy namiastki. Chodzi o stworzenie zupełnie nowego Wszechświata. Na pierwszy rzut oka wydaje się to bardzo proste. Trzeba wziąć jakiś malutki pyłek i ścisnąć go do gęstości 10^{94} g/cm^3, następnie „puścić wolno". Z teoretycznych rozważań obu fizyków wynika jednak, że tą drogą nie osiągnie się celu, bo rozszerzaniu się tego pyłka (czy też pęcherzyka) natychmiast przeciwstawi się coś w rodzaju napięcia powierzchniowego (ciśnienie ujemne), które ściągnie go z powrotem do punktu.

Zdaniem Nowikowa sprawa nie jest jednak beznadziejna. Uważa on, że przy tak silnym ściskaniu małej, kulistej cząstki (po uprzednim elektrycznym naładowaniu jej powierzchni) oprócz sił elektrycznego odpychania między ładunkami jednoimiennymi, powstają bardzo specyficzne siły odpychania grawitacyjnego, które powodują, że powstająca maleńka czarna dziura zacznie swe gwałtowne rozszerzanie (inflację). Na szczęście, ten ostatni proces odbywałby się nie na zewnątrz, to znaczy nie ku zewnętrznemu obserwatorowi, lecz pęcherzyk rozdymałby się tylko wewnątrz czarnej dziury, to jest w „inną czasoprzestrzeń". Producent takiego Wszechświata mógłby nawet wysyłać do niego sygnały, które by bardzo szybko tam docierały. W naszym świecie niczego dziwnego nie zauważylibyśmy. *Czarna dziura pozostałaby czarną dziurą* – pisze uspokajająco Nowikow.

Uff, odetchnąłem. Swoją drogą, tego rodzaju rozważania mi się nie podobają. Człowiek stwarzający Świat – czy to nie zbytnia zarozumiałość? ■



Ląd — niezbyt odległy

Reżyser Peter Hyams wyrobił sobie niezłą markę między innymi dzięki realizacji filmów z gatunku science fiction. Aż dziw, że dotąd nazwisko to nie pojawiło się w filmowej rubryce. Do najbardziej znanych w Polsce jego obrazów należy „Koziorożec Jeden" i „Odyseja kosmiczna 2010". W obiegu wideo krąży również film z 1980 roku pt. „Outland". Obecnie dużo pisze się też o jego najnowszym filmie „The Presido" z Seanem Connerym podobnie jak „Outland" w roli głównej.

Akcja „Odległego lądu" („Outland") rozgrywa się na satelicie Jowisza, Io. Film rozpoczyna wydruk komputerowy, podający dane określające miejsce i czas akcji. Dowiadujemy się, że na Io są kopalnie rzadkich metali, przede wszystkim tytanu. Zatrudnionych jest tam około 4 tysięcy ludzi, robotników, urzędników, pracowników służb pomocniczych. Wszyscy oni podpisują kontrakt na okres jednego roku. Między Io a stacją kosmiczną na orbicie Jowisza kursuje raz na tydzień prom.

Właśnie przyleciał, a na nim nowy szeryf, czyli osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo wszystkich zatrudnionych osób. Jego pierwsze doświadczenie w nowej pracy, to dwa samobójstwa.

Schemat filmu jest typowo westernowy. Samotna kolonia oddalona o dziesiątki lat świetlnych od Ziemi i jej praworządności, stanowi najbardziej naturalny przyszłościowy substytut dawnego miasteczka na rubieżach, gdzie diabeł mówił dobranoc. Dziki Zachód zdobyli dla współczesnych, cywilizowanych Amerykanów awanturnicy poszukujący złota albo innego sposobu na szybkie wzbogacenie się. Za nimi z kolei ciągnęli kolejni spryciarze chcąc zrobić pieniądze na tych pierwszych. Wydaje się logiczne, że podobnie może przebiegać zdobywanie kosmosu.

W westernach miejscem akcji często bywał saloon. Podobnie i w przyszłości przemysł rozrywkowy będzie towarzyszył kontraktowym robotnikom, którym po ciężkiej pracy należy się chwila wytchnienia, zwłaszcza że mają za nią czym zapłacić. Kiedyś bary dysponowały alkoholem i dziewczynkami. We współczesnym świecie do tej listy można dopisać narkotyki. Dają większy zysk i są bezpieczniejsze dla handlarza, bo ofiara, która się uzależnia, przestaje być groźna. Morderczo pracujący na akord robotnicy przez jakiś czas czują się świetnie, przekraczają normy, a niektórym może nawet uda się wyjechać po zakończeniu kontraktu, zanim trucizna przeżre im mózg. Ale nie wszyscy.

Wszystko funkcjonuje po prostu wspaniale, koncern ma większe zyski, robotnicy też są zachwyceni, strażnicy prawa przymykają oczy, bo to się im opłaca. A wszystko oparte jest na bardzo prostym założeniu – że na taką zsyłkę nie trafia nikt do końca porządny. Wystarczy jednak, że raz stanie się inaczej. Tym uczciwym człowiekiem jest nowy szeryf. Być może jego postać raziłaby wręcz swą prostolinijnością, gdyby nie to, że kreuje go sam Sean Connery, którego kinowy obraz obrońcy sprawiedliwości jest mocno utrwalony, dzięki kolejnym jego rolom: od Jamesa Bonda po franciszkanina z „Imienia Róży" i prawego policjanta z „Nietykalnych".

Wiemy też, że będzie musiał stanąć do nierównej walki, sam przeciwko wszystkim... i że ją wygra. Takie są prawa gatunku. Parę scen filmu niemal żywcem wzięto z „W samo południe". W społeczeństwie, którym rządzi pieniądz, strach, oportunizm, trudno o przyjaźń. Choć oczywiście jedna pomocna dłoń wyciągnie się wreszcie do naszego bohatera i będzie to damska dłoń... Ale nie liczmy na nic bardziej pikantnego, kobieta do końca pozostanie tylko przyjacielem, bo nasz dzielny szeryf ma oczywiście słodką żonkę i synka. To nic, że opuścili go w najtrudniejszym momencie. Po prostu nie zdawali sobie sprawy z sytuacji. I Sean Connery będzie mógł powrócić wraz z nimi na zieloną Ziemię, rzucając na pożegnanie jedynej przyjaznej duszy (a w każdym razie jedynej, która przeżyła) – „jesteś dobrym kumplem"!

Dzięki odizolowaniu rodziny, realizatorzy oszczędzili nam przynajmniej emocjonalnego szantażu. Duże gratulacje, mało kto darowałby sobie rozegranie tego starego, niezwykle irytującego, ale i skutecznego chwytu.

„Outland" nie opowiada żadnej oryginalnej historii. Schemat ten zresztą był i będzie jeszcze nie jeden raz wykorzystywany z równym powodzeniem. Niedawno zastosował go Paul Verhoeven w „Supergliniе" („Robocop"). Ale też nie o odkrywczość tu chodzi. Z założenia miało to być powielenie znanej i lubianej fabuły, umieszczonej w nowoczesnych realiach. Western zresztą bardzo ładnie komponuje się z rekwizytami SF.

Tak więc akcja toczy się żywo. Oczywiście wiemy kto zwycięży, ale to tylko potęguje przyjemność i choć rażą pewne uproszczenia oraz płaskość postaci, w sumie całość akceptujemy.

Scenografia filmu przypomina to, co wyobrażamy sobie czytając „Paradyzję" Janusza Zajdla. Tu jednak służy wyłącznie uatrakcyjnieniu historyjki kryminalnej, jak najdalszej od wszelkiej psychologii czy socjologii.

Zdecydowanie zła jest w tym filmie muzyka, zbyt monumentalna, przytłaczająca i męcząca, choć kompozytor Jerry Goldsmith znany jest z bardzo dobrych muzycznych opracowań filmów (np. jego autorstwa była muzyka do „Białych Nocy" z Borysem Baryszników em).

To, co naprawdę jednak przeszkadza, to błędy techniczne: w obszarze bez przyciągania postać wyskakująca w górę zaczyna spadać w dół (chyba siłą woli, bo na pewno nie grawitacji), jeden strzał powoduje zniszczenie pomieszczenia zewnętrznego stacji (nikt chyba nie przewidział jakichkolwiek zabezpieczeń, na przykład chroniących przed uderzeniami meteorytów). Również w toku samej akcji potykamy się co jakiś czas o brak logiki i znalezienie ładunku narkotyków nie pociąga za sobą oficjalnego śledztwa, choć istnieje bezpośrednie połączenie ze stacją kosmiczną; możliwości techniczne szeryfa (podgląd praktycznie każdego miejsca na terenie stacji) kolidują z jego całkowitą bezradnością. Niby wiadomo, że chodzi o doprowadzenie do ostatecznego, finałowego pojedynku dobra ze złem, ale... No właśnie, ale! „Outland" jest po prostu starannie zrobionym filmem klasy B i to wszystko. Do obejrzenia i zapomnienia.

Dorota Malinowska

OUTLAND (Odległy ląd). Reżyseria i scenariusz: Peter Hyams. Zdjęcia: Stephen Goldblatt. Muzyka: Jerry Goldsmith. Obsada: Sean Connery, Peter Boyle, Frances Sturnhagen, James B. Sikking, Kika Markham i in. USA, 1980.

PS. 1. Chciałabym przeprosić Czytelników, że polskie tłumaczenia tytułów filmów nie zawsze zgadzają się z tymi, z którymi potem spotykamy się w kinach. W dziedzinie tytułów panuje u nas radosna twórczość. Najlepszym przykładem jest podpisanie filmu zatytułowanego „Dirty Dancing" polską nazwą „Wirujący seks". Z naszego podwórka mieliśmy „Elektronicznego mordercę", czyli „Terminatora", a niedawno „Interkosmos", chodzi o „Interspace", co brzmi być może podobnie, ale Interkosmos to jak wiadomo nazwa radzieckiego programu kosmicznego i nie ma nic wspólnego ani z treścią filmu, ani ze znaczeniem tytułu, który powinien brzmieć po polsku „Przestrzeń wewnętrzna".

Nie jesteśmy w stanie przewidzieć takich przeróbek, a ponieważ staramy się podawać Państwu informacje o filmach, zanim dotrą one na ekrany polskich kin, nie unikniemy tego zapewne i w przyszłości.

2. W recenzji z filmu „Na Srebrnym Globie" (Fantastyka" nr 2/89) zagubiły się nazwiska scenografów, wspaniałych artystów zasługujących na najwyższe uznanie. Niniejszym naprawiamy to zaniedbanie. Scenografia: Tadeusz Kosarewicz i Jerzy Śnieżawski. Kostiumy: Magdalena Tesławska i Krzysztof Tyszkiewicz. II scenograf: Tomasz Biernawski. Dekorator wnętrz: Stanisław Ledóchowski. Charakteryzacja: Jadwiga Rainska, Anna Włodarczyk i Zygmunt Kaźmierski.

D.M.



Ryszard Zwiękowski „OCZEKIWANIE" – I nagroda, II Bienale Fotografii „Alicja w Krainie Czarów"

UWAGA CZYTELNICY! Z przykrością przekazujemy informację naszego wydawcy:

*W związku ze wzrostem kosztów wydawania, począwszy od następnego numeru (8/89) została podwyższona cena miesięcznika „Fantastyka". Będzie ona wynosić **450 zł** za egzemplarz. Wzrosły również ceny dodatków kwartalnych: „Małej Fantastyki" do **400 zł** (od numeru 3/89), a „Komiksu-Fantastyki" – do **650 zł** (od numeru 2/89).*

Dla prenumeratorów ceny czasopism pozostają bez zmian do terminu wygaśnięcia prenumeraty.

Warszawskie Wydawnictwo Prasowe